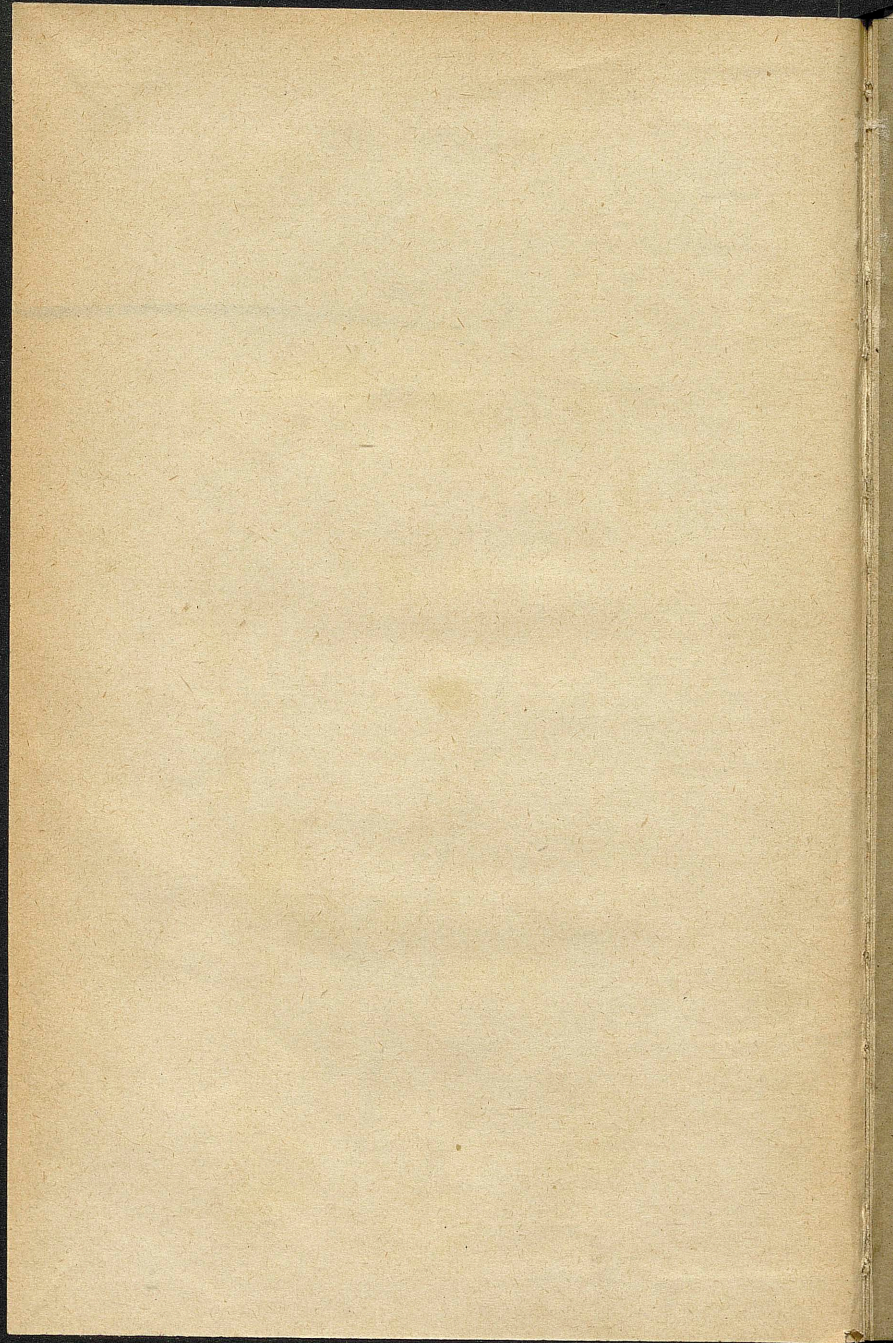


BIBLIOTEKA
Zakład im. Ossolińskich

82.095

Blank page with a small white rectangular label at the bottom center.

十 十



ZBIÓR POWIEŚCI

ADOLFA MOSTOWSKIEGO.

Szał i Mitra.

Powieść obyczajowa.

Piołuny.

Powiatka współczesna.

Kartki pisane.

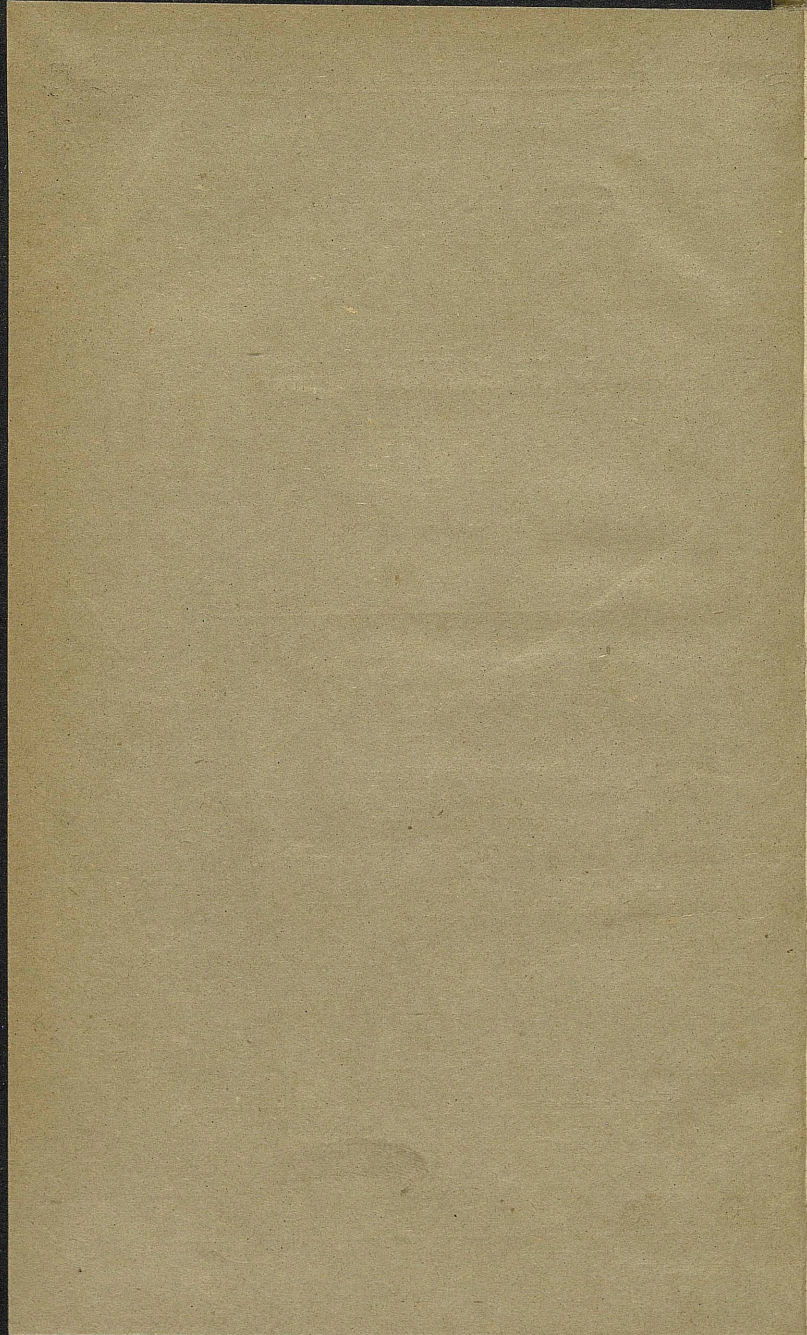
Dumania przy cygarze.

WARSZAWA.

DRUK BRACI JEŻYŃSKICH (dawniej J. UNGRA)

przy ulicy Nowolipki Nr. 3.

1884.

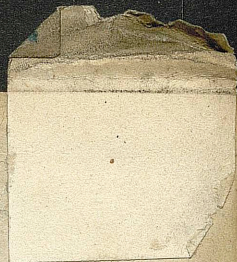


095

ZBIÓR POWIEŚCI.

Bo. 9c. A.

Feb.



ZBIÓR POWIEŚCI

ADOLFA MOSTOWSKIEGO.

Szał i Mitra.

Powieść obyczajowa.

Piołuny.

Powiatka współczesna.

Kartki pisane.

Dumania przy cygarze.



82095

WARSZAWA.

DRUK BRACI JEŻYŃSKICH (dawniej J. UNGRA)

przy ulicy Nowolipki Nr. 3.

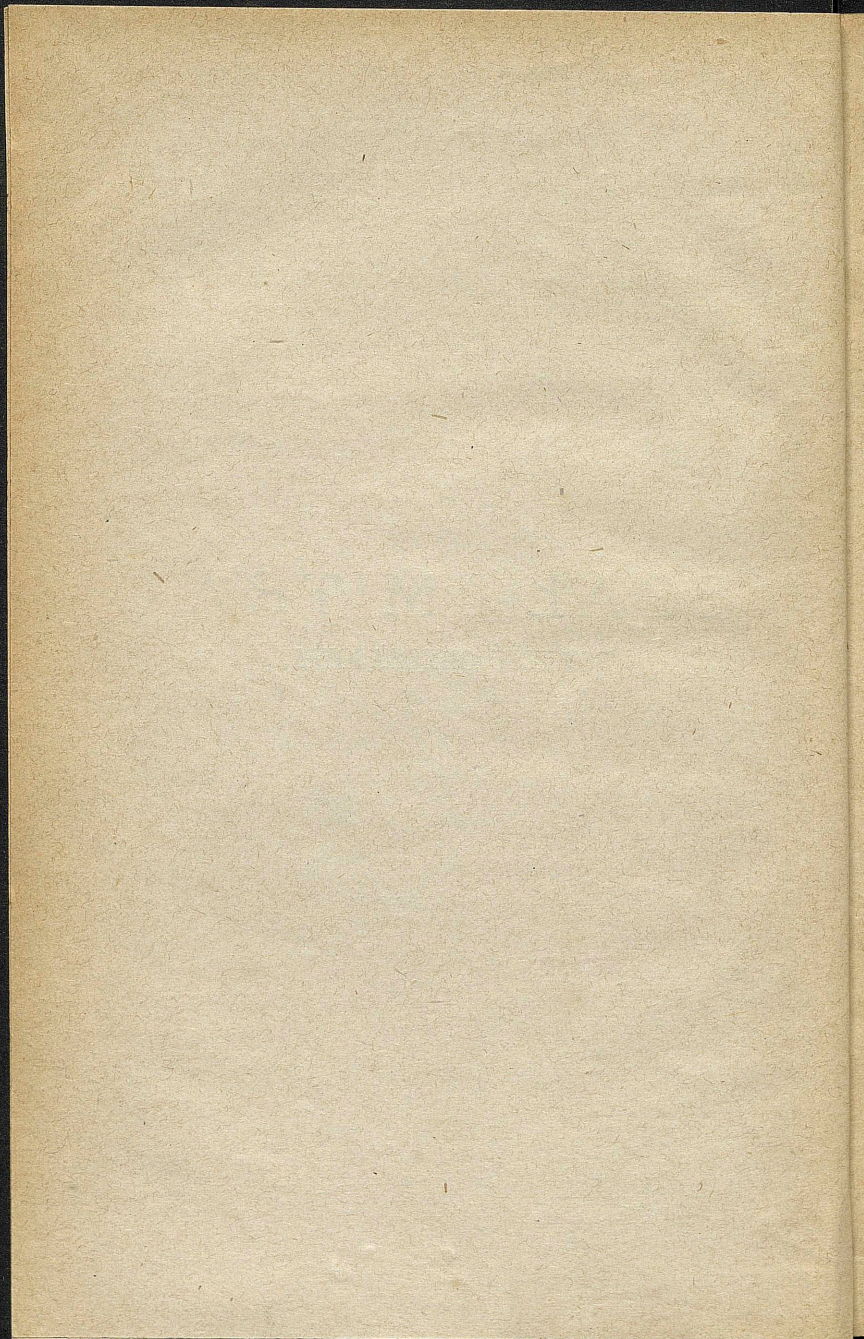
1884.

82095

Дозволено Цензурою
Варшава 19 Июля 1884 г.

SZAŁ I MITRA.

POWIEŚĆ OBÝCZAJOWA.



Miejscowość zwana Podorożną, była odległą o wiorst sześć od miasteczka R., położonego nad Dniestrem. Sadyba była bardzo skromną. Na skraju dębowego lasu stał dworek z ganeczkiem wspartym na dwóch słupkach drewnianych, nie dawno widać postawionych, bo nawet drzewo jeszcze nie ściemniało i zacięcia siekiery nie oschły z soków roślinnych. Dach na dworku złożył się świeżą słomą i dowodził także troskliwej ręki gospodarza pragnącej upiększyć ubogie to leśne mieszkanko. Ogrodzenia również dobrze utrzymane okalały płotami podwórko i ogródek owocowy i warzywny zabierający całą leśną polanę. Dworek wraz z otoczeniem wyglądał na jakąś leśniczówkę; choć tam nigdy podobno żaden leśniczy nie mieszkał. Zapewne sama miejscowość nasuwała widzom domysł powyższy.

Wieśniacy ze wsi pobliskiej opowiadał ciekawym, że była to niedawno własność pewnego gracyalisty z dóbr hrabiego Romana S., darowana wiernemu słudze hojnością pana, który czasem nawet odwiedzał dawnego koniuszego polując w lasach swoich.

Eks-koniuszy Podrycki mieszkał tu lat kilkanaście

wraz z żoną, która zmarła przed rokiem. Ciche więc nad wszelki wyraz i spokojne życie przemieniło się w byt iście pustelniczy osamotnionego wdowca. Staremu Podryckiemu po stracie dobrej żony, życie stało się ciężarem w leśnej samotni, potrzebował zbliżyć się do ludzi, bo kąty własne cichego dworku ustawicznie przypominały mu nieobecną małżonkę, z którą lat trzydzieści kilka przeżył szczęśliwie. Postanowił więc sprzedać swoją sadybę i osiaść na dewocyi w miasteczku. Chociaż nabytek tak małego kawałka ziemi nie mógł nadmiernie interesować nikogo, wszakże niebawem ukazał się w dworku starego Podryckiego gość, który jako kontrabent się przedstawił.

Był to mężczyzna lat trzydziestu szykowny w ruchach i silnej budowy. Na pierwszy rzut oka wydawał się pospolitym bardzo z powierzchowności, ale w oczach modrych taki posiadał urok, że chyba i bazyliszek uroczniejszych mieć nie mógł. W oczach tych jakby głębokie fale morskich jaśniały, to znów dźwięki taką nadziejską dobrocią, że zjednywały mu wszystkich, w żrenicach tych były płomienie, łzy i uśmiechy i cały świat pytań i obietnic. Czy Pirski wiedział o sile swego wzroku, trudno było odgadnąć, gdyż używał ich tak naturalnie, że o żadną kokieterię posądzać go było nie podobna. Ludzie wszyscy ulegali dziwnemu wpływowi wzroku, tylko że mężczyzn nim zniewalał sobie, a kobiety czarował. W głosie, gdy mówił brzmiała jakaś słodka intonacya, której często towarzyszył uśmieszek przelotny. We wzroku więc i tonie głosu posiadał arsenał zdobywający serca.

Wszedłszy do izdebki zastał starego Podryckiego modlącego się z książki nabożnej, Pirski chciał się co-

fnąć aby nie przeszkadzać modlitwie, ale gospodarz ujrawszy przybysza, położył książkę na stole i zapytał przybyłego czem mu służyć może.

Gość skłonił się i wymówił swoje nazwisko.

— Racz łaskawy panie spocząć, rzekł Podrycki podsuwając krzeselko, mieszkam w takiej samotności, że prawdziwą wyświadcza mi łaskę ten, kto progi mojej stariej chaty przestąpi.

— W tak ślicznej miejscowości, życie powinno by płynąć bardzo przyjemnie, zauważył gość, nie wiedząc jak zacząć rozmowę.

— Rzeczywiście że ładny kącik, a zwłaszcza latem, gdy ptaki się rozśpiewają, a leśne kwiaty rozkwitną. Dawniej lubiłem to ustronie, dopóki nie zostałem sam na świecie z moim smutkiem tylko, gdy zaś gorycz tkwi w sercu żyje się wspomnieniami, a cała krasa świata blednie z obojętnienia. Przy tych słowach staruszek westchnął i łza błysnęła w oczach przymglo-nych.

Może przybyłemu żal się zrobiło staruszka, czy też interes osobisty go ponaglił do zmiany tematu, bo po chwili zapytał.

— Słyszałem, że pan życzysz sobie sprzedać swoją fermę, przyjechałem więc w celu nabycia oniej, jeśli sprzedaną być może.

— Rad nie rad sprzedać muszę, ale to maleństwo może dla pana będzie nie odpowiednie, młodemu nie ma tu na czem pracować, bo wszystkiego jest zaledwie pięć morgów.

— Małego też poszukuję, gdyż na większe mię nie stać, odparł Pirski z westchnieniem.

— Nie wiedząc czego panu potrzeba, objaśniłem

jako nabywcę, nie sądź wszakże szanowny panie abym łaskę hrabiego, mego dobroczyńcy śmiało lekceważył. Służyłem hrabiemu długo i wiernie, lecz on tak hojnie mię obdarował, że do końca życia modlić się będę za pomyślność téj zacnej rodziny. Pan to szczodry, dobry i miłościwy, przechowujący godnie tradycyę rodowę swego świetnego imienia, któremu i sam nowego splendoru dodaje.

— Słyszałem wiele dobrego o hrabi S., i o jego czynach szlachealnych, potwierdził gość. Chwalony jest ogólnie.

— Anioł nie człowiek!—gdybyś pan wiedział jak on jest troskliwy o dobrobyt sług swoich, nie dziwiłbyś się moim pochwałom. Ot mnie naprzykład, nie dość że dworek ten podarował wraz z ogrodem i nazначzył ordynaryę dożywotnią, ale jeszcze pół pensyi jaką pobierałem wypłaca.

Takich panów coraz mniej na świecie.

— Ale też i słudzy wierni coraz są rzadsi, zauważył Pirski.

— Popsuł się świat, ale widać taka jest wola nieba i dopust Boży, że ludzie zhardzieli i błędzą po manowcach, poniewierając święte zasady zakonu. Może grzeszę, sądząc bliźnich, mówił staruszek po chwili, ale trudno być pobłażliwym, patrząc na złe jawne.

— Więc pan jesteś zdecydowany sprzedać swój dworek, zapytał Pirski zmieniając nagle temat rozmowy, jakby mu pilno było dowiedzieć się o rezultacie.

— Mieszkać tu dłużej nie mogę, rad więc będę, jeśli się moja sadyba panu podoba—chciałbym aby się w dobre ręce dostał ten mały kawałek ziemi, na którym mieszkałem lat kilkanaście.

Może pan zechce obejrzyć ogród i budynki, kota w worku się nie kupuje przecie.

— Najchętniej, tylko niech się pan sam nie fatyguje, wezmę sobie chłopaka co drwa rąbie w szopie, a on mnie oprowadzi po wszystkich kątach.

— Masz mię pan widzę za niedołęgę, rzekł stary biorąc laskę, ludzie nawykli do pracy to i na starość nie kapitulują. Codziennie chodzę po lesie jedynie dla ruchu, więc o zmęczeniu mowy być nie może. Jestem gotów, chodźmy.

Wyszli, stary szedł krokiem pewnym, podpierając się laską sękatą. Pirski spostrzegł odrazu, że staremu Podrzyckiemu nie sprostałby w chodzeniu, i uczuł się upokorzonym w młodzieńczej ambicyi. Obejrzeni stajenkę, szopę dla krów i loch warzywny, budynki choć małe i stare trzymały się jeszcze krzepko, obiecując jeszcze służbę wieloletnią. Na końcu weszli do ogródka, który bardzo powabnie się przedstawiał, pomimo wczesną porę wiosenną, kilka rabatów kwiatowych, tu i owdzie porozrzucone krzaki bzów i jasminów, wreszcie szczepy drzew owocowych starannie utrzymane, świadczyły, że ogródek jest ulubieńcem i dumą gospodarza. O każdej szczepie prawie Podrzycki miał coś do powiedzenia, wychwalając dobroć owocu, lub pochodzenie drzewka mającego ziścić wielkie nadzieje amatora. Staruszek lubił swój ogródek i drzewka pielęgnował z taką troskliwością, jak gdyby to były jego własne dzieci, chwalił je nie jak kupiec mający towar na zbyciu, ale jak człowiek szczyczący się pracą pocziwą. Przez grzeczność Pirski słuchał cierpliwie rozwlekłego opowiadania z uprzejmą uwagą, która Podrzyckiemu wielce przyjemną była.

— Tego kasztana, objaśniał staruszek, przed jedenastu laty posadził na moją prośbę pan hrabia własnoręcznie; patrz pan, jak rośnie wspaniale, każdy sądząc po rozłożystości gałęzi dwa razy tyle lat by mu policzył. A te oto dwie jabłonie posadziła nieboszczka moja żona, które przez żart nazwałem Adam i Ewa, droga to dla mnie pamiątka, dodał po chwili, jeśli nabędziesz pan moją sadybę, polecam je szczególniej opiece pańskiej. Przywlokę się co roku, aby pomodlić się w cieniu tych drzew, za duszę téj co je posadziła. Pan musisz być bardzo dobrym i szydzić nie będziesz ze mnie, iż czezę serdeczną moją pamiątkę.

Pirski upewnił gospodarza, że objaw podobny pamięci, prawdziwe w nim tylko uwielbienie budzi, i uścisnął dłoń Podryckiego serdecznie.

— Teraz gdy już wszystko pokazałem rzekł Podrycki, mogę zapytać, czy trwasz pan w zamiarze kupna mojej Podorożny?...

— Będę bardzo szczęśliwym gdy ten kawałeczek ziemi stanie się moją własnością, na kupno większej posiadłości brak mi kapitału, to zdaje się akurat będzie podług stawu grobla. Teraz już idzie tylko o cenę ile pan żądaś za dworek? zapytał Pirski.

— Obliczyłem i sędzę że wart jest ośmset rubli i tyleż za dworek z ogrodem żądam.

— Proszę się zastanowić, w pośpiechu oznaczyłeś pan cenę nadzwyczaj niską, zaprotestował Pirski.

— Nie, zdziercą nigdy nie byłem i nie będę, ośmset rubli dosyć, ani szeląga więcej nie wezmę. Jeśli wola, porzuć pan nie potrzebne skrupuły i dobijaj targu.

— A więc zgoda, zawołał uradowany Pirski i na znak zawartej sprzedaży uderzyli w dłonie.

Warunki sprzedaży zostały spisane, termin wypłaty pieniędzy i przelania praw własności na nowego nabywcę naznaczony, a wszystko miało być finalnie załatwionym w ciągu dwóch tygodni, nawet Podrycki w tym czasie miał się wynieść do miasteczka dokąd mu pilno było.

Tym sposobem pan Gustaw Pirski stał się właścicielem oazy Podryckiego, i niezwłocznie przystąpił do restauracyi dworku. Nie wielkie zmiany poczynić tam zamierzał, wszakże stolarza i szklarza użyć musiał, aby stary dworek podtrzymać i przyozdobić nieco.

Nowy człowiek zaciekawiał wszystkich, wywiadywano się i domyślano bez końca: Że zaś w miasteczku z rzemieślnikami targował się długo i uparcie, jedni więc utrzymywali, że jest człowiekiem skąpym i cheiwym, drudzy zaś mniemali, że nowy nabywca dworku Podryckiego, nie zamożnym być musi, gdy tak każdy grosz szczędzi zawzięcie.

Trzeba przyznać, że ostatni byli bliższymi prawdy, bo czyżby dostatni człowiek tak drobną posiadłość kupował.

Po długich więc targach stolarze zabrali się do przerabiania popaczonych drzwi i wstawiania nowych okien w miejsce spruchniałych zupełnie. Nowy dziedzie Podorożny zainstalowawszy umówionego człowieka na dozorcę robót i całości budynków odjechał, obiecawszy przyjechać na stałe mieszkanie niebawem. Tym sposobem futor zwany Podrożną przeszedł w ręce nowego nabywcy.

W najżyźniejszej części Podola zwanój Pobereżem w okolicy naddniestrzańskiej, pięć folwarków stanowiło klucz Horochowski, będący własnością księcia Izydora S. Dobra te stanowiły fortunę magnacką, gdyż na Pobereżu wsie są ogromne i intratne bardzo. W pięciu tych folwarkach zasiewano przeszło trzy tysiące morgów samej pszenicy, a bogata gleba rodziła ją hojnie. Odeski zaś port ułatwiał sprzedaż produktów dostawianych galarami po Dniestrze.

Oprócz Horochowskich dóbr książę Izidor posiadał jeszcze jakąś majątność na Polesiu, ale ta była w dzierżawie oddawna, i nie wielkie stosunkowo przynosiła intraty.

Pomimo że książę prowadził życie wystawne, lecz przy dobrej administracyi starczyło na wszystko i jeszcze jakąś oszczędność corocznie składano w banku; z czasem więc i kapitał sformował się i urosł w cyfrę poważną.

Życie właścicielom Horochowskich dóbr płynęło bez troski w wygodach i spokoju, niezamącanych żadnemi przeciwnościami losu. Stary pałac, dawna siedziba książęca trzymał się dzielnie, upiększany co roku dziełami sztuki i wszelkiego rodzaju elegancją dostarczaną z Paryża i Warszawy. Książę Izidor miał gust estetyczny i środki odpowiednie, a zaniedbania w niczem nie znosił. W pałacu było trzydzieści pokoi umeblowanych z komfortem, a opodal stały oficyny obszerne. Było więc pomieszczenia dosyć dla domowników i gości. Tuż obok stary i starannie utrzymany ogród z obszernemi cieplarniami pełnemi rzadkich roślin, łączył się z parkiem rozległym. Rezydencya wyglądała po pańsku i imponująco, od pierw-

szego wejrzenia było widać ład, dostatek i tę harmonię ogólną, którą tylko wieloletnie staranie przy dobrobycie wytwarza. Wszystko na co oko patrzyło, było tu piękne i wytworne, a żaden szczegół nie stawał do popisu ulubionego dla dorobkiewiczów świeżej daty.

W letniej porze rezydencya księcia Izydora, gdy drzewa okryją się zielonością a kwiaty rozkwitną, przedstawiała się jeszcze powabniej, a widać, że książę ją lubił, gdyż rzadko na dłuższy czas opuszczał piękną swoją siedzibę.

Wzrastał na wsi i nauki pobierał w domu, mając zawsze kompetentnie wybranych nauczycieli pedagogów czuwających troskliwie nad każdym krokiem spadkobiercy wielkiego rodu i mienia, ażeby w przyszłości godnym był potomkiem swoich antenatów. Choć, jako jedynak pieszczony był przez rodziców, wszakże wrodzone zdolności i chęci do nauk sprawiły, że młody książę skończysz lat ośmnaście zdał egzamin filologiczny i został studentem Kijowskiego Uniwersytetu, który ukończył ze srebrnym medalem.

Dla wykończenia edukacyi młody książę Izidor odbył podróż z mentorem, zwiedził Francję, Belgię, Austryę, Szwajcaryę, Włochy, Niemcy i Małą Azję—pobyt za granicą trwał dwa lata.

Niedługo jednak księstwo cieszyli się widokiem ukochanego syna, gdyż w rok potem pomarli oboje. Osierocony młodzieniec nie mogąc w domu ukoić żalu po stracie rodziców wyjechał do Egiptu i Jerozolimy, by w zabaw stolic Europejskich nie urągał jego zbolełemu sercu. Czuł, że przy grobie Zbawiciela świat, najłatwiej smutki się ukoją, i nie omylił się wcale. Powrócił do domu pełen cichęj rezygnacyi, i od-

dał się pracy literackiej i administracyjnej. Napisał więc parę tomów ze wspomnień podróźniczych, a zarazem gospodarstwo rolne dóbr swoich na stopie postępowej produkcyjności postawił.

Pomimo żywego interesowania się i współudziału w sprawach społecznych kraju rodzinnego, smutne płynęły dnie młodemu księciu w obszernym pałacu, który raził pustkowiem. Miał wtedy lat dwadzieścia sześć, krew młoda wrzała, wyobraźnia rwała się do świata i ludzi, myśl karmiona długo książkami zapra gnęła żywego słowa.

Począł więc rozszerzać koło swoich stosunków i znajomości, co nie było wcale trudnem, gdyż podwoje wszystkich salonów stały dlań otworem, jako dla człowieka cenionego pod każdym względem. Ubiegano się nawet w ogólności o ten zaszczyt, a najwięcej tam, gdzie były panny na wydaniu, gdyż kawaler takiego imienia, fortuny i wykształcenia, nikomu nie mógł być obojętnym. Przy tych danych książę Izydor stał się wkrótce ulubieńcem i pieszczochem wszystkich salonów, zapraszany i fetowany wszędzie.

Pomimo, że książę Izydor liczne składał i przyjmował wizyty, umiał tak czas swój rozłożyć, że nigdzie opuszczenia nie było, nawet w sprawach ogólnospołecznych nie należał nigdy do kategorii „nieobecných.” Jako człowiek majątny brał udział skwapliwie we wszelkiego rodzaju składkach, tak na cele filantropijne, jak i na ogólne potrzeby kraju hojne składał ofiary. Dla sztuk pięknych również chętnym był protektorem, nabywając obrazy i rzeźby pamiętał o ubogiej młodzieży, utrzymując kilku własnym kosztem w Monachjum.

Dla wielu potrzebujących wsparcia, pałac Horochowski był portem nadziei, ku któremu nie jedno oczy się zwracały i nie jedno serce drgało wdzięcznością... po otrzymaniu pieniężnej pomocy lub pieniężnego wsparcia w niedoli.

Charakter młodego księcia w zasadzie łagodny i pełen pobłażliwej wyrozumiałości tak był przedziwnie wyrównany rozsądkiem i wygładzony taktem rozumnym, iż nigdy gniew nie wybuchał uniesieniem młodej porywczosci i nie naruszył form wrodzonej przyzwrotności, której hołdował zawsze i wszędzie. Książę Izidor był jednakowym tak w etykietałnym salonie, jak i w swoim apartamencie, gdzie przyjmował interesantów, nie tracił wytwornej grzeczności, ani odpychał dumą. Było coś angielskiego w tym charakterze, ale ogrzanego sercem polskim, traciło Albionską sztywność i zjednywało wszystkich. Może w głębi duszy wrzały wulkany namiętności i tylko siłą żelaznego temperamentu mitygowane nie wybuchały na zewnątrz, ale to domysł tylko, gdyż pod tym względem tajemnica psychologiczna charakteru księcia była pilnie strzeżona nie zdradzając się nigdy.

Takim się przedstawiał młody książę Izidor, gdy poznał na balu u państwa S. hrabiankę Laure, śliczną dwudziestoletnią i trochę ekscentryczną panią. Jakim urokiem został książę oczarowany i pociągnięty mimowolnie nie umiałby sam objaśnić, ale po prześnięciu pierwszego kadryla z hrabianką Laurą, uczuł taki zamęt w duszy i sercu, jakiego dotąd nie doznawał jeszcze.

Przy tych danych zbliżenie musiało nastąpić, a bliższe poznanie urosło wkrótce w miłość prawdziwą. Na-

dzieje wielu ojców i matek runęły odrazu, gdyż książę szedł jawnie i szybko do celu; nie pomogły nie, nikiemną ręką kreślone anonimowe oszczerstwa, ani pozornie serdeczne, a w gruncie fałszywe rady przyjaciół oznajmiających, że hrabianka nie ma żadnego posagu, że panna jest popędliwego charakteru i kapryśna, że hrabia ojciec hypotekę życiową ma nieco przybrukaną i t. p. czernidła, słowem wszystkie te manewra nie zdały się na nic i nie przyniosły inicyatorom pożądanego skutku; gdyż hrabianka Laura po kilku miesiącach od owego balu została księżną S.

Z przybyciem młodej pani ożywił się odświeżony, stary pałac Horochoski i książę Izidor uczuł się wielce szczęśliwym, gdyż jedna tylko przepowiednia dotąd się tylko sprawdziła, że hrabianka nie miała posagu, lecz to księciu Izidorowi najzupełniej było obojętnem. Życie więc obojgu małżonkom płynęło falą pomyślności zupełnej, gdyż wola księżny była prawem dla wszystkich, nie wyłączając męża, jak również żądanie księcia było nienaruszalnem, któremu księżna ulegała zawsze. Żaden dysonans nie zakłócił harmonii małżeńskiej, gdy przysła na świat córeczka, której dano imię Zosia; wtedy miary już radości nie było.

Gdy Zosia miała dwa lata, rodzina znów się powiększyła i księstwo doczekali się syna Tomasza. Po przyjsciu na świat sukcesora wielkiego imienia szczęście rodziców doszło do zenitu. Dotąd żadna chmurka przeciwności nie przyćmiła jasnego horyzontu pomyślności małżeńskiej, dzieci rosły zdrowo i kapitały powiększały się w banku przeznaczone na posag dla Zosi.

Gdy córka skończyła lat ośm, trzeba było zamie-

nić bonę szwajcarkę na guwernantkę z Paryża. Pani Fanfar była osobą wysoce wykształconą i odpowiednią pod każdym względem dla wykształcenia księżniczki, ale pokazało się, że w muzyce nie była mocną, grała trochę i to sztuki łatwiejsze, mogła więc tylko udzielać Zosi początkowe lekye na fortepianie. Że zaś mała księżniczka miała wielkie upodobanie w muzyce i nawet zdradzała zdolność nie zwykłą, księżna chciała wynaleźć inną i więcej muzykalną nauczycielkę dla córki, książę Izydor sprzeciwił się wydaleniu pani Fanfar i postanowił przyjąć osobnego nauczyciela gry fortepianowej. Ktoś ze znajomych zarekomendował Gustawa Pirskiego, znanego muzyka, prawie artystę. Umowa poszła łatwo i nowy nauczyciel niebawem zamieszkał w pałacu Horochoskim.

W pierwszym roku nauki Zosia ogromne zrobiła postępy w muzyce. Pirski obdarzony przez księcia cennym podarunkiem pozostał na rok drugi.

Pozornie w pałacu wszystko szło dawnym trybem, baczne jednak oko mogło dostrzedz pewną zmianę w obejściu księżny z młodym guwernerem. Pani Laura zaczęła okazywać jakąś niechęć ku Pirskiemu, którego książę w poufnej rozmowie z żoną zwykle bronił i usprawiedliwiał się starał.

Książę, wielki miłośnik kwiatów, miał zwyczaj odbywania codziennie długiej przechadzki w ogrodzie—najczęściej można go było spotykać w popołudniowych godzinach idącego ku cieplarniom lub w parku, gdy deszcz padał brał parasol i chodził po żwirowanych alejach. Czasami odbywał spacer w towarzystwie żony i dzieci, lecz częściej sam przechadzał się zadumany. Ogród na tem zyskiwał, gdyż ogrodnicy

widząc, że pan ma baczne oko, nie opuszczali się w pełnieniu swoich obowiązków, nie szczydzili nawet pracy osobistój. Ogród więc był utrzymany nader starannie i czysty jak salon nęcił ku sobie teraz podwójnie, gdyż bzy i jaśminy kwitły a drzewa owocowe przysyłały nawet z oddali aromaty cudowne.

Nie ma podobno człowieka takiego, któryby w porze najwonnejszój wiosny nie lubił ogrodu—chyba potwór wyzuty ze wszelkich uczuć, a więc nie godzien nazwiska człowieka mógłby być obojętnym na uroki wiosennych czarów natury.

Zadowolony ze wszystkiego co go otaczało, książę przechadzał się dłużej niż zwyczajnie i w wybornym był humorze, gdy spotkał panią Fanfar nie zwykle jakoś pomieszaną i zdążającą prosto ku niemu.

— Cóż, jakże się pani podoba nasz kraj w porze obecnej? zawołał wesoło książę, sądząc, że nieby mu zarzucić nie można, chyba tylko to, że nie jest Francją?

Ale pani Fanfar skinęła tylko głową a obejrzawszy się w około z tajemniczą miną zbliżyła się i rzekła:

— Tu nikt nas nie podsłucha, mam wielką prośbę do księcia—pozwoli mi pan być otwartą?

— Ale i owszem, proszę mówić, odparł książę Izydor zatrwożony złym jakimś przecuciem. Proszę wierzyć, że postaram się panią zadowolnić, gdyż wierzę, że niepodobieństw żadnych wymagać pani nie będzie...

— A właśnie mości książę mam prosić o rzecz łatwą z pozoru, ale trudną w rzeczywistości.

— Więc słucham, a potem obaczymy co czynić wypadnie, odrzekł książę zaniepokojony jeszcze więcej.

— Racz mi książę powiedzieć, czy wierzysz w moją życzliwość dla państwa?

— Najzupełniej, gdyż miałem czas zebrać dowody najprzychylniejszych uczuć pani względem całej naszej rodziny, odpowiedział książę.

— Że tak jest, mówiła francuzka, mogłabym przysiądz na krucyfiksie. Jeśli więc książę masz mię za uczciwą kobietę pod każdym względem, a nie za intrygantkę nie godną zaufania, daj mi słowo iż to co zaproponuję, uczynisz książę bez wahania.

Książę się zawahał i zwlekał z odpowiedzią.

— Upprzedzałam że będę wymagać wiele, ale teraz jeszcze raz mogę upewnić, iż tu wcale nie idzie o żadne moje korzyści materyalne—nie umiem i nie chcę być nikczemną wyzyskiwaczką zaufania pańskiego. To o czem mówić mam, dotyczy jedynie osoby księcia i z tego względu wyłącznie ośmielam się domagać nieograniczonego zaufania.

Jakkolwiek pani Fanfar umiała sobie pozyskać najkorzystniejszą opinię właścicieli Horochowa, wszakże pomimowolnie przyszły księciu na myśl awanturnicze usposobienia paryżanek, rozgłośnych ze swoich licznych skandali; sama niezwykajność żądania francuzki na stręczała podobne przypuszczenia. Rzekł więc po chwili lowej rozwadze z lekkim odcieniem niezadowolenia.

— Zdaje mi się że przypuszczenie, iż zadość uczynię żądania, nieprzekraczającemu granic możliwości, powinno by dla pani być wystarczającym i dostateczną rękojmnią.

— Niech będzie przeklęty, kto tak wysoce szlachetnemu człowiekowi śmiałby nie wierzyć. Dla mnie

osobiście sama prawość księcia byłaby wystarczająca; ale w tym wypadku wyjątkowym powinnam mieć uprzednio słowo, nawet tak honorowego jak książe człowieka. To nie brak zaufania, to trwoga zmusza mnie do tego wymagania, które jest pierwszym i ostatniem zarazem, gdyż potem powinnam opuścić ten kraj i niezwłocznie odjechać do Francyi.

— Prawdziwie że mię pani zaciekawia i przeraża zarazem, mówił książe jaskająco, niech pani moja dyskretya wystarczy...

— Zaklinam cię panie na święte popioły twych przodków, na przyszłość twych dzieci—nie odmawiaj mój prośbie... moje uczucia raczej moja wdzięczność jest tego rodzaju, że ja nie mogę być obojętną... ja muszę... Patrz książe na kolanach błagam cię o zapewnienie, iż to co powiem uczynisz dla własnego dobra i rodziny całej...

Przy tych słowach pani Fanfar z teatralnym niby ruchem osunęła się na kolana i łzy błysnęły w oczach francuzki.

Przerażony książe podniósł kobietę i w porywie jakiegoś rozdrażnienia nerwowego, dał słowo żądane pod naciskiem sceny niezwykłej.

— Mów więc pani teraz, czego odemnie żadasz... Nie dręcz mię więc—ulituj się nareszcie! błagał książe chwytając oddech z wysiłkiem.

— Dziś o godzinie dwunastej trzeba abyś książe był w tym oto kłambie ukryty, rzekła nauczycielka ukazując ręką na grupę drzew otoczoną bzami...

— I cóż mam tam czynić? zapytał książe przerywając niecierpliwie mowę francuzce.

— Być tylko cierpliwym i rozważnym koniecznie.

— Jakież jest cel, wytłómacz mi pani, błagalnym głosem molestował książe.

— Jestem przekonana, że danego słowa książe nie cofnie, i jako człowiek honoru, dotrzyma i wypełni zobowiązanie, gdyż to jest jedyny cel mojej prośby... więcéj nie nad to nie żądam.

— Tak jest wypełnić muszę, stawszy się zbyt ulegle niewolnikiem własnego przyrzeczenia... Nie dając objaśnienia nadużyłaś pani mego zaufania, wyrzekł książe zgnębiony.

— Wyjaśnień żadnych udzielić nie mogę, a przysięgam biorąc niebo na świadka, że tajemnicę moją biore do grobu.

Powiedziawszy te słowa pani Fanfar oddaliła się szybko, pozostawiając księcia w niemem osłupieniu.

Widać, że jakieś ciężkie i gorzkie myśli opanowały księcia, gdyż widziano go długo jeszcze przechadzającego się po alejach ogrodu, ze smutnie pochyloną głową ku ziemi...

Na drugi dzień po opisanem zdarzeniu, o godzinie jedenastéj wszedł książe do buduaru żony, bladym był i zmieniony bardzo, pozornie zimny i spokojny. Zastał księżnę rozmawiającą z garderobianą, która natychmiast opuściła pokój.

Gdy zostali sami twarz księcia Izydora wyrażała boleść niewysłowioną, księżna zaś mimowolną trwożę

zdradzała. Chwilę przydłuższą trwało milczenie okropne... Ani jedno słowo nie padło jeszcze, gdy oczy wypowiedziały tyle grózb, rozpaczy i niemój boleści, że wyrazy zdawały się zbyteczne prawie.

Książę Izydor siedział z załamanymi rękami, z jakąś rezygnacją męczeńską, a usta zaciśnięte drgały nerwowo: śnać uznał się jeszcze niedostatecznie przygotowanym do koniecznej rozmowy i pracował jeszcze w głębi ducha dla zdobycia równowagi potrzebnej. Księżna zaś przejęta tajemniczą trwogą, śledziła wyraz twarzy męża i czekała zrezygnowana, jak winowajca upokorzona i gniewna.

Nareszcie książę przetarł ręką zasępione czoło, jak gdyby chciał spędzić myśli natrętne, i głosem zmienionym odezwał się w te słowa.

— Wiem o wszystkim—tak jest, wszystko mi jest wiadome... nie chcę nawet mówić o sobie, ale czy zastanowiłaś się Lauro, że mamy dzieci, że opinia matki jest spuścizną dla córki, nawet wtedy gdy nazwisko znieważone zostało? Jedyne moje wymaganiem w chwili obecnej, największem poświęceniem na jakie obrażony mąż i ojciec zdobyć się może w podobnem nieszczęściu; jest postanowienie aby uczynić wszystko, byle popełniony skandal nie nabrał rozgłosu, stając się jawnym dla świata... boleść moją zamknę w głębi zrozwalonego serca i tam jęj ludzkie oko nie dosięgnie... potrzebuję tylko czasu dla odzyskania zimnej krwi, żeby ułożyć plan dalszych czynności... Mam w Bogu nadzieję, że mi dopomoże rozwiązać to straszne i trudne zadanie... gdyż idzie mi o przyszłość dzieci niewinnych, które noszą nazwisko niepokalane dotąd.

Przy tych słowach wymawianych urywano i z wysileniem, książę przysłonił oczy ręką dla ukrycia nerwowego wzruszenia... Pierwsza księżna przerwała milczenie długie jak wieczność, a ciężkie jak zbrodnia.

— Nie wchodząc czy ślepy traf, czy rozmyślne szpiegowanie odkryło moją tajemnicę, zaprzeczać faktowi nie mogę, gdyż wszelkim fałszem się brzydzę. Książę masz słuszość w sprawiedliwym oburzeniu obrażonego honoru... lecz że siła ludzka nie jest mocną do zawracania faktów spełnionych, jak również kobieta wyjątkowo tylko panować może nad słabością własnego charakteru i potęgą uczuć, któremi się rządzi i najczęściej ulega, wszystko to odczuwam aż nadto; ponieważ odtąd stałabym się w domu nienawistnym tylko ciężarem, przeto uważam za jedyny punkt wyjścia z fatalnego koła przeznaczeń, który jedynie usunąć zdoła powikłania obecne, i życie dla nas możliwem uczyni, jest rozwód, z warunkiem, że Zosia zostanie przy mnie.

Wszystko to wypowiedziała z chłodem iście prokuratora i umilkła. Twarz księcia wyrażała pogardliwe zdumienie i gniew tajony.

— Odgadłaś księżno moje projekta, bo i ja myślałem o unieważnieniu małżeństwa, gdyż u katolików rozwód nie egzystuje, tylko chciałbym aby sprawa uniknęła skandalicznego rozgłosu i nie wiem jak...

— Żaden rozwód czy separacya nie uniknęła dotąd obmowy i komentowania złych ludzi; coby nie było fakt głośnym być musi odrzekła Laura obojętnie.

— Zapewne, ale chciałbym aby choć żer był mniejszym dla złośliwych języków, odparł książę poważnie, jak gdyby mówił o zwykłym interesie poddanym dys-

kussyi. Jak tylko otrzymam pasport, natychmiast pojadę do Rzymu aby tam sprawę rozwodową przyspieszyć, tu w konsystorzu mój adwokat Stemploski dopilnuje wszystkiego. Co się tyczy utrzymania, księżna będzie mieć odpowiednio naznaczoną rentę roczną... z Zosią rozstawać się nie mogę... usuń pani to wymaganie ciężkie...

— Żadnych ustępstw!... renty nie przyjmuję, nie wniósłszy posagowej summy, byłoby ono poniżeniem, do którego nie zmusić mię nie zdoła, nawet ostateczna nędza... Nigdy mości książe nie przyjmę łaski żadnej... wołała gwałtownie kobieta przemieniwszy się w furę, córka powinna być przy matce.

— Racz księżno się nie unosić biorąc przykład ze mnie, rozważmy kwestyę sporną powoli...

— Przepraszam, książe nie masz prawa mi ubliżać dobrodziejstwem, zawołała Laura porywco, ani odmawiać praw macierzyńskich.

— Mówmy chłodniej, uniesienia gwałtowne stawiając motywa...

— Usuńmy tylko kwestyę dobrodziejstw z rozmowy naszej, przerwała Laura nie dając dokończyć frazesu, a zgodzę się bez oporu ze wszystkim, gdy Zosią opiekować się będę.

— To nie są dobrodziejstwa lecz następstwa konieczne, zauważył książe z lodowatym spokojem—nie ma skutków bez przyczyn...

— Zważ książe, że wszelkie dobrodziejstwa najczęściej piętnują miłosierdziem i litością obdarowanych. Na to nigdy nie przystanę. Nigdy!...

— Proszę o chwilkę cierpliwości: Zosia nie powinna być pozbawioną opieki macierzyńskiej, chybaby tak

straszne nastąpiły wypadki, że nawet o nich wspomnieć nie mogę...

Wtedy nie zważałbym już na nic i nie cofnął się przed niczem... gdyby jakikolwiek cień postać matki na moją córkę rzuciła...

— Zbyteczne są twe obawy mości książe, odparła z dumą Laura—wiem co jestem winną memu nazwisku, i godności własnej nie poniżę z pewnością: Zdaje się, że już wyczerpaliśmy cały wątek tej przykrój rozmowy, więc pozwolisz książe że odejdę... dodała po chwili wstając z fotelu.

— Za pozwoleniem, jeszcze nie wszystko powiedziałem i o chwilkę cierpliwości proszę. Jeśli chcesz aby Zosia została pod opieką pani, musisz przyjąć sumę, którą naznaczę na edukację księżniczki, inaczej być nie może, to ostatnie moje słowo w tej kwestyi.

— Dobrze, zgadzam się z tem warunkiem, że będę składać rachunki z ilości wydanych pieniędzy, rzekła Laura po krótkim namyśle.

— Niechaj i tak będzie, byle mojej córce niczego nie brakowało. Drobnе szczegóły zostawiam na później i żegnam panią.

To powiedziawszy, książe skinął głową i szedł krokiem wolnym ku drzwiom, lecz nagle zwrócił się jeszcze jak gdyby mu żal było występnej kobiety, patrzył na nią chwilę bolesnym wzrokiem i szepnął pół głosem:

— Przypomnij pani Pirskiemu, że jutro powinien dom ten opuścić—należność za rok cały wypłace mu dzisiaj.

Po tych słowach książę Izidor opuścił salonik, w którym przeżył najcięższą chwilę swego życia.

Od pół roku cisza klasztorna zalegała Horochowską rezydencję. W pałacu mieszkała tylko księżna Laura wraz z panią Fanfar nauczycielką Zosi. Żaden gość od czasu wyjazdu księcia nie odwiedzał Horochowa, służba się opuszczała w obowiązkach lub rozbiegała ciągle; ładu dworskiego nie było nigdzie — chaos był kompletny. W pałacu, w ogrodzie, w stajniach dworskich, wszędzie czuć było że nie ma téj ręki, która nakręcała całą maszynę gospodarską.

Księżna Laura nie pytała o nic, nie interesowała się niczem, uważając siebie od czasu wyjazdu księcia, za przymusowego gościa w domu, w którym panią była do niedawna.

Służba czuła że coś anormalnego zawisło nad pałacem książęcym i poruszała się apatycznie. O księciu wiedziano tylko, że bawi za granicą, ale gdzie się znajduje, co porabia, lub kiedy powróci, nikomu nie było wiadomem. Może generalny rządca dóbr miał jakie relacje listowne, ale i ten milczał załatwiając wszystkie interesa bieżące podług własnego uznania. Zapewne musiał mieć taką instrukcję, gdyż na wszystkie zapytania jakie mu zadawano, zwykle wymijające dawał objaśnienia składające się nieświadomością absolutną. Co tygodnia dopraszał się widzenia z księżną, zapytując czy nie brakuje jej czego, lub czy nie ma jakich rozkazów do spełnienia.

Posłuchania w salonie bywały bardzo krótkie i z jakąś oficjalną ceremonią odbywały się zwykle.

Księżna oświadczała zawsze, że nie ma do rozkazywania, grzecznie dziękowała za troskliwość, a pan pełnomocnik nie chcąc być natrętnym pani, żegnał ją głębokim ukłonem i odchodził natychmiast.

Pomimo, że co tygodnia pojawianie się pełnomocnika w apartamencie księżny nie chybiło ani razu przez ciąg kilku miesięcy, księżna ani jednego żądania nie objawiła dotąd, choć mogłaby wiele powiedzieć o niesforności służby wyłamującej się coraz więcej z rygoru. Oświadczała zwykle, że ze wszystkiego jest zadowolona i pan jeneralny rządca na tém poprzestać musiał.

Od dnia wyjazdu księcia Izydora, księżna prowadziła życie iście klasztorne, gdyż nikt z gości jej nie odwiedzał, i ona nie wyjeżdżała nigdzie. Pani Fanfar nie rozmawiała z księżną nigdy, ograniczając się jedynie odpowiedziami na dawane jej zapytania; jakiś przymus dławił i rozdzielał obie kobiety.

Jedna Zosia tylko ożywiała swoim szczebiotem ponurość pałacowych pokoi oniemiałych raptownie.

Księżna Laura spędzała dni całe na czytaniu lub haftowaniu ornata, codziennie wychodziła tylko na spacer do parku z pochmurną nauczycielką i Zosią swywolną, gdyż Tomcio był na pensyi w Odessie. Smutne to były przechadzki pomimo uśmiechniętą naturę w starym i starannie utrzymanym ogrodzie; Laure nie rozweselić nie mogło, gdyż ponure myśli jak sępy otaczały ją jedynie.

Każdy fałszywy krok w życiu człowieka wlecze za sobą troskę pokutną: czasem ona się spóźnia, ale rzadko, ale rzadko bardzo chybia w następstwach. Początek ekspiracyi już się rozpoczął nawet, lecz w my-

ślach księżny Laury była to tęsknota do wyidealizowanego raju, którego bramy miał rozwód otworzyć. Kobieta łudziła się iście z naiwnością dziecka, że dla niej jaśniejsze lata nastaną...

Trzeba jednak przyznać, że oczekiwała dnia wyzwolenia z wielką cierpliwością, pełna godności i dumy w pojęciu rozluźnionej wyobraźni. Teraz już nawet najsurowszy moralista najlżejszej choćby płochości zarzucić jej nie mógł — tak się ściśle zastosowała do woli mężowskiej, czy też może podejrzywała, iż jest strzeżoną pilnie choć tajemniczo; może bała się ryzykować, by nie uległ jakiejś katastrofie ten, o którego głównie jej chodziło, aby się nie narażał i własną wolą trzymała go z dala.

Poczta poblizkiego miasteczka dwa razy na tydzień dostawiała listy, dnie więc a nawet godziny dnia tego miały dla księżny najwyższy interes. W dniu pocztowym siadała zwykle z robótką przy oknie, z którego bramę wjazdową było widać i wyglądała powrotu posłańca. Po odczytaniu otrzymanych listów, skutki bywały różne, czasem się ożywiała twarz księżny, innym razem posepniała widocznie, o treści zaś listów nie wspominała nikomu.

— Dla czego papcio tak długo nie przyjeżdża, pewno przestał nas kochać gdy mu do nas nie tęskno, zapytywała dość często Zosia matkę, która zwykle jakieś błahe podawała powody, że ojciec za granicą musi pozostawać dłużej.

— Ale może papunio chory, gdy do mamy nie pisuje nawet, zapytała innym razem Zosia, zalewając się łzami.

Nie mając innego sposobu uspokojenia córki, księ-

zna pokazała Zosi ustęp z listu w którym książę o córce mówi i zapytuje o jej zdrowie. To poskutkowało wybornie, Zosia odzyskała zwykły swój humor, a nawet na drugi dzień sama napisała list do ojca obszerny i prosiła, aby go na pocztę odesłano natychmiast, dla uspokojenia obaw ojcowskich.

— Kochana pani Fanfar, nie śmiej się ze mnie, że byłam tak nieroztropną i od dawna nie napisałam do mego najdroższego papuńcia, mówiła Zosia, wywnętrzając się przed nauczycielką. On tam tęsknił za nami i może myślał, że ma bardzo złą córkę, ale już go za to przeprosiłam.

— Uspokój się Zosiu, nie tak bardzo złego się nie stało, mówiła pani Fanfar pieszcząc ukochaną swą elewkę—nie przeczę, że papie byłoby bardzo miło odebrać list od ciebie, wszakże pozbawionym wiadomości o tobie nie był, gdyż polecił mi wyjeżdżając, abym mu jak najczęściiej donosiła wszystkie szczegóły ciebie dotyczące. Po dwa listy obszerne otrzymywał książę odemnie co tygodnia...

Zosia rzuciła się na szyję swęj nauczycielki i poczęła ją całować szczebiocząc:

— Jakże pani jest dobrą i kochaną, że pamiętała o zrobieniu przyjemności mojemu papie, i ścisnęła francuskę dziękując serdecznie. Odtąd razem pisywać będziemy, wszak prawda, że tak będzie lepiej, projektowała Zosia.

— Ale i owszem, odparła nauczycielka, żałuję tylko, że mi to pierwój na myśl nie przyszło.

— Oho! już się pani obwinia, nierozważną jestem, zrobiłam pani przykróś, niechże się choć moja naj-

lepszą opiekunką nie gniewa na swoją roztrzepaną Zosię. I przymiliła się a przepraszała bez końca, choć pani Fanfar ani myślała się gniewać na pieśczoną swą uczennicę.

Księżna choć nie miała jawnego powodu, instynktownie nie lubiła francuzki, a szczególnie podczas wybuchów czułości i pieśczoł Zosi; odczuwała jakąś niechęć wypływającą z zazdrości uczuć macierzyńskich. Gdy była obecną mitygowała te objawy czułości strofując, aby się nie uprzykrzyła pani Fanfar, która do brotliwie to znosi, lecz niemniej jest nieprzyzwoite dla słusznej panienki.

Pani Fanfar zwykle stawiała w obronie elewki, upewniając, że pieśczoły ukochanej Zosi są dla niej miłe i przyjemne, i wszystko się kończyło całusami i pieśczołą.

Strofowania miały ten skutek, że Zosia będąc samą na sam z nauczycielką wywnętrzała się przed nią ze swoich dziecinnych tajemnic, nie szczędząc czułości i karesów dla pani Fanfar, która wywzajemniała się jej serdecznie.

Taki był tryb życia mieszkańców Horochowieckiego pałacu, dnie wlokły się długie, układając się w monotonne miesiące przesiąknięte smutnem oczekiwaniem.

Była godzina trzecia po południu, księżna siedziała w małym saloniku zajęta wykończeniem przepysznego ornatu. W przyległym pokoju, pomimo że drzwi były przyknięte, słychać było, jak Zosia przerabiała lekcye zwyczajne. Patrząc na księżną haftującą można się łatwo domyślić, że myśli jej nie towarzyszyły zajęciu; czasem kładła igłę na krośnach, wpadała w zadumę,

to znów dobywała mały pugilaresik z fotografią, wpatrywała się w nią długo, a może ze łzami...

Księżna z posepną twarzą stanowiła ogromny kontrast ze swym otoczeniem. Salonik bowiem wyglądał wesoło i rozkosznie i zdawał się usposabiać do radości szczerzej. A jednak księżna Laura dźwigała na swym czole troskę wyraźną. Może oswojonej z przeplechem mieszkania, nie zwracała nawet uwagi na śliczne płótna malowane ręką Siemiradzkiego, piękny szkic Rossowskiego i Alma Tademy; poczucie estetyczne i uwaga spowita w żądze namiętne spała jak marmurowy Amorek Brodzkiego na kominku, tylko jak on nie owiana świętem technieniem artyzmu.

Przepiękne kwiaty ustawione w żardinierze napróżno roztwierały swe czarujące kielichy pełne upajającej woni, nie mogąc zwrócić ku sobie uwagi ładnej kobiety, jedynego świadka ich krasy i wdzięku. Kwitły wśród zimnej atmosfery salonu, przeglądając się jedynie w dużym zwierciadle, chłodnym jak lodu powierzchnia. Biedne kwiaty! nikt ich nie pieścił, nikt nie kochał i nie podziwiał, marniały jak człowiek w pustyni...

Cicho i bez szelestu po perskim dywanie wszedł kamerdyner i zaanonsował:

— Pan Stemploski przyjechał w interesie księżny pani.

Księżna drgnęła w fotelu i lekki rumieniec wystąpił na lica; chwilowe wzruszenie zatamowało jej oddech, tak, że ledwo mogła wymówić:

— Niech wejdzie.

Kamerdyner wyszedł i drzwi za sobą zamknął.

Stempłowski, był to adwokat księcia Izydora, po-

pierający sprawę rozwodową. Przybycie tego człowieka nie mogło przejść bez wrażenia, któremu księżna uległa momentalnie. Ochłonęła jednak prędko i gdy wchodził adwokat do salonu, wzruszenie zatarło się zupełnie, tak że mogła mówić spokojnie o każdym interesie.

Stemploski wyglądał na eleganta, z modnego stroju, z układu i obejścia na człowieka dobrze wychowanego i pewnego siebie, co dowodziło, że nie przekroczył jeszcze trzydziestoletniego rubikonu. Wierzył w swój spryt, ufał swój gwiazdzie, co w dziewiętnastym wieku młodym ludziom przyświeca wyłącznie, oraz silnej woli, że zdobędzie fortunę a z nią i sławę zarazem.

Był to model zwyczajny z młodzieży najnowszej edycyi, z ogromną dozą szumnych słów w ustach z przepełnioną zarozumiałością głową. Poznawszy go bliżej można było przypuścić, że gdy krewkość wyszumi i balastu próżności umniejszy, będzie użytecznym człowiekiem.

Młody człowiek wszedł trzymając w ręku portfel z papierami, usiłując sobie nadać minę ministeryalną, choć nigdy w życiu ministra nie widział. Wszedłszy uklonił się dość zgrabnie. Księżna skłoniła z lekka głową ukazując fotel.

— Daruje księżna, że znowu prosić muszę o podpis...

— Zdaje mi się, iż już cały kałamarz atramentu zużyłam na niezliczoną ilość podpisów, jak dotąd bezskutecznych, odezwała się księżna przerywając adwokatowi frazes porywco.

— Gdyby nieodzowność formalności prawnych nie

zmuszała mnie do wymagań, nie ośmieliłbym się być księżnie natrętnym kilkakrotną prośbą.

— Panowie umiecie, gdy się wam podoba, skrócić lub przedłużyć konsystorski ceremonjał, odpowiedziała księżna rozdrażniona nieco. Tyle czasu zmarnowaliście panowie bezskutecznie, że niecierpliwość moja jest konsekwentną.

— Niech księżna raczy mi wierzyć, iż szybszego toku sprawie rozwodowej nadać chyba nie podobna. Sądzę, że książę wydał już poważną summę na pospiech możliwy, ale... rozwody u nas są rzadkie a odnośne paragrafy zawikłane i trudne do zastosowania; z tego powodu formalistyki mamy mnóstwo i ta opóźnia procedurę prawną. Książę mnie wzywał telegraficznie i przed tygodniem dopiero wróciłem z Rzymu.

— Jakto pan jeździłeś do Rzymu?

— Tak jest, mogę więc zaświadczyć jakich starań dokłada książę, aby jak najprędzej rozwód otrzymać.

Księżna urażona w dumie przygryzła usta aż do krwi.

Stemploski mówił dalej:

— Niestety! w obec teraźniejszego postępu wszystkich nauk, prawa rozwodowe nie uwzględniają potrzeb chwili obecnej, która się domaga reformy w zastosowaniu do pojęć tegoczesnej kobiety; ztąd wynikają trudne pozycje małżeńskie a nawet ucisk młodszejszego nad słabszym. Ale cóż mamy czynić, dura lex est lex, musimy wyszukiwać dróg legalnych możliwie, zanim się dzieło doprowadzi do końca.

— Sądziłam, że jeśli obie strony zgadzają się, samo prawo ułatwia rozwiązanie kwestyi, czyniąc załość stronom interesowanym. Czemuż panowie nie

zkoregujecie niedogodności kodeksu, przecież to wasza specjalność, a pozyskalibyście wdzięczność potomną.

— Niestety, księżno, my prawnicy jesteśmy tylko tłumaczami prawa w zmuǳnym zastosowywaniu onych do danych potrzeb i celów.

— A w takim razie rola panów redukuje się do zera, odparła księżna z nieukontentowaniem, niepokoję klientów dla was są obojętne.

— Księżna z jednćj ostateczności przechodzi w drugą krańcowość, nasza rola jest pośrednią, czynimy to co jest możliwem, legalnem a sumiennem, i często za naszą pracę otrzymujemy niesłuszną wymówkę za opieszałość. Ciernistą jest droga naszego zawodu. Ostatnie słowa wymówił Stempłoski z naciskiem wyraźnego nieukontentowania.

Księżna uczuła potrzebę wygładzenia złego wrażenia, nie chcąc zniechęcać potrzebnego człowieka, odezwała się więc pojednawczo:

— Przepraszam pana, możem się nie jasno wysłowiła, ale panowie sami winni jesteście, wprowadzając swoich klientów długiem oczekiwaniem w taki stan nerwowego rozdraźnienia, że obawy biorą górę, aż stają się niesprawiedliwymi.

— Nawet w chwili gdy się słówko podziękowania należy, dodał Stempłoski cierpko, spada na nas często grad niesłuszných wymówek.

— Przesadzasz pan, w takich razach zarzuty byłyby kaprysem, albo istotnem pokrzywdzeniem zasług...

— Właśnie jestem teraz w takićj pozycyi, odparł Stempłoski.

— Tworzysz pan zagadki, lecz zostawiam pole

do rozwiązywania onych chętniejszym amatorom łami-główek. Proszę o papiery które mam podpisywać, do-dała księżna pragnąc się pozbyć prędzej nieznośnej obecności adwokata.

Stemploski sięgnął do teki i począł wyszukiwać dokumenta.

— Zagadki byłyby nie w porę, gdy przywiozłem dowody ukończonego rozwodu a nawet indult wydany wraz z listem od księcia.

— Co! pan przywiozłeś te papiery i nie mi nie mó-wisz o tem, zawołała księżna podchodząc szybko ku adwokatowi.

— Tak jest księżno,—oto one są, rzekł Stemploski podając papiery—na tym zaś arkuszu raczy mię księż-na pokwitować z odbioru...

— Zechciej pan zapomnieć że byłam księżną, i pochwyciwszy pióro ręką drżącą od wzruszenia, pi-sać poczęła z gorączkowym pośpiechem.

— Teraz jestem dłużniczką pańską, proszę więc objaśnić ile mu winną zostaje?—pytała Laura podając papiery podpisane.

— Ani grosza, rachunki uregulowałem z księciem... pozostaje mi tylko pożegnać panią życząc pomyślności, i po tych słowach Stemploski sięgnął po kapelusz le-żący na konsoli.

Laura otworzyła biurko i schwyciwszy paczkę ban-knotów podała je Stemploskiemu.

— Proszę to przyjąć ode mnie, jako oznakę mojej wdzięczności.

— Dziękuję pani, jestem opłacony a gratyfikacya żadna mi się nie należy, spełniłem tylko mój obowią-

zek. Bardzo pani dziękuję i żegnam, mam jeszcze w instrukcyi pilne sprawy do załatwienia śpieszyć się muszę.—Po tych słowach oddał ukłon, szybkim ruchem otworzył drzwi i wyszedł z salonu.

Laura pozostała sama w pokoju i konwulsyjnie ścisnęła w rękę pieniądze wzgardzone przez adwokata. Innym razem nie zwracałaby na chymere plenipotentą żadnej uwagi, teraz przy zmianie położenia wyobraziła sobie, że doznała upokorzenia litości, która boleśnie zraniła jej dumę. Od kobiety biednej pieniędzy brać nie godzi się, gdy przestała być magnatką. Tą myślą dręczona, cisnęła pieniądze na stół najbliższy a sama rzuciła się na fotel. Przed chwilą tryumfujące czoło okryło się chmurą i brwi ściągnęły się groźne. Długo oczekiwała upragnionój wyzwolenia chwili, lecz gdy ona przyszła i uczyniła ją panią swój woli, Laurę opanował lęk niewieści, zachwiała się w postanowieniu... jakiś nieprzewidzialny żal ją ogarnął, żal za przeszłością i minionem szczęściem, którego wrota zaparła sama. Widać że odwaga kobieca opuściła Laurę w stanowczym momencie bo łzy wytrysnęły z oczu. Tęsknota za synem, którego pożegnać nawet nie mogła, samotność pod dachem do nie dawna własnego domu, który się od razu w gościnny hotel przemienił, gdzie nie miała już powiernika trosk serdecznych, przygnębiły dumną, lekkomyślną kobietę. Zdawało się Laurze, że jest więźniem w mieszkaniu, gdzie tyle lat pomyślnych przeżyła obok najzacniejszego człowieka, któremu odpłaciła szkaradną niewdzięcznością, znieważając cześć rodzinnego gniazda występkiem, który kochające serce obraził.

Na usprawiedliwienie swojej płochości wyszukiwała

plam i przewinień w postępowaniu męża, ale napróżno myślała przebiegała przeszłość, czyny księcia Izydora były czyste i szlachetne, i chyba fałsz złośliwy mógłby utworzyć jakąś potwarz bezczelną; zresztą oszczerstwo nie uspokaja nigdy wyrzutów sumienia, tego trybunału prawdy bezwzględnej—tam liczmamy nie mają żadnej wartości...

Powoli gdy pierwsze wrażenie minęło, poczęła się oswajać z nowym położeniem, otarła łzy, bo przypomniała sobie tego, dla kogo cierpiała, to dodało i pokrzepiło upadłą odwagę. Niechęć wzrok jej padł na zwierciadło... błada błyskawica zadowolenia zamigotała w źrenicach kobiety, pewno zwierciadlana szyba upewniła ją, że może być jeszcze długo piękną i szczęśliwą. Omamiona zapomniała smutne motywa dnia dzisiejszego, zapomniała że nadzieja często zawodzi, a przypomniała sobie list księcia i przeczytała go szybko. Myślała jeszcze chwilę i rozważała położenie obecne, potem wzięła pióro i poczęła gwałtownie pisać list, arkusik włożyła w kopertę, zapieczętowała, położyła na nim adres i zadzwoniła. Garderobiana ukazała się we drzwiach.

— Proszę mi przygotować do podróży walizy i bieliznę, suknie potrzebne sama wybiorę dla siebie i dla Zosi. A podając list garderobianie rzekła: Niech koniuszy natychmiast wyśle ten list przez pewnego człowieka aby dziś koniecznie mógł być doręczony podług adresu. Tylko niech nie zwleka z wysłaniem bo interes jest pilny... bardzo nawet pilny dodała w końcu.

Służąca wzięła list, skinęła głową w milczeniu i na palcach wysunęła się z salonu dla wypełnienia rozkazów.

Pani Laura spełniła pierwszy czyn samodzielny, który był pierwszą akcją swobody osobistej. Jako rozwódka musiała sama myśleć o sobie, konieczność położenia pobudziła energię omdlałą przed chwilą pod naciskiem wrażeń. Opanowało ją teraz jakieś upojenie namiętnością, jakaś gorączka czynu—z apatycznej sytuacji przerzuciła się od razu w działalności sferę, bo krańcowość jest podstawą kobiecych charakterów a pani Laura miała temperament czysto niewieści.

Napisała jeszcze list drugi i zapieczętowałwszy, położyła go na widnem miejscu i wyszła do pokoju ubieralnego by wskazać służącej jakie rzeczy zapakowane być mają.

Przygotowania te zabrały dość czasu i pani Laura nieco później jak zwykle zeszła do sali jadalnej na herbatę; pani Fanfar z Zosią oczekiwała przeszło pół godziny, zanim się ukazała gospodyni domu.

Zasiadły przy stole w milczeniu, nauczycielka smutniejszą jeszcze była niż zwykle i milcząca jak grób posępny. Pani Laura zamyślona również piła herbatę, Zosia gadatliwa zwykle, teraz nie wiedziała czem zacząć rozmowę, do której obie panie nie miały usposobienia. Miano już wstawać od stołu, gdy pani Laura wpatrując się w twarz córki spytała.

— Dla czego tak jesteś dzisiaj poważną Zosieczku? Może cię głowa boli, albo przemyśliwasz nad trudnością lekcyi jutrzejszej? dopytywała się troskliwie matka całując córkę serdecznie.

— O nie mam, jestem zupełnie zdrową i lekcję na jutro umiem doskonale, ale patrząc na smutnych posmutniałam także.

— A więc nudzisz się koteczko w towarzystwie

starszych osób — pomyślę o twoich rozrywkach, jutro pojedziemy i będziesz mieć rozrywkę dodała, pieszcząc się z Zosią.

Pani Fanfar rzuciła ku mówiącej piorunujące spojrzenie.

— Pojedziemy, pojedziemy, — wołała Zosia klaszcząc w dłonie; ja bardzo lubię jeździć i doskonale się zabawię w gościnie. Mama pozwoli w lasku wysiąść z powozu i nazbierać kwiatków bukiet ogromny... Wszak prawda mamusiu, że pozwolisz biegać po lasku i rwać konwalie?

— Pozwolę ci moje dziecko, pozwolę, bo dlaczegożbym miała ci wzbraniać tak niewinnej zabawki, rzekła Laura z uśmiechem pełnym dobroci i wyrozumiałości.

— Czy księżna doprawdy myśli o wyjeździe? — zapytała francuzka.

— Tak jest pani, jutro wyjeżdżamy po śniadaniu.

— Zapytuję o to, bo i mnie trzeba się upakować i być gotową, tłumaczyła pani Fanfar swoją ciekawość.

— Pojadę podwójną karetką i z Zosią tylko; we trzy byłoby nam za ciasno w powozie, odparła pani Laura spuszczać wzrok na filiżankę.

Pomieszcilibyśmy się jakoś utrzymywała Fanfar, chcąc towarzyszyć uparcie. Mogę się ograniczyć na jednej sukni i pakunkami księżnie ambarasu nie przyczynię.

— Nie pani, tę podróż odbędziemy same, Zosi należy się wypoczynek po lekcjach, pani zaś zostanie tu na gospodarstwie i mnie zastąpi w domu.

Na tych słowach zakończyły się przedwyjazdowe

pertraktacye, po których pani Fanfar ani jednym słowem nie oponowała. Zosia tylko snuła wątki wesołej podróży, dopóki nie wstano od stołu.

Nazajutrz od samego rana ruch był nie zwykły w pałacu Horochowieckim. Służba biegła i wynosiła pakunki różnorodne, przed stajnią przygotowywano powóz, bryczkę pod rzeczy i konie potrzebne. O godzinie dziesiątej wszystko było w pogotowiu, przed gankiem pałacowym stała mała karetka zaprzężona w cztery konie tylko.

Pani Laura ubrana cała w czerni—po odbytej rozmowie z wezwanyim pełnomocnikiem jeneralnym księcia, wyszła na ganek z Zosią; głęboko wzruszona pośpiesznie wsiadła do powozu wraz z córką i na znak pożegnania skinęła głową. Lokaj drzwiczki zatrzasnął, wskoczył na kozioł i konie ruszyły rącho z pod kolumnady pałacu... Żwir zgrzytnął naciskany kołami i lekki obłoczek kurzu kłębił się jak gdyby ścigał uciekającą karete.

Z rozmaitych kątów wyglądała służba układając plany wieczornych hulanek. Pani Fanfar stała w oknie i ocierała chustką łzy natrętne. Pełnomocnik chwilę patrzył za oddalającym się powozem, a gdy ten zniknął w zakrętach wiejskich uliczek, wzruszył ramionami splunął i szepnął sam do siebie.

Ciekawy jestem czego téj kobiecie tu brakowało i czem ona się ludzi? To nawet chymerą pańską nazwać się nie godzi — et! paskudny skandal i kwita... Żal mi naszego dobrego księcia... baba zwaryowała i kwita! zakonkludował pełnomocnik i ścieżką żwirowaną udał się do ogrodu.

Na dziedzińcu nie było nikogo, tylko dwóch kre-

densowych chłopców korzystając ze swobody rozpoczęli turnieje: mocując się z sobą zapalczywie, udało się im złamać prześliczną sztamową różę rosnącą na gazonie, co spowodowało ucieczkę do kuchni obu zapaśników unikających fatalnych następstw, gdyby ogrodnik dostrzegł wyrządzoną psotę.

Przed chwilą gwarny apartament księżny zaległa cisza głęboka, przerywana tylko brzękiem kilku much latających po wspianiem mieszkaniu...

Porozsuwane meble usiłowały wyrażać jakąś myśl ukrytą, ale nie było komu odgadywać tych tajemnic... Na biurku hebanowym w buduarze księżny leżał list zaadresowany do księcia Izydora, ale myśli zawartych w kopercie strzegła pieczęć z herbem i koroną hrabiowską.

Miasteczko R., odległe o parę mil od Horochowa rozsypało kilkaset domków i chat mieszczańskich, na lekko pochyłym wzgórku zakończonym skalistym i stromym urwiskiem, podmywanym co roku falami Dniestru w porze roztopów wiosennych. Dzika najeżona skałami pozycja właściwa brzegom Dniestrzańskim była tu nader uroczą. Prom przewozowy i łodzie rybackie ożywiały skalistą miejscowość, woń stepów mało zaludnionej Bessarabii, dochodziła z przeciwnego brzegu rzeki i odświeżała powietrze. Dwa języki rusiński i mołdawański czyli rumuński mieszały się ustawicznie u przewozu, kalecząc nawzajem czystość obu narzeczy; z powodu częstych komunikacyi i stosunków zobopólnych mołdawanów z pobereżanami, porozumiewają się oni złamanym językiem. Miasteczko R., ścigało na swój

rynek ludność zadniestrzańską, a zetknięcie stosunków handlowych zbliżyło ku sobie dwa pograniczne sąsiadujące plemiona odrębne, wnosząc nawzajem inny obyczaj w konserwatywną naturę podolskiego wieśniaka. Tak samo jak Mołdawanki kobiety pobereckie okrywają głowy i twarzą część białą *naframa* i jedzą codziennie ulubioną przez Mołdawanów mamałygę nie znaną zupełnie w głębi Podola. Za to po tamtej stronie Dniestru, gotują barszcz i pieką chleb żytni, którego nad Prutem nie znają wcale.

Przy obrzędach weselnych różne naleciałości spotykają się także; na pozór mało znaczne, wszakże dowodzące długoletnich stosunków.

U przewozu codziennie można było spotkać opasłe i leniwe postacie Mołdawanów odzianych w białe świty z wiszącą dużą kwadratową płachtą na plecach, zastępującą kaptur wybornie. Mołdawanki osłonięte *naframą* białą, przypominały wielkanocne baby okryte lukrem cukrowym, a zasłona ta podnieca ciekawość nie oswojonych przybyszów. Jednostki w dnie powszednie urastały w tłum liczny, śpieszący na targ dla sprzedaży wiejskich produktów, lub zakupu bławatów i rzeczy nieodzownych w gospodarstwie domowym przez przekupniów miasteczkowych dostarczanych obficie. Kupeczykom dobrze się z tem działo, a dla ułatwienia handlowych stosunków, żydzi mówili mołdawańskim, polskim i rusińskim językiem doskonale. Wrodzony spryt synów Izraela wszędzie im służył wybornie, a choć bogaczy żydów w miasteczku nie było, ale zamożnych ludzi nie brakło i ci sterowali nawą handlową.

Główne ognisko ruchu koncentrował rynek impo-

nujący elegancją zielonych, czerwonych i białych okiennic i bram domów zajezdnych; z których dwa miało dachy blachą zieloną pokryte. Sklepy nęciły przybyszów wysortowanym towarem i bakaljami podejrzanej świeżości, ale nie mniej przez to ponętnych dla podniebienia wieśniaczego chciwego słodczy. Nie zbyt wielka odległość od Odessy ułatwiała przywóz owych tureckich przysmaków sprzedawanych na przedmieściach odesskich za bezcen.

W szynkowniach stały ogromne beczki kwaskowatego wina dostarczanego z winnic besarabskich, które miało w miasteczku popyt ogromny, pili go bo było tanie nie wybredni w smaku bynajmniej. Słowem interesa, potrzeby i nałogi nawet mogły się tu zaspakać zadawalniając tak dla handlarzy, jak i dla konsumentów zarówno. Kilka rodzin z mniej zamożnej szlachty, istnych rozbitków z walki żywota pobudowało sobie domki w pobliżu kościoła, który był dla nich jedynym portem pocieszenia.

Stary doktor wileńczyk niegdyś uczeń Franka i Śniadeckiego dożywał wieku, nie mogąc się pogodzić z opiniami młodego aptekarza, który starca chciał jeszcze uczyć rozumu. Miał bowiem farmaceuta to przekonanie, że teraźniejszy aptekarz wyżej stoi w naukach, od dawniej daty doktora. Imponował więc starszszemu blagą i arogancją wmawiając w pacjentów, że powinni się radzić nowo zamieszkałego młodego lekarza, gdyż stary za czasów swojej młodości umiał nie wiele, bo sztuka lekarska była jeszcze w kolebce, a z wiekiem i tę odrobinę wiedzy uronił z pamięci. Pierwszy gniew aptekarza, wywołały małe dozy zapisywane w receptach starego doktora, a które on

uznawał za niedostateczne, chciał więc farmaceuta zdyskredytować miejscowego doktora a pozbawiwszy go praktyki, młodemu lekarzowi praktykę zapewnić. Aptekarz był człowiekiem złym i cheiwym zarazem, szczęściem tylko że sami mieszkańcy go nie lubili, gdyż zdzierał ich bez miłosierdzia w aptecce.

Był to jeden z ohydnych wielbicieli teoryi walki o byt, którą uprawiał i zastosowywał z upodobaniem, o ile się tylko dało nie przebijając w środkach.

Przyjemną antytezę stanowił proboszcz miejscowy; był to człowiek lat sześćdziesięciu kilku, pełen miłosierdzia dobroci i łagodności niezwykłej. Pobożny bez fanatycznej afektacyi, skromny i cichy pracownik, prawdziwy sługa ołtarza, opiekun i doradzca ubogich parafian, zasługiwał na szacunek tak ludzi wykształconych jak i prostaczków, za gorliwe pełnienie obowiązków kapłańskich.

W niedzielę każdą i w dnie świąteczne, wszyscy obecni na nabożeństwie, po summie schodzili się na probostwo, ażeby choć chwilkę spędzić w towarzystwie zacnego kapłana. Nie zwabiała tam gości kuchnia wystawna, gdyż ksiądz był nie zamożnym, a chętnie dzielił się z uboższą bracią groszem zapracowanym, lub na potrzeby kościelne oddawał co mógł ze skromnej własnej kalety. To też w budynku kościelnym nie było zamożności, ani żadnych krzyczących upiększeń, ale wszędzie widoczną była troskliwość serdeczna i starania gorliwe.

Mały kościółek utrzymywany z wzorową czystością usposabiał wiernych do modlitwy, a solenność nabożeństwa podniecała ducha poloty.

Najszcześliwszymi dniami w życiu księdza Sęskie-

go bywały te, w których otrzymał ofiary dla kościoła: wtedy staruszek nie posiadał się z radości, gdy mu ktoś z parafianów przyniósł parę lichtarzy, ampulki albo haft jakiś.

— Bóg zapłać, Bóg zapłać stokrotnie! mawiał wtedy, tak to lubię, te brzydkie pieniądze gdzieś się rozlizają i nie z nich nie ma. A komeszka długo będzie służyć na chwałę Bożą. Dziękuję serdecznie za ten haft prześliczny, istne cacko... nawet pasterz by nim nie wzgardził.

Chwalił więc staruszek a dziękował wszystkim, choć czasami rzecz ofiarowana piękną nie była, lecz nie chciał zasmucać ofiarodawcy naganą, pamiętając że wszelki dar jak i myśl każda, gdy z serca pochodzi piękną być musi koniecznie.

Z parafianami ksiądz Sęski żył w jak najlepszej zgodzie i miłował ich jak ojciec troskliwy; ale po nad wszystko co go otaczało kochał swój mały kościółek, tem uczuciem tylko żył i oddychał. W przekonaniu staruszka trwalszego i mocniej zbudowanego budynku nie było na świecie, choć w rzeczywistości kościółek ten doborowem materiałem nie imponował i zwykłym prowincjonalnym sposobem i środkami został wzniesiony.

Najpewniej jakiś domorosły architekt wykreślił skromny planik o jednej nawie, z podpartym frontem czterema kolumnami z cegły, nie roszczącemi praw żadnych do żadnego ze znanych architektonicznych porządków. Mała drewniana wierzyczka z krzyżem i sygnaturką stanowiła główną ozdobę kościoła. Większej skromności i prostoty w budownictwie chyba już trudno byłoby wymyślić. Wszystko to nie przeszkadza-

działo księdzu Sęskiemu do gorącej admiracji budynku ukochanego i głoszenia pochwał bez liku.

Razu pewnego oprowadzał hrabiego S. który się oświadczył z gotowością odrestaurowania kościoła. Staruszek proboszcz był w wyśmienitym humorze, gdyż hojność bogatego ofiarodawcy była znana.

— Gdy się te szczyrby poprawią, mówił ukazując na opadłe gzymsy i tynki, budynek przetrwa wieki. Niech hrabia raczy zwrócić uwagę na grubość ścian, pewno i chiński mur nie jest fundamentalniej wznie-siony. Teraz już takiej cegły niema nigdzie.

Hrabia się uśmiechnął i rzekł:

— Ciekawy jestem, cobyś szanowny księżę proboszczu powiedział ujrzawszy tam świętego Stefana w Wiedniu, lub Maryacki kościół w Krakowie?

— No muszą być większe i bogatsze z pewnością, ale w wytrzymałości i mocy murów wątpię, czyby ten kościół przewyższyły. Sam rozmiar w przestrzeni utraci siłę, tu zaś ona skupiona wzmacnia się i wspiera wzajemnie, i bronił ksiądz zdania nie możliwego do obrony z wytrzymałością wielką.

Hrabia znając słabość księdza, nie oponował dalej, ale rzekł z uśmiechem.

— Ponieważ sami szanowny proboszczu, nie będziemy sprawdzać któren budynek trwalszy, zajmiemy się tymczasem otynkowaniem całego kościoła i stare okna zamienimy na nowe, z rozasami że szkieł kolorowych. U snycerzy zaś warszawskich obstatuję cymboryum, gdyż stare bardzo nie estetycznie wygląda.

Ksiądz Sęski uszczęśliwiony takim zakończeniem rozmowy, podziękowawszy, dalszej opozycji nie wszczy-
nał.

Niebawem kosztem hrabiego odświeżony i upiękso-
ny kościół stał się ozdobą miasteczka.

Plebania składała się z czterech mieszkalnych po-
koi i kuchenki. Obszerny ogród owocowy czynił z niej
miłe wiejskie mieszkanko, zwłaszcza w porze gdy bzy,
róże, jaśminy okrywały się zielenią i kwieciami.

W pewien dzień niedzielny, w bawialnym pokoju
proboszcza zebrano się kilka osób po nabożeństwie.
Chociaż gospodarz nie był obecny, rozmowa szła rażno
i kilka papierosów energicznie ciągnionych dymiło się
jednocześnie. Na stole stały szklanki z herbatą, którą
pan sędzia siedzący na kanapie nalewał z dużych
czajników, udając gospodynię domu wcale udatnie.

Tuż obok sędziego siedział młody dzierżawca
z Rozdobędów i jakiś opasły ogorzały z obwisłymi wą-
sami szlachcic, prawdziwy typ wiejskiego mosterdzieja
starzej daty, o czem świadczyła wytarta czamara z pę-
tlicami, którą miał na sobie. Był to dziedzic intratnej
wioski, i jak mówiono właściciel sporych kapitałów,
a zwał się Wojciech Rypowicz.

Parę osób odosobnionych szeptało pod piecem i byli
wyłącznie zajęci jakimś interesem poufnym.

Sędzia śnać z urzędu i nawyknięcia, trzymał prym
przy stoliku kanapowym.

— Zgadza się z panem Wojciechem, że nawóz
jest podstawową siłą w rolnictwie, prawil sędzia po-
pijając herbatę.

— Nauka panie sędzio, przewyższa ten produkt
cenny stokrotnie, oponował dzierżawca, i dopóki nie
zaprowadzimy płodozmianów, produkeya nasza będzie
prawie żadna.

— Co mi tam pan prawisz o płodozmianie, odezwał

się znów sędzia, stara trzypolówka wyrobiła prowincyi naszój miano spiżarni Europejskiej, więc masz pan dowód, że produkowaliśmy nie mało. Ho, ho! jak wygnoję moje łąny w Oknicy to cały Londyn karmić będę przez rok cały—chleb poberezki chudego Anglika w baryłę przemieni, a gdy będzie miał przed sobą flakon tak okazały że we własne ubrania nie zdoła się wtłoczyć, to wtedy i on nawet przyzna, że umiemy gospodarować dobrze w trzypolowój spiżarni.

— Jeśli jest dobrze, dowodził dzierżawca, to nie widzę wszakże powodu, dla czego nie mielibyśmy pragnąć żeby było lepiej. Trzeba wprzód sprobować, a doświadczywszy gdy inowacya się nie powiedzie, wtedy dopiero ocenić rezultaty jak należy, nie powodując się konserwatyzmem lecz ścisłym rachunkiem.

— Wszelkie doświadczenia drogo kosztują morderdziej, odezwał się pan Wojciech, i życzę panu ich nie próbować na dzierżawie. Widziałem nieraz zarozumiałych agronomów, którzy nie mieli czem opłacić tennuty, narzekając niesłusznie na złe losy mąsterdziej, choć sami sobie szkodzili.

— Przesadzić można we wszystkim, ja hazardować nie myślę, odparł zdetonowany nieco agronom, ale i zacofanie lekceważę także.

Stara buta szlachecka zawrzała w sercu Rypowicza, więc odezwał się szorstko:

— Dzięki Bogu wiek przeżyłem mąsterdziej, a choć płodozmianu nie zaprowadziłem u siebie, wszakże u żyda w kieszeni nie siedzę, jak ci co się odłżyli na amelioracye postępowe a z księgi hypotecznój zrobili album żydowski. Ja już mąsterdziej starym trybem dokołatam żywota.

Może pan dzierżawca miał jakieś z żydami rachunki, bo twarz mu spąsowiała i nie odpowiedział nic na to. Sędzia zaś chcąc zagładzić drażliwą sprawę dyplomatycznie nadał inny kierunek rozmowie, zwracając się do Rypowicza z zapytaniem.

— Jak myślisz szanowny sąsiedzie, czy będziemy mieć wojnę w tym roku?

— Icko arendarz powiada, że owies podrożał trzy kopiejki na pudzie, więc z tego wnosi że wojna niezawodna.

— Żydowskie wiadomości nie warte torby sieczki, rzekł sędzia stanowczo.

— Ho, ho! mąsterdzieju, żydzi przez Brody otrzymują najpewniejsze wiadomości i wiedzą wszystko dokładnie.

— Et plotą koszałki opalki, wieści ich są zwykle bez sensu, odezwał się dzierżawca.

— I ja przestałem wierzyć żydowskięj polityce od czasu, gdy mię jeden kupiec upewniał, że pułki jednookich białych arabów, wylądowały już w Odesskim porcie, i jak mu donosił komisant pomaszerowali szparoko traktem. Napróżno upewniałem żyda, że jednookich pułków arabskich na świecie nie ma, lecz nie zdołałem go przekonać, bo powtarzał „pan sędzia wtedy uwierzy jak woni tu przyjdą i brzydkiego narobia, jak będzie gwałt wielki—my wiemy akuratnie co woni tu maszerują, a każdy ma jedno oko pośrodku wielkie jak zegarek.

Słuchacze rozśmieli się, a pan Wojciech konkludował.

— Wszystkich bajek za dobrą monetę przyjmować

nie podobna, ale wierz mi sędzio mąsterdzieju, że żydzi mają węch delikatny.

— Zgoda, węch mają ale do metali tylko, dowcipkował sędzia, czyż sąsiad gazet nie czytujesz, że na brukowych poprzestajesz wiadomościach?

— Czasami czytam w miasteczku, ale sam nie prenumeruję nigdy, odrzekł zapytany.

— Godziłoby się jednak podtrzymywać piśmienictwo nasze, kilkanaście rubli nie zuboży nikogo, a zwłaszcza takiego jak pan kapitalisty.

— A mnie to na co, ja i tak wiem o tem mąsterdzieju, że Bismark prosi Papieża by mu pozwolił mąsterdzieju przejść na katolicyzm.

Sędzia i dzierżawca Rozdobędów parsknęli śmiechem głośnym, a w téj chwili drzwi się otworzyły i wszedł Pirski, a za nim proboszcz siwy jak gołąbek i Stemplowski adwokat.

— Przepraszam panów stokrotnie że ich pozostawiłem samych, rzekł gospodarz, ale interes pilny miałem do załatwienia a obowiązek przedewszystkiem.

— Księżę proboszczu dobrodzieju, nie róbże sobie z nami ceremonii, bawiliśmy się gawędką i piliśmy herbatkę, którą kazałeś mi nalewać, co dopełniałem sumiennie nie szczędząc cukru kochanego gospodarza. Przebacz więc szanowny księżę proboszczu jeśli go wyekspensowałem za wiele, żartował sędzia.

— Dziękuję sędziemu, że mnie wyręczyć raczył, odparł ksiądz Sęski z uśmiechem, ale widząc że goście zabierają czapki, zawołał gościnny staruszek—zmiłujcie się panowie, cóż to tak śpieszycie, jeśli łaska zostańcie na obiedzie.

— Muszę powracać, pilno mi mąsterdzieju do domu,

odezwał się pierwszy Rypowicz, całując w ramię proboszcza wzbraniającego się od pożegnania, inni poszli za przykładem pana Wojciecha.

Nie było sposobu spieszących się zatrzymać dłużej, więc ksiądz prosił, aby mu przyrzekli, że innym razem ten pośpiech wynagrodzą i tak się rozstali.

Stemploski zaś wziął na stronę sędziego i coś mu widać tak niespodziewanego powiedział i tak go o coś prosił, że sędzia więcej kwestyi wyjazdu nie wszczywał, tylko siadł na kanapie i w milczeniu papierosa jednego po drugim zapalał. Stemploski odjechał także, pozostał tylko sędzia z Pirskim na obiedzie.

Napróżno proboszcz wysiłał się, aby podtrzymywać rozmowę, która rwała się co moment, sędzia był zirytowany a Pirski rozgorączkowany spoglądał ustawicznie w okna. Nareszcie turkot powozu dał się słyszeć, Pirski jak szalony wypadł na ganek.

— Szanowny proboszczu, możebyście się bezemnie obejść mogli, tobym uciekł natychmiast, pytał sędzia półgłosem.

— Nie podobna, panie sędzio, odparł ksiądz, uczyn dla mnie tę łaskę... i zostań — załatwimy się prędko.

— Nie radbym przykładać ręki do paskudnej sprawy, Stemploskiemu niech Pan Bóg nie pamięta, tak mnie molestował, że moje miękkie serce uledez musiało, ale wolałbym drwa rąbać, niż tu figurować dzisiaj, szeptał sędzia księdzu na ucho.

— Istny dopust Boży, nie na to nie poradzimy, trzeba jakoś zakończyć, aby skandalów nowych nie było. Żal mi tego zacnego człowieka, co też on teraz za męki przecierpieć musiał... Pierwszy raz w życiu

mam taki przymus gorszący. Niech się dzieje wola Boża, spełnić muszę rozkaz biskupa, który uległ tak-że władzy wyższej.

— Chyba ta kobieta utraciła rozum, gdy nie umiała zrobić porównania i nie cofnęła się przed skandalem. Już to jak babie w głowie się przewróci, nie uważa na nic, byle na swoim postawić mogła. Tpfu! czy licho nadało, że się wplątałam w tę bezecną awanturę, gderał sędzia zirytowany, wolałbym dzień jeden odleżeć.

— Gdy przerobić nie można, odpowiedział ksiądz, dopomóżmy przynajmniej w położeniu tamy dalszemu zgorszeniu.

— Wierz mi księże proboszczu, że słysząc o tem, myślałem, że to bajki plotkarzy. Biedne dzieci, gdy mają taką złą matkę. Arystokratyczna krew nie nie pomogła przeciwko opętaniu złego ducha. Księcia raz tylko w życiu widziałem, zacność uosobiona i wart lepszego losu.

— Bez woli Opatrzności żaden włos z głowy nie spada, a na wyroki Boże sarkać się nie godzi. Nie obciążamy przeto swego sumienia, pełniąc powinność, zwłaszcza, gdy nie sympatyzujemy z taktem.

Kiedy ksiądz mówił słowa powyższe, drzwi wchodowe się rozwarły i pani Laura trzymając Zosię za rączkę weszła do pokoju poważnie. Za niemi kroczył Pirski, niosąc w ręku spore kartonowe pudło. Przy téj czynności muzyk miał minę zwyczajnego lokaja usługującego swęj pani, bynajmniej nie podobny do kawalera, który przez grzeczność i dobre wychowanie składa damie salonową przysługę.

Po chłodnem powitaniu proboszcza i przedstawie-

niu sędziego, który zdaleka ledwie skłonić się raczył, pani Laura uczuła się zakłopotaną pogardliwem nieco przyjęciem, jako osoba nawykła do grzeczniejszego obejścia. Zosia także patrzyła wystraszonemi oczkami i nie wiele brakowało do łez dziecinnych.

— Ach! jakże urosła córeczka pani, rzekł ksiądz zbliżając się do Zosi, dawno jęj nie widziałem. Cóż, poznałaś mnie księżniczko? mówił ksiądz zwracając się do Zosi, obdarzając ją ostentacyjnie tytułem, którego dawniej nie używał bywając w Horochowie.

— Poznałam, odpowiedziała dziewczynka cichutko i zarumieniona strwożone oczęta zwróciła ku ziemi.

— A więc dobrze, jako dla staręj mojęj znajomęj wynajdę śliczną książkę z obrazkami, abyś się nie znudziła z nami, i chciał iść po ową książkę.

— Niechże się ksiądz proboszcz nie fatyguje, taka słuszná dziewczyna jak Zosia powinna już rozumieć rozmowę starszych i nie nudzić się wcale. Tymczasem załatwimy maleńki interesik; a zwracając się do Pirskiego rzekła: Panie Gustawie, bądź tak grzeczny i przybliż nam pudełko.

Pirski na stole pudło postawił i pomógł do rozpakowania. Pani Laura wydostała z niego ornat i podała go księdzu mówiąc:

— Jako własną pracę składam to na ofiarę kościołowi.

Ornat był prześliczny, lecz ksiądz Sęski ledwie na proste Bóg zapłać się zdobył. Napróžno dar wspaniały lśnił bogactwem i krasą, zasmucone serce księdza cofnęło dlań wszelkie uczucie wdzięczności, tak, że cieplejszego słowa zabrakło. Nawet bogatą ofiarę dla kościoła pani Laura nie mogła przebłagać gniewu sta-

ruszka, którego zwykle tak serdecznie uszczęśliwiała wszelkie choćby najskromniejsze dary pobożności.

Sędzia także nie ruszył się z miejsca, tylko coraz zawzięciej puszczał dym z papierosa, pomimo wyrazistego kaszlu ex-księżny. Wszyscy chcieli skrócić żenującą wizytę, nie wyłączając nawet Zosi patrzącej błagalnym wzrokiem dokoła.

— Mam jeszcze maleńką prośbę do księdza proboszcza, odezwała się pani Laura, proszę, jeśli można, o odprawienie dwunastu mszy w nowym ornacie na naszą intencję, i przy tych słowach podała księdzu śliczny pugilaresik z kości słoniowej.

— Stanie się zadość życzeniu pani, lecz pieniędzy przyjąć nie mogę, gdyż sama wartość ornatu przewyższa stokrotnie należność zwyczajną za mszy dwanaście, które odprawiane będą najskrupulatniej z intencją o Boże zmiłowanie, odrzekł ksiądz cierpko. Pani Laura przygryzła usta aż do krwi i rzekła wyniośle,

— W takim razie proszę o rozdzielenie tych pieniędzy pomiędzy ubogich bez różnicy wyznań.

Ksiądz Sęski sięgnął ręką po pieniądze i pugilaresik schował do kieszeni i rzekł:

— W imieniu ubogich dziękuję. Zwracając się zaś do Pirskiego zapytał: A gdzie jest pański przyjaciel?

— Oczekuje w kościele.

— Możemy więc przystąpić do rzeczy. Raczie państwo przejść do kościoła, ja natychmiast stawić się nie omieszkam wraz z panem sędzią. Księgi zaś z sobą zabiorę.

Chęć pozbycia się nie miłych gości, choć ukrywana starannie pokostem grzeczności, była aż nadto wi-

doczną, i pani Laura wraz z Zosią i Pirskim natychmiast opuścili probostwo udając się do kościoła.

Ani ksiądz, ani sędzia pod naciskiem wrażeń doznawanych nie mieli ochoty do rozmowy, byli posepni jak gdyby ich jakie spotkało nieszczęście. W kilka minut proboszcz był gotów i stając przed sędzią jedno tylko słowo powiedział:

— Chodźmy.

Sędzia chwycił za czapkę skwapliwie i za chwilę byli w zakrystyi.

Pusty kościół wyglądał smutno — pani Laura klęczała przed ołtarzem i ze łzami w oczach modliła się gorąco. Zakrystyan obojętnie zapalał świece w lichtarzach. Organista przy organie czekał w pogotowiu, w zakrystyi pospiesznie pisanych dopełniono formalności, wkrótce i panią Laureę tam wezwano dla położenia podpisu, otarła więc oczy i poszła wysilając się na spokój pozorny. Co się działo w duszy kobiety, jakie uragany wrażeń rozsadzały serce, żadne słowo określić nie zdoła. Żal, radość i trwoga mieszały się razem i tworzyły dziwne splątane uczucie...

Serce kobiety ulane z trwożliwych obaw, oraz silnej wrażliwości, miotane wirem żądz ruchliwych, zmiennych a przelotnych często stając u celu swych pragnień gorących, w ostatnim momencie decydującym radeby zwrócić przeszłość minioną lub odwlec stanowczy moment, pomimo zapartej drogi odwrotu...

Może i pani Laura odczuwała coś podobnego, gdyż twarz jej nie zdradzała zadowolenia żadnego, przypominając nieco smutne oblicza skazanych winowajców...

Ksiądz ubrany w kapę stanął u stopni ołtarza, zaintonował pieśń, organy się odezwały, ślubny obrzą-

dek się rozpoczął. Biedna Zosia zdziwiona i wystraszona zarazem, nie umiejąc sobie zdać sprawy z tego wszystkiego na co patrzała, płakała po cichutku stojąc opodal. W chwili gdy się odbywał ślubny obrządek Laury z Gustawem, na palcach i nie zwracając niczyjjej uwagi podszedł Stemploski do Zosi zalanéj łzami i ze współczuciem szepnął:

— Nie płacz Zosiu, bo gdyby papa o tem się dowiedział, byłoby mu bardzo przykro. No, przyrzecz mi, że więcej płakać nie będziesz. Zosia zdziwiona zwróciła oczy na mówiącego a poznawszy adwokata, uśmiechnęła się przez łzy i spytała:

— Dziękuję, że pan taki dobry i mówi mi o papie, ja go tak bardzo kocham i tęsknię za nim, bo go bardzo, bardzo dawno nie widziałam. Czemu papunio nie przyjeżdża?...

— Jeżeli papę kochasz, to nie płacz, prosił Stemploski, nie wiedząc czem ukoić żale dziecinne.

— Niechże mi pan powie, co to wszystko znaczy, bo ja czegoś sama wytłomaczyć sobie nie mogę, a chcę wiedzieć co z tego wyniknie:

— Tak trzeba jak jest, bo tak być musi, i papa sobie tego życzył. Mama Zosię kocha, więc jēj ufać także należy. Oto jest list od papy, proszę go schować i dopiero jutro niech Zosia mamie odda, gdy będzie mniéj zajęta. I przy tych słowach Stemploski wręczył zdziwionéj panience pakiecik opieczętowany i rzekł: Tylko proszę tego nie zgubić, w téj oto kieszonce będzie najbezpieczniéj, dodał pomagając Zosi do schowania listu. Niechże już Zosia będzie wesolą dla papy. Przy tych słowach skinął głową na znak pożegnania i wyszedł z kościoła.

Po téj rozmowie ze Stemploskim twarzyczka Zosi rozjaśniła się, ślady łez zatarły się od razu. Stała i przypatrywała się ślubnemu obrzędowi zaciekawiającemu teraz. Wszystko co ją otaczało nabrało interesu i wszystkiemu przyglądała się z uwagą.

Nareszcie organy się odezwały na znak, że ślub już został zawarty. Gustaw podał ramię Laurze, którą Zosia trzymając za rączkę szeptała jej coś do uszka. Państwo Pirszy przeszli przez zakrystyę, gdzie złożyli podziękowania księdzu, oddali ukłon świadkom i natychmiast opuścili kościół.

Przed bramą kościelną stała karetka oczekująca nowożeńców, wsiedli więc do powozu niezwłocznie a Pirski wychylając się z okna zawołał do stangreta: Ruśszaj do Podorożnej!

Lokaj zajął miejsce na koźle i konie ruszyły wyciągniętym klusem unosząc smutną zaślubioną parę.

Nie będziemy opisywać szczegółów téj krótkiej podróży, która nie trwała dłużej nad pół godziny. Nowożeńcy mieli miny zakłopotane, czy może zdumione nadmiarem swego szczęścia, a Zosia karesy ojczyma, którego nazywała panem Pirskim, przyjmowała z wyraźną niechęcią. Napróżno matka tłumaczyła Zosi, że trzeba odtąd ojczyma papą mianować. Zosia oświadczyła stanowczo i z uporem niezwykłym, że lepiej po staremu papę papą a pana Pirskiego panem Pirskim nazywać.

Po takiéj odpowiedzi Gustaw prosił, aby Laura nie nalegała więcéj, pozostawiając kwestyę czasowi.

Przed skromnym dworkiem Podryckiego niegdyś, zatrzymała się Horochowiecka karetka, przepełniając podziwem służbę książęcą nie nawykłą do tak skrom-

nego otoczenia w jakim się znaleźli. Drwiące miny butnych fagasów były lekceważące i poprostu nieznośne. Jak tylko wysiedli, podszedł zaraz woźnica, który naprzód był wysłany z rzeczami do Podorożnej i zapytał o rozkazy dalsze. Pani Laura poleciła wszystkim przywiezione kufry i pudła złożyć w sieni i natychmiast obu woźnicom odjechać do Horochowa ka-
zała.

Pomimo, że w listach pisanych jeszcze do księżny, opisywał Pirski skromność przysłego mieszkania, a więc przygotował ją nieco do tego, co ją czekało. Wszakże Laura na widok ubóstwa tego dworku, któryby przed kurnikami Horochowieckimi pierwszeństwa w elegancyi ustąpićby musiał, uczuła na razie bolesne zdumienie. Duma wszakże kobiety kazała jęj ukryć przykry zawód i rozczarowanie jakiego doznała wchodząc w progi ciasnych izdebek, gdzie nowe życie miała rozpocząć. Nadludzkim wysileniem w walce z nawyknieniem przybrała twarz w uśmiech i wyglądała prawie wesoło, choć serce wylęknione miotło się w trwodze i boleści...

Bramy wymarzonego przybytku szczęścia wyidealizowane kobiecą egzaltacją przedstawiały się jęj we wstrętnej szacie ubóstwa, prozy i niedostatku; straszylęm przyszłości, które Laurę nawykłą do elegancyi i zbytku przeraziły na wstępie. Była blizką rozpaczy, tylko namiętne uczucie powstrzymywało bunt ambityne rozognionęj wyobraźni, kładąc tamę wybuchom gniewu niewieściego, wytwarzało jakąś dziwną równowagę. Z czasem się oswoję, pomyślała i przywdziała maskę obłudnego zadowolenia.

Co do Zosi, to ta zdumiona nad wszelki wyraz

stała się apatycznie posłuszną i bierną jak automat. Gdy weszli do pierwszej izdebki zakłopotany przecuciem Gustaw pocałował żonę w rękę ledwie wyjąkał te słowa:

— Lauro, jesteś tu panią u siebie—to na co zdobyć się mogłem składać u nóg twoich, nie pogardzaj tą chatką, choć godną jesteś pałaców.

— Ależ tu śliczna miejscowość, zobaczysz jak nam będzie wesoło gdy się urządzimy w tej sielance przypominającą letnie mieszkanie w Karpatach. Wierz mi Gustawie, że nie zawsze szczęście w pałacach przebywa.

— Lauro, jesteś aniołem! i dla ciebie chciałbym być milionerem, odrzekł Pirski, tuląc żonę do piersi...

Na czułości nie było czasu, gdyż należało pomyśleć o każdej drobnostce, których moc różnorodnych trosk gromadzi każda zmiana mieszkania — trudności te się zwiększały przy braku sług, do których ekskieżna była nawykłą, tu zaś miała dla usługi pokojowej jedną wiejską dziewczynę—w kuchence zaś samowładnie panowała stara baba udająca kucharkę. Na tych dwóch istotach płci żeńskiej i osmolonym stróżyku szesnastoletnim wyrostku opierało się pełnienie wszelkich obowiązków i nieodzownych posług dla mieszkańców Podorożańskiego dworku. Zaledwie z największym wyteżeniem zasobów materyalnych, Pirski zdołał opędzić te wydatki, utrzymując się jedynie ze skromnych dochodów z lekcyi udzielanych w miasteczku R. i kilku okolicznych domach obywatelskich.

Pani Laura wiedziała o tem i chciała być pomocą w domu mężowskim, ale czuła, że nie podola zadaniu o którym nie miała pojęcia. Umiała wydać rozkaz

wykwalifikowanėj i zręcznėj służbie, nie wiedząc wszakże zupełnie jak się wykonywają owe rozporządzenia.

Co w Horochowie uchodziło i było wystarczajacem, w Podorożnėj okazało się niedostatecznem i bez żadnego znaczenia. Wielka pani potrzebowała się przekształcić na zaściankową szlachciankę i skrzętną gospodynię. Przy takich danych wielka tylko i bezgraniczna miłość, pełna poświęcenia mogła podolać temu zadaniu. Laura czuła siłę i pewną była, że tryumfować będzie.

Ambicya kobieca nowe i nieznane dotąd odkryła horyzonty, postawiwszy niebacznie na jedną kartę uczuć, swój los i przyszłość całą, powinna była wytrwać na trudnem stanowisku, jakie obrała dobrowolnie i mężnie stawiała czoło przeciwnościom po przejściu pierwszych bolesnych wrażeń, jakie nią zawładły chwilowo w chwili przyjazdu.

Teraz pomocy żadnėj nie przyjąłaby od nikogo, nawet wtedy, gdyby nędza ją dotknęła, obcą opiekę odrzuciłaby z pewnością, w krytycznėj potrzebie postanowiła sama szukać pracy i zarobku, gdyż litość była dla niój straszniejszą od nędzy samój.

Pierwszego dnia takie uczyniwszy postanowienie nie mogła już wchodzić w żadne kompromissa z nawyknieniami magnatki, która za sobą odwrotu już spałiła okręta.

Rozpoczęła jednak ciężki zawód gospodarski od małej kapitulacyi tymczasowėj, którą w tych słowach wyraziła:

— Przez trzy dni muszę być twym gościem Guciu, przez ten czas ty rozporządzaj wszystkim, ja

będę przypatrywać się i uczyć, czwartego zaś dnia zdasz na mnie rządy domowe, które sprawować zaczę pod twoją kontrolą i radą zanim nabiorę wprawy i doświadczenia. No, cóż panie mężu, czy zgadzasz się na to? zapytała żartobliwie.

Rozumie się, że opozycyi żadnej ze strony męża być nie mogło, który dziękując upewniał Laure, że pragnie tylko być jej niewolnikiem do śmierci.

Na naradach jak się mają urządzić w przyszłości i rozpakowywaniu kufrów zeszedł pierwszy wieczór nowożeńcom. Zosia poszła spać wcześniej nie czekając nawet kolacyi, tak biedne dziecko czuło się zmęczone dniem przebytem wśród obaw i zagadek.

Nazajutrz Zosia mówiąc dobry dzień, oddała list matce.

— Zkądżeś go dostała, moje dziecko? pytała Laura opatrując pieczęć pakietu.

— Ten pan co to często z papierami przychodził oddał mi go wczoraj w kościele, odpowiedziała Zosia.

List adresowany był do pani Laury Pirskiej. Rozzerwała kopertę, była w niej paczka banknotów i kartka zapisana temi tylko słowy: „Rubli tysiąc dla mojej kochanej Zosi. Książę Izydor.”

Gdy wszedł do pokoju Gustaw, Laura pokazała mężowi pieniądze i pismo.

— Tak jest, te pieniądze będą dla Zosi wyłącznie, rzekł Pirski przeczytawszy karteczkę—wszak prawda, że to są Zosi pieniądze, zapytał z przyciskiem, wpatrując się w twarz żony ślicznemi modremi oczami, jak gdyby chciał odgadnąć odpowiedź.

— Nie mylisz się Guciu, to są pieniądze Zosi prze-

znaczone, dla niej wyłącznie użyte zostaną, odpowiedziała Laura.

— Tak jest, nam ich dotykać nie wolno, one na wychowanie Zosi są przeznaczone. Domyślam się, gdyż to łatwe do zrozumienia, że ojciec chce aby Zosia tu nie była; umieścimy ją na najlepszej pensyi w Odessie. Wolę księcia spełnić powinniśmy. Wszak prawda Lauro?

— Masz słuszość Gustawie, tak nam postąpić należy.

— Krew arystokratyczna ma przywileje historycznych wspomnień; święte tradycje nasze czcić powinniśmy, niechże więc i przy szlacheckim ognisku nie traci praw wykwintnego wychowania ta, którą Bóg do życia w arystokratycznym kole przeznaczył, zwłaszcza, gdy nie brak środków po temu. Młoda księżniczka zmarniałaby tutaj i wyrosłaby w pustkowiu na ordynarną dziewczynę, jej trzeba poznać świat szerzy, odpowiedni przyszedł jej losom.

Tak mówił Pirski, a w tych kilku słowach serdecznych, pełnych godności, złożył dowody prawdziwie patryotycznych uczuć, wymowniejszych nad długie rozumowania motywowane na zimno... Po tej rozmowie wyjazd Zosi do Odessy został postanowiony.

Nie naruszając rozkosznych tajemnic miodowego miesiąca opuścimy Podorożną na czas dłuższy...

Była godzina dziesiąta wieczór, gdy przeszło po północnej niebytności w domu, książę Izidor wysiadł z powozu przed portalem Horochowieckiego pałacu.

Pomimo wczesnej wieczornej godziny cicho tu było i pusto, tylko jedno oświecone okno na drugim piętrze świadczyło, że ktoś jeszcze czuwa w tym domu. Książę przyjechał niespodziewany najętymi końmi. Turkot kół po żwirowanym dziedzińcu, odgłos dzwonczków i laskanie z bicia wywołały na ganek lokaja, który się był już do snu ułożył.

Obaczywszy powóz przed gankiem, służący cofnął się natychmiast do kredensu, aby zapalić światło i strój swój nieco poprawić na prędece.

Książę do wnętrza mieszkania wcale się nie spieszył, może czekał zanim pierwsze przejdzie wzruszenie, bo usiadł na ławie żelaznej, stojącej w ganku, oddychając ciężko, jak człowiek strudzony. Kamerdyner zaś towarzyszący księciu w podróży, poszedł oznajmić o przybyciu pana, a zarazem drzwi wchodowe otworzyć.

W kilka minut potem błysnęły światła w pokojach i szcęknęły zamki pod kluczem, rozdając echa smutne odgłosy, które się rozległy posępnym dźwiękiem w rozległych komnatach pałacu. Opustoszały dom rozwarł swoje podwoje dla przyjęcia długo nieobecnego gospodarza, który może ciche bolesti i smutki przybywał tu koić.

Nigdzie tak prędko jak w progach rodzinnych nie zblizniają się rany zadane życiem wielkoświatowém...

Zbiegła się służba, książę udał się do swego apartamentu, a śnać o wszystkim co się działo podczas jego nieobecności był powiadomiony, gdyż o nie się nawet domowników nie spytał i w niczem ciekawości nie zdradził.

Posłał tylko lokaja, aby oświadczył pani Fanfar,

że chciałby się dziś jeszcze z nią widzieć, i że prosi ją, aby przyszła za pół godziny do jego gabinetu.

Światło, które widział przyjechawszy w oknie pokoju francuzki, dowodziło, że nie spała jeszcze. Nie popełniał więc niegrzeczności żądaniem, wiedząc, że pani Fanfar zawsze lubiła czuwać do późnej godziny.

Kazawszy sobie przyrządzić herbatę, książę zajął się przeglądaniem papierów, z których dwa odłożył na bok, a resztę niedbale w szufladkę biórka cisnąwszy, zamknął kluczem pośpiesznie, poczem rzucił się w fotel, jak człowiek zfatygowany, gdy ukończy nużącą robotę.

Kandelabr o pięciu świecach rzucał blaski jasne i teraz dopiero można było rozpatrzeć się dobrze w nieruchomej twarzy księcia, który z głową wspartą na ręku dumał posepnie.

Wiele trosk burzliwych musiało przelecieć przez serce tego człowieka, nie jedna gorycz rozkrzyżowała duszę boleśnie i nie jeden zawód ostrym kołcem utkwiał w pamięci, pobladła twarz dowodziła tego, gdyż zmarszczków mu przybyło, a nawet przedwczesnej siwizny nieco srebrzyło się już na skroniach.

Siedział i dumał, snąc jednak, że myśl sączyła jakieś piołuny, bo brwi miał ściągnięte surowo i wzrok trzymał w ziemię utkwiony.

W tem ktoś lekko do drzwi zapukał.

— Proszę! zawołał głośno i twarz księcia wypogodziła się natychmiast.

Pani Fanfar weszła do gabinetu. Książę powstał, podał rękę uprzejmie nauczycielce na znak powitania i przysunął fotel.

— Przepraszam, że ośmieliłem się panią fatygować

w tak spóźnionej porze—rzekł książę zajmwszy miejsce w fotelu, ale bywają myśli tak dokuczliwe i udręczające, że człowiek pragnie jak najprędzej zrzucić ten balast nie zwykły.

— Późno jeszcze nie jest, a przy tem mnie pilno było także powitać księcia po tak długiej nieobecności.

— Przez ten czas podróżowałem dużo i przecierpiałem wiele... o! bardzo wiele. Już mi się wypoczynek należy, dodał po chwili.

— Może książę jest niezadowolonym, że nie towarzyszyłam Zosi, gdyż to było moim obowiązkiem, ale odmówiono mi wyraźnie...

— Wiem, wiem o wszystkim i dziękuję pani serdecznie za okazywaną nam życzliwość, odezwał się książę, nie dając pani Fanfar dokończyć frazesu.

— Desperowałam po wyjeździe Zosi, bo kochałam szczerze to miłe dziecko, z którym mnie rozłączono złośliwie... Zosia była moim ideałem, gdyż upatrywałam w niej nawet podobieństwo do mojej córki, którą straciłam przed trzema laty w Paryżu. Zosia była tak posłuszną i chętną do nauki, tak łagodnego temperamentu, że każdego umiała sobie zjednać, więc też i ja kochałam ją jak własną córkę... Przymusowa samotność ciążyła mi bardzo. Mówiąc te słowa pani Fanfar miała łzy w oczach.

— Stało się—rzekł książę mocno wzruszony—spełnionych faktów żadna siła ludzka cofnąć nie zdoła, gdyż wola człowieka ani jednego słowa nie może wykreślić z księgi przeznaczeń. Książę westchnął, ręką potarł czoło, jakby chciał spędzić myśl natrętą i zamilkł na chwilę. Potrzebował schwycić powietrza,

którego mu zabrakło w płucach. Mam wielką prośbę do pani i liczę na jęj przyjaźń, że nie doznam zawodu. Czy mogę myśl moją wyjawić otwarcie? zapytał książe Izydor.

— Może książe być pewnym, że rozkaz jego spełnię chętnie i bez wahania, odpowiedziała francuzka.

— Jako o największą łaskę proszę, abyś pani jutro odjechała do swego kraju, rzekł książe.

— O powrocie do Francyi sama myślałam od czasu, gdy moja obecność stała się tu nieużyteczną, więc jestem gotową do drogi każdego momentu, odpowiedziała pani Fanfar.

Książe sięgnął ręką po przygotowane papiery i podając je byłęj nauczycielce objaśniał:

— Oto jest pasport pani, a to bilet na dziesięć tysięcy franków dla okaziciela.

— Cóż mam uczynić z temi pieniędzmi? zapytała francuzka biorąc w rękę podany pakiet.

— Użyć podług własnego uznania jako swoją własność, odpowiedział książe.

— Co? tak znaczną sumę! Nie panie, ja przyjąć nie mogę. Przebacz książe, lecz muszę odmówić nadmiernęj twęj łasce. Przy tych słowach lica pani Fanfar okryły się rumieńcem.

— Źle pani dotrzymujesz przyrzeczenia, ja w trudniejszych okolicznościach byłem słowniejszym. Cóż to za przyjaźń, która obraża uczucia przyjaciół?...

— Ależ panie! nie mogłam przewidzieć... dziesięć tysięcy franków, summa tak znaczna, że...

— Nie mówmy o tem, wszak mam słowo pani, przerwał książe. O ile poznałem francuzów, wiem, że słownymi być umieją, czyżby Francya republikańska

zapomniała o obowiązkach honoru wypielegnowanego przez legitymistów?

— Wiem, że książę tak złego o moich ziomkach mniemania nie jest, więc bronić ich nie będę, odparła francuzka, mięknięc widocznie.

— Ze słowa danego pani nie zwalnim, więc rzecz skończona; mam nadzieję, że się jeszcze nie raz zobaczymy w Paryżu.

— Książę, miej litość nademną, nie upokarzaj mnie swoją wspaniałomyślnością i dobrocią...

— Rzecz skończona i jutro rano będzie gotowy powóz, który odwiezie panią do stacyi drogi żelaznej. A teraz, dobranoc, czuję się zmęczonym i potrzebuję wypoczynku.

Francuzka chciała jeszcze coś mówić, lecz książę podał jęj rękę i wzięwszy świecznik ze stołu cofnął się do swęj sypialni: ex-nauczycielka musiała opuścić gabinet.

Nazajutrz po rannem śniadaniu, o godzinie dziewiatęj, pani Fanfar pożegnana serdecznie, dążyła do najbliższęj stacyi kolejowęj. Przepełniona żalem prawdziwym opuszczała dom, za którym serce tęsknić miało długo...

Od czasu powrotu do domu książę Izydor bardzo czynne życie prowadził. Przepatrywał księgi gospodarskie, zwiedzał folwarki, a wieczorami naradzał się z pełnomocnikiem jeneralnym, lub dawał rozporządzenia młodszym oficyalistom.

Pracą leczył tęsknotę, której siła odżyła na nowo. Dziwne jest serce ludzkie... Ono cierpiało nie mogąc odzyskać spokoju, którem tylko zapomnienie obdarza.

Od trzech dni list Laury leżał na biurku nierozpierzętowany dotąd; był moment, że znieważony człowiek już go do świecy podnosił, postanowiwszy spalić pismo nie czytane, lecz zawahał się jeszcze, list zło-wróźbny znowu na biurku położył.

Czwartego dnia dopiero książę Izidor, jak gdyby zapragnął uwolnić się od zmory trapiącej, nerwowym ruchem rozerwał kopertę i przeczytał słowa następujące:

Mości książę!

Opuszczając twój dom w którym przeżyłam kilkanaście lat szczęśliwych, powinnam kilka słów objaśnień zostawić na pożegnanie.

Najprzód z głębi serca składam podziękowanie tobie, mości książę, za wszystko czem mnie otaczałeś przez cały przeciąg czasu naszego pożycia. Jesteś człowiekiem najzaczniejszym i najszlachetniejszym w całym tego słowa znaczeniu, a dobroć i delikatność twa jest bez granic, wdzięczność moja za to będzie dozgonną. Kochałam cię prawdziwie i byłam pewną, że uczucie moje nie zmieni się nigdy, byłeś godnym tej miłości jaką żyło me serce, dopóki zły demon nie zasiał w niem odmiennych żądz, którym oprzeć się nie mogłam. Taki zamęt pragnień, taka nawałnica namiętności zawładła mną, że opór wszelki stał się nie możliwym pod karą potępiającego srogo wyroku ludzi obojętnych, a co więcej, nawet pod grozą utraty twego szacunku, mości książę... Należało było skrócić te męczarnie samobójstwem, lecz na nie zabrakło mi odwagi.

Tylko rozwód mógł mnie ocalić od śmierci. Niedostatkiem a może nędzą okupię swobodną możność

egzystencyi. Nie myśl wszakże, mości książe, że przyjmę jaką ofiarę... jak o największą łaskę błagam cię zaniechaj nawet prób upokarzających, które bezwarunkowo odrzucone zostaną.

Wszelką pomoc materyalną uznam za czyn zemsty, nie godnej tak honorowego jakim jesteś, człowieka. Za zranienie twego najszlachetniejszego serca nie obwiniaj mnie zanadto i przebac, gdy potrafisz wyjednać przebaczenie u swego wspaniałomyślnego serca—ja mu wierzyłam zawsze i teraz mojej ufności nie cofam.

Nad starannem wychowaniem Zosi czuwać będę troskliwie, Tomcia zaś nie wzbraniaj mi widywać czasem, bo musiałabym wszelkich używać podstępów i sposobów, aby pomimo zakazu czujność twą omylić. Nie zawahałabym się nawet w łachmanach żebraczki prosić jałmużny u własnego dziecka... Więc lepiej nie wzbraniaj, mości książe, zadość uczynienia potrzebie macierzyńskiego serca, gdy jestem zdecydowaną na każdą ostateczność w razie przymusu.

Nie jest to groźba, ale spowiedź niewieściego serca, prośba matki i kobiety, która pomimo dumę charakteru do łaski się odwołuje.

Byłam szczęśliwą, czy będę nią jeszcze nie wiem, to tylko pewna, że mnie szaleństwo uniosło... A teraz żegnaj mi książe i zapomnij o występnej mimowolnie
Laurze.

Po przeczytaniu tego dziwaczego listu, który tylko brakiem decyzji ocalonym od spalenia został, teraz znowu książe nie wiedział czy ma go zniszczyć, czy schować; miał w ręku arkusik fatalny i byłby

może długo jeszcze się namyślał, gdyby hałas w dziedzińcu nie zwrócił jego uwagi. Szczekanie brytanów, laskanie z bicia i turkot powozu skierowały księcia ku oknu w chwili, gdy elegancki kocz podjeżdżał. W powozie siedział mężczyzna przystojny, wytwornie ubrany, zaprząg lśnił elegancją, liberya również była bez zarzutu. Książę Izydor poznał przybyłego i list schował pospiesznie.

Gdy kroki gościa dały się słyszeć w przyległym salonie, gospodarz natychmiast wyszedł na jego spotkanie. Powitanie było grzeczne i kordyalne zarazem.

Przybyły był to ten sam hrabia Roman S., o którym Podrycki mówił z takim uwielbieniem.

Hrabia Roman wyglądał na lat czterdzieści, bardzo sympatycznej i przyjemnej powierzchowności, elegancki, w obojętności grzeczny aż do przesady, wesół, ruchliwy jak francuz i jak on lekkomyślny, zresztą człowiek najlepszego serca, lubił śmiech, podróże i swobodę.

Wlócząc się ustawicznie po całej Europie z początku z ciekawości, a potem z nudów i nałogu, nabrał cech kosmopolitycznych, w których wszakże obyczajem naszej arystokracji rodowej kult Paryżki dominował. Hrabia Roman lubił język i literaturę francuską, kuchnię i cywilizację francuzów uwielbiał, dowcipem francuskim i teatrami francuskimi się zachwycał, we francuzki gust tylko wierzył; w Paryżu tylko najlepiej się bawił i francuskemu rozumowi wierzył, i nawet jako kawaler, we francuzkach przeważnie się podkochiwał, słowem, był to francuz w polskiej skórze, lecz niestety i ta sarmacka skóra była przykryta wyrobem, którego dostarczyli krawce paryżcy. Zobo-

jętnienie niejaki dla spraw miejscowych stało się największą wadą hrabiego Romana.

Choć udzielał się hojnie i chętnie dla potrzeb ogólnokrajowych, choć nie zapomniał polskiego języka, którym władał wybornie, sercem jednakże lgnął do Francyi i tęsknił do bulwarów paryzkich, gdyż tam było mu najweselój.

Hrabia Roman był człowiekiem dobrym, litościwym i uczynnym, ale lekkim jak puch a próżnym jak bańka mydlana. Będąc arystokratą do szpiku kości, ochłódl nieco w sympatyach swoich do Francyi, od czasu rządów rzeczypospolitój i rzadziej już się tam pokazywał. Zapytany przez kogoś ze znajomych, dla czego tak rzadko bywa teraz w Paryżu, odpowiedział: Straciłem ochotę tam mieszkać odkąd Thiers jest prezydentem, cóż to za kraj, w którym nawet baron rządzić nie chce—włóścian mam dosyć w majątku i mogę się im w domu napatrzeć dowoli—niema po co jechać do Paryża, wolę zwiedzać Azyę.

Pomimo niechęć dla republiki, język francuzki nie utracił jednak łask hrabiego Romana i jak dawniej, tak i teraz żargonem nadsekwańskim mówił poważnie.

Tylko dla księcia Izydora robił ustępstwo i w Horochowie z francuzczyzną się nie wyrywał, gdyż książę chociaż władał pięciu obcemi językami, w domu cudzoziemskiego szwargotu nie znosił. Zpokrewniony przez Laure z księciem, hrabia Roman był osobistym przyjacielem Izydora, któremu nie chcąc nawet w drobnostkach wyrządzać przykrości, zwykle ukochaną swą francuzczyznę zostawiał za bramą.

Mimo różnicę zdań, pojęć i celów, dobra komitywa

między obu przyjaciółmi nie bywała nigdy zachwiana, popierana wieloletnim zażyłym stosunkiem. To też i teraz książę radby szczerze z przybycia gościa i serdecznie hrabiego powitał.

— Powinieneś mi podziękować, kochany Izydorze, że chociaż od dwóch dni dopiero jak powróciłem z Egiptu, już miałem czas ztęsknić się za tobą, a na dowód prawdy, masz mnie obecnego w swych progach.

— Bardzo ci dziękuję za ten dowód przyjaźni, odpowiedział książę, nie widzieliśmy się od bardzo dawna i czas byśmy z sobą zamienili myśli i przyjaźnie uściśnieli dłonie. Ja także nie dawno wróciłem z podróży; cztery miesiące przepędziłem w Rzymie.

— Dokazałeś sztuki nie lada wysiedziawszy w nudnym Rzymie tak długo. Chyba starałeś się uzyskać kardynalski kapelusz? powiedz, może powinienem cię tytułować eminencyą? zapytał hrabia wesoło.

— Wiesz przecie, odpowiedział książę żartobliwie, że w zeszłym roku kupiłem nowy kapelusz, muszę go przecie donosić wprzód, zanim o kardynalski starania rozpocznę. Ale cóż ciebie Romanie zapędziło do Egiptu, ciebie rozmiłowanego w bulwarach Paryża, radbym oglądać podróżującego na wielbłądzie.

— Szkoda żeś nie przyjechał a byłbyś mnie widział siedzącego na słoniu nawet. To wierzchowiec wcale wygodny i wyborny nauczyciel cierpliwości, jedzie się na niem mniej więcej tak wolno, jak gdybyś na krowie podróżował, gdy stęp wielbłądowy chociaż szybszy nieco, ale fatalnie udrećza kości.

— Przyznam ci się, że ani na krowie, ani też na wołowym grzbiecie nie siedziałem nigdy, więc też i porównawczych wygod na korzyść ruchów słonia

i wielbłądów uczynić nie jestem w stanie. Na ryzyko więc sprawozdawcy przyjmuję to do wiadomości, odparł książę, siłąc się na dobry humor dla gościa jedynie.

— Nauczyłbyś się tam rozmaitych ciekawych rzeczy, mówił hrabia Roman, tylko pojedź a wzbogacisz umysł swój chciwy wiedzy nieoszacowanemi wiadomościami. Wierz mi, że warto poznać temperament egipsanek, które nie mniej od piramid ciekawe.

— Obawiam się lwie cywilizowanych europejskich, a już umarłym chyba ze strachu w obec dzikich lamparcie egipskich. To nie dla mnie podobne przyjemności, zostawiam je odważniejszym. Mianuję ciebie do tych spraw pełnomocnym moim ambasadorem przy buduarach wszystkich dam egipskich.

— Zgoda, przyjmuję posadę, ale pamiętaj Izydorze o naznaczenie dla mnie przyzwoitej summy na utrzymanie, abym ci wstydu nie zrobił lichą reprezentacją.

— W obec tak wygórowanych wymagań rad nie rad cofam nominacją i pozwalam ci Romanie wszystkie rachunki płacić z własnej kieszeni. Znaj moją łaskę i wspaniałomyślność.

— Wiesz co Izydorze, zastosujmy półśrodek i jedźmy na zimę obydwaj razem na wspólny koszt: w Aleksandryi będę ci Ciceronował gratis, byleś tylko mi towarzyszył. Tobie teraz koniecznie potrzeba rozrywki... Warto poznać Afrykę. Wschód jest przepiękny i zaciekawiający turystę, tylko że niegodziwe ma środki komunikacji. Myślałem, będę tam podróżował na pysznych koniach arabskich, a tymczasem osłów dosiadać musiałem.

— Cha! cha! cha! więc dla tego tam byłeś, aby się wprawiać w dosiadanu osłów, zawołał książę wesóło, wszakże i u nas jest osłów więcej jak potrzeba. Ale cóż tam, mój drogi, porabiał, gdyż wiem, że naukowe studia nie mają dla ciebie uroku.

— Byłem ciekawy, chciałem zobaczyć coś niezwykłego, no, i nie żałuję trudów podróży, odpowiedział hrabia.

— Czyli innemi słowy, ukończywszy uniwersytet i posiadając patent dojrzałości jako wykwalifikowana jednostka cywilizowanego społeczeństwa zapragnąłeś poznać starą kolebkę nauk i cywilizacji egipskiej. Miałeś więc widok z góry na dół. Czy zgadłem? pytał książę Izydor.

— Po prostu chciałem się rozruszać, a że wagony mi już obrzydły, więc pojechałem do Kairu i piramid w Daszur; zwiedzałem Deltę Nilu, część pustyni Sahary, a w jakiejś oazie przepędziłem trzy dni; polowałem na flamingi i strzelałem nawet do krokodyla.

Hrabia Roman wpadłszy na tor opowiadania o swojej ostatniej podróży, opowiadał dużo znalazłszy w księciu cierpliwego słuchacza.

Dopiero po obiedzie, gdy zasiedli na balkonie z cygarami, cel przybycia hrabiego Romana wyjaśnił się zupełnie. Rozmowa przeplatana dowcipami przeszedłszy rozmaite fazy, trwała czas dłuższy, choć podobno myśli obu przyjaciół płynęły w jednym kierunku, gdyż hrabia zapytał:

— Powiedz mi, kochany Izydorze, czy wierzysz mojej przyjaźni? tylko bądź szczerym w odpowiedzi, nie krepując jej niczem.

— Znamy się od tak dawna i tyle składaliśmy

sobie nawzajem dowodów najżyyczliwszych, że zdaje mi się, iż odpowiedź byłaby zbytęzną, a wątpliwosć w tym względie naganną nawet—odpowiedział książe prostodusznie.

— Bo to widzisz, mój drogi, chciałbym pomówić z tobą w kwestyi drażliwój, a zarazem obawiam się ciebie obrazić, chociażby pomimowolnie, więc potrzebuje spęcyalnego upoważnienia przyjaźni nadającego mi swobodę słowa.

Twarz księcia Izydora spowaźniała i zasepiła się odrazu, bo zapewne odgadł temat bolesny, lecz natychmiast odpowiedział:

— Mów Romanie otwarcie, wszak tu jesteśmy sami, mów szęczyrze jak do przyjaciela, mów nie obwijając słów w bawęnę. Ja nigdy w mych postępках jawności się nie lękam i potrafię być cierpliwym słuchaczem, głosu przyjaźni nikt krępować nie powinien, gdyż prawa jej święte.

— Gdybym cię nie znał nawet, to z tych słów kilku, które dopiero słyszałem, odgadłbym, że jesteś najzaczniejszym człowiekiem.

— Miałeś mi sączyć jakieś gorycze, a tymczasem prawisz komplimenta, rzekł książe z bladym uśmiechem.

— Nie sądz abym przy sprawie ważnej do grzęczności był skory, odpowiedział hrabia, nawet w tym momencie widzisz mnie najgorzej usposobionym względem kuzynki Laury.

Książe niecierpliwie rzucił się w fotelu a potem rzekł:

— Mojem zdaniem, najwłaściwiej nie poruszać

zimnych przeszłości popiołów, gdy ich rozniecić powtórnie nie można.

— Myślisz może, że chcę ciebie nakłaniać do ustępstw. Zanadto cię považam Izydorze, abym śmiał coś podobnego projektować. Laura w szale niewytłomaczonym popełniła czyn ohydny; zapomniała co jest winną stanowisku jakie dotąd zajmowała w świecie; znieważyla obowiązek matki i żony, obraziła naszą familijną dumę. Po tem co się stało, Laura w moich oczach jest potworną kobietą, istotą upadłą, dla której nie ma już rehabilitacyi. Te same słowa słyszała odemnie wczoraj.

— Jakto, więc ją widziałeś? zapytał książę zdumiony. Mówże mi o mojej Zosi najdroższej, jak wygląda, czy zdrowa, o czem z tobą rozmawiała? Mówże, proszę, nalegał ojciec.

— Dowiesz się zaraz o wszystkim, tylko pozwól mi się wygadać, muszę być systematycznym.

— Powiedz mi tylko, że Zosia jest zdrową a będę cię słuchać cierpliwie choćby do wieczora, prosił książę błagalnym tonem.

— Zosia jest zdrową z pewnością.

— Teraz mów co ci się podoba, słucham, i książę zapalił papierosa, gotów do najdłuższej rozmowy.

— Na drugi dzień po moim powrocie z Egiptu, o niczem nie wiedząc, wyjechałem na spacer, a że było blisko Podorożny, gdzie mieszkał stary mój oficyalista, którego znasz także, skierowałem konia do dworku, chcąc staruszka odwiedzić. Wchodzę do pierwszego pokoiku i zamiast Podryckiego zastaję w nim Laure. Widać, że głupią ze zdziwienia minę zrobiłem,

bo Laura się roześmiała. Zkonfundowałem się do reszty i dopiero objaśnienie Laury wytłómaczyły mi wszystko. Oznajmiła mi, że się rozwiodła i wyszła za mąż powtórnie, że Pirski od Podryckiego dworek nabył i że na stałe mieszkanie w Podorożnej osiedli. Szcześciem dla mnie, że tego nędznego bakalarza nie było w domu, mogłem więc zabawić dłużej. Z początku sądziłem, że Laura mnie mistyfikuje, tak nieprawdopodobne rzeczy opowiadała, ale w końcu musiałem uwierzyć. Wyobraż sobie, że oni się utrzymują z lekcji, których Pirski udziela w rozmaitych domach w okolicy; co prawda, dochody to wcale nie do zaźdzości, to téż przekształciły elegancką księżną na silną zaściankową szlachciankę. Nie mogłem wierzyć własnym oczom, gdzie się to wszystko podziało, co przyozdabiało Laure.

Widząc krewnę w niedostatku, chciałem jęj dopomóc, ale obraziła się straszliwie i omal nie wskazała mi drzwi w gniewie. Musiałem Laure zirytowaną mi tygować, i dopiero wtedy gdy ochłonęła z pasyi, wyznała, że to co mąż zarabia wystarcza im na utrzymanie i żadnej pomocy nie przyjmie od nikogo. Otrzymawszy zaś od ciebie pieniądze dla Zosi, odwiezła córkę do Odessy i tam umieściła ją w najpierwszym pensjonacie, pokazywała mi nawet list Zosi uszczęśliwionęj z umieszczenia i pobytu w mieście.

Pomimo wszystko nie szczędziłem słów i wypowiedziałem Laurze ostre napomnienia, słuchała ich cierpliwie i spokojnie, bo zrozumiała widać, że żadne tłómaczenie takich czynów nie obroni. Rozdrażniony do najwyższego stopnia, powróciłem do domu z bólem głowy i tego samego wieczora postanowiłem zdać ci

spawozdanie o Zosi, gdyż dziś tylko córka może ciębie interesować.

Książę uściskał rękę hrabiego i rzekł:

— Dziękuję ci serdecznie, kochany Romanie, żeś odczuł moje pragnienie. Zdaje się, że zamieszkam stale w Odessie, bo tam i Tomcio się uczy, będę więc czuwać nad dziećmi. Nie będzie to żadną ofiarą z méj strony, gdyż tu żyć nie potrafię.

— Mojem zdaniem, pobyt dłuższy w Odessie będzie dla ciebie zbawiennym.

Po tych słowach zamilkli obydwaj, hrabia Roman stracił nawet swój humor zwyczajny, stał się poważnym i po chwili dodał:

— Zbyt wiele mam żalu do Laury, abym ją chciał widywać kiedykolwiek, ona dla mnie nie istnieje; ale czy nie wymyśliłbyś jakiego sposobu, aby jęj dopomódz, tak jakoś, żeby się nie mogła domyślić od kogo pomoc pochodzi, widocznie, że cierpią niedostatek, powoduję się litością tylko, bo ona się zmarnuje na wykład do wygód.

— Myślałem i ja o tem, ale ten list odebrał mi możność pomagania, przeczytaj i osądź. Książę podał przyjacielowi znane nam pożegnalne pismo Laury.

— Szalona kobieta, rzekł hrabia, oddając list po przeczytaniu, dziwna mieszanina dumy i żebractwa. Trzeba czekać, czas często cuda tworzy, może i Laura zpokornieje i do nas się odwoła, gdy jęj bieda dokuczy, teraz nie ma rady na upór.

Na tem zakończyła się narada przyjacielska i drażliwego tematu nie wszczynali więcęj.

Hrabia w Horochowie bawił trzy dni i trochę nawet swojemi opowiadaniem z przygód podróży

rozweselił nieco księcia Izydora i dopiero czwartego dnia do domu odjechał, zdobywszy przyrzeczenie, że go książę niebawem odwiedzi.

Ranek był pogodny i ciepły, Zefiry i Boreasz drzemały w swoich przybytkach, bo żaden listek nie chwiał się na drzewie, ani też żadna nie chylała się trawka.

Takie poranki Czerwiec nawet rzadko wytwarza.

Na wschodzie zaczęły się dopiero różować obłoki, kwiaty polne i zioła ostatnie momenta przepędzały z rosą, którą niebawem miało wypić słońce spragnione. Wonie łąk i lasów unosiły się w powietrzu, nasycając mgły blade powstałe z wodnych oparów.

Ptactwo i owady różnorodnemi tonami składały modlitwę poranną ku czci Stworzyciela przyrody, a gwar ten chaotyczny tworzył harmonijny chór dziękczynny...

Pomimo tak wczesnej godziny, wszystkie drogi wiodące do miasteczka R. roiły się okolicznym ludem spieszącym na jarmark i odpust obchodzony w kościele w dniu świętego Antoniego Padewskiego. Wozy i bryczki toczyły się po drodze, na koczach i karetach było jeszcze zawczasie.

Jarmark w bycie wieśniaczym ogromną odegrywa rolę: zastępuje włościaninowi wszystkie przyjemności cywilizowanego świata, ku niemu więc wyrывa się serce prostacze. Szynkownia jest dlań klubem i salą resursową, ślepy dziad z lirą koncertantem, stragan z kiełbasami wysuszonymi na słońcu, restauracją i han-

dlem delikatesów, kuglarz lub buda z karuzelem teatrem, a cygan dosiadającego ukradzionego konia przypominając wyścigowe tory nie mniejszą też widzom wioskowym przyjemność sprawia. Możnaż nie tęsknić do tych uciech i rozkoszy, gdy się z nich czerpie wesołe motywa na długie monotonne miesiące.

Wybaczenie surowi panowie moralisci, że się wam sprzeciwie i nie potępię jarmarku, który ma dodatnie i ujemne strony... Chcielibyście, by chłop całe życie ciężko pracował, a odmawiacie mu odrobiny uciechy, żal wam tego grosza, którego nie szczędzi ręka wyrobnika, nazywacie demoralizacją i marnotrawstwem, gdy włościanin wypije wódki za złotówkę. A panowie! czyż nie pijecie szampana i starego węgryzna opłaconego sto razy drożej, choć tak samo głowy zawraca. Co do mnie, obu obozom przyznaję słuszność pod banderą naszego starego przysłowia: „że według stawu grobla...”

Niech ze społecznego stołu ucztę biesiadniczej, choć okruchy dla biedaków spadną—nie godzi się dziwić, gdy spragniony różrywki w braku złotój szychową nitką się zadawalnia. Doradzanie czytanie książek i elementarzy, ależ to praca dla wieśniaka a nie zabawka; kto cały tydzień cepem machał lub kosą wywijał zasłużył przecie na niedzielny wypoczynek i różrywkę. Umysł wieśniaczy gnębiony nieraz niedostatkami potrzebuje hulackiego śmiechu i nawet wyklinanego kieliszka, którym i moralisci sami nie gardzą, gdy wypełniony tokajem.

Dla wygłaszania świętych prawd religii i moralności jest kościół z amboną i konfesyonałem, dla zdemoralizowanych do gruntu przykłady karne z decyzji

sądów gminnych i kryminalnych, komu zaś i tego za mało, tym już z pewnością paljatywa piśmiennictwa ludowego nie poprawia.

Jarmark nie jest tak szkodliwym jak się teoretykom być wydaje, boć przecie tam i nieodzowne interesa się załatwiają i nie same rozrywki wydrwigroszowe zgromadzają lud wiejski.

Nadużycie psuje wszystko czego się dotknie, umiarkowanie zaś jest podstawą dobrobytu pod każdym względem, to pewnik nie ulegający zaprzeczeniu.

Lubię patrzeć na zabawę ludową, bo komuż ona słuszniej się należy, jak tym cichym pracownikom przy pługu i roli, którym tak rzadko gwiazda radości przyświeca... Należy być pobłażliwym dla sług, gdy w dniu świąt dorocznych zapominają o swych obowiązkach służbowych, całą duszą oddanych świątecznej ucieście. Trzeba być wyrozumiałym nawet wtedy, gdy konie i woły nie we właściwej porze otrzymują paszę lub nieco później napawane bywają. Nie miłe to jest dla skrzętnych gospodarzy, ale trudno wymagać od sług wyrzeczenia się rzadkich uciech wieśniaczego bytu dla pilnowania cudzego dobytku. Ustępstwa są konieczne, tolerancja nieodzowna.

Jarmarki więc nie są złem najgorszem, a jeśli na nich przytrafiają się bójki i skandaliczne wybryki, to, to samo zdarza się i na wsi przy zwadzie sąsiadów; dla krewkich temperamentów powodów nigdy nie zabraknie.

W dniu targowe ludność semicka, mieszkańcy małomiasteczkowi wstają raniiej niż zwykle; myśl o zysku spać im nie daje i do ruchu pobudza. Żydówki wychodzą za rogatką dla skupowania drobiu i jajek

lub innych drobiazgów; żydzi czatują na tańszą miarkę zboża, lub przemykającego się dłużnika wiozącego furkę drew na sprzedaż, która się staje nieraz łupem cierpliwego kredytora, tak samo jak parę wiązek siana na pożytek chudłej krowy żydowskiej przechodzi.

Jednocześnie ze wschodem słońca, na rynku i pryncypalnych ulicach miasteczka R. poczęły się otwierać okiennice i okna w domach żydowskich, było to pierwsze hasło oznajmujące przybyłym, że ludność czuwa gotowa do zapasów wszelkiego rodzaju. Ruchliwa i czynna natura izraelitów opóźnienia nie zna, nikt lepiej od nich o tem nie pamięta, że lenistwo nie procentuje, a czas to pieniądz, ich bożyszcze.

Targowica zaludniła się dość szybko, dając przedsmak wielkiego jarmarku, ubożsi żydzi uwijali się wśród przybywających wozów, gdy tymczasem bogaci kupce na podsieniach z należytą powagą wyczekiwali ukazania się dystygowańszej publiczności: ekonomów, dzierżawców, chrzczonych i niechrzczonych, drobnej szlachty, faktorów i arendarzy z wiosek okolicznych i t. p. osobników. Właściciele ziemscy przyjeżdżali najpóźniej i głównie dla kościoła lub sprawunków w sklepach, gdzie na nich oczekiwał cały zastęp krawców, więcej chętnych do usług niż umiejętności.

Nareszcie odezwała się sygnaturka kościelna, wzywająca pobożnych na prymaryą. Mała garstka ludzi zgromadziła się na cichą mszę wikaryusza, gdyż społeczeństwo woli ostentacyjną modlitwę przy odgłosie organów i większem oświeceniu ołtarza, niż pokorny szept kapłana uskrzydlający duszę i serce.

Wprawdzie w parafialnym świetle i wyższa klasa tak zwana inteligencya, przybywa na summę dopie-

ro, ale to wynika jedynie z odległości wymagającej czasu dla przebycia nieraz kilkunastu wiorst drogi.

Dopiero o godzinie dziesiątej plac przed kościołem począł się zapełniać powozami i bryczkami wszelkiego rodzaju. A że było jeszcze dość wcześnie, wszyscy parafianie szli na probostwo do odwiedzenia księdza Sęskiego; ciasno więc było i gwaro w mieszkaniu proboszcza, bo osób ze dwadzieścia już się zgromadziło.

Rozprawiano o koniach, o sprzedażach lasów, o cenach zboża i inwentarza, o polityce nieodzwonnej, w rozmowie zresztą odgrzywano tłuste facecyny po raz tygodniowy i bawiono się niemi wybornie, dowodząc, że dowcip nie ilknie jak stare masło na straganie. Towarzystwo podzieliło się na kilka kółek, dobierających się sympatycznie i dysputowano a spierano się byle o co, wybuchając co moment śmiechem rozgłośnym.

Pod oknem siedział proboszcz w towarzystwie dwóch jakiegoś wąsatych szlagonów, niezmiernie ciekawie przysłuchujących się opowiadaniu znanego nam Wojciecha Rypowicza, który opowiadał o zdarzeniu jakiego doznał nie dawno.

— Wyobraźcie sobie, panowie, prawil pan Wojciech, że na równiuteńkiej drodze koło z mojej bryki rozleciało się, mosterdzieju, w kawałki. Anim się spostrzegł co i jak a już leżałem na ziemi.

— Niebezpieczny wypadek, odezwał się proboszcz, doznałem kiedyś podobnej niespodzianki, ale musiałem to odkawęczyć parę tygodni w łóżku.

— No, ja, mosterdzieju, wyszedłem jakoś dzięki Bogu bez szwanku, niemniej wszakże niemila zwłoka,

bo jechałem do sądu okręgowego na sprawę i trzeba było stawić się na naznaczoną godzinę. Myślę sobie, paskudny interes, mosterdzieju, sam nie nie wymyślę, a wiózł mnie sprytny parobczak Iwan, więc ja do niego po radę, mosterdzieju, gdyż nasz chłop tak jest przemyślny w podobnych razach, że stu mechaników angielskich zapędzi w kozi rózek. Doświadczyłem nieraz, że bez żadnych, mosterdzieju, przyborów rzemieślniczych, coś czemeś zwiąże, coś jakoś podłoży i zagnie, mosterdzieju, i taki do miejsca przeznaczenia dowiezie.

— Święta prawda, odezwał się jeden z wásalów, nieraz i ja tego doświadczyłem w podróży.

— Pytałem więc Iwana, mosterdzieju: *Szczoz my teper budem robyty, taj jak my doidemo?* A on uśmiechnąwszy się cytuję mi przysłowie: „Jak wiz w dorozi łomajetsia, Czołowik rozumu naberajetsia.” Więc mu na to: Pokażyż swij rozum hołube, mosterdzieju. On splunął i powiada: Pid wiś pidkładu sztenwagu i pomałuńku dowołczemsia do Podorożnoi, a w futori meży ludmy ja wże sobi poradzu. Jak powiedział tak i zrobił. Pani Pirska pożyczyła mi stare koło i dojechałem na miejsce.

— Więc widziałeś, panie Wojciechu, tę księżnę osobliwą, zapytał znowu wásal, przysuwając się krzesłem bliżej.

— A widziałem, straszna tam bieda u niej. Pirski ze zgryzoty, mosterdzieju, na dobitkę pić zaczął i kilka razy widziałem go pijanego jak wychodził z szynkowni; gałgan, mosterdzieju, obalamucił kobietę, że jak szalona porzuciła dostatki i najzacniejszego męża i skazał ją na taką poniewierkę.

— Księżnie należy się ta pokuta, odezwał się proboszcz, tak lekkomyślna i zła kobieta traci prawo do szacunku ludzi uczciwych; dla urwipołcia i przybłądy jakiegoś zatrula życie najlepszemu mężowi, który ją kochał, pielegnował i zbytkiem otaczał. Bóg sprawiedliwy, niech pokutuje za zgorszenie jakie rozsiała w okolicy całej. Ja jęj nie żałuję i nie mam dla nięj litości nawet.

— Co do mnie, księżę proboszczu, mówił Rypowicz, księcia, mosterdzieju, nie widziałem nigdy, to za wysokie progi na szlacheica nogi, ale opinia publiczna księcia wynosi pod obłoki, czynów zaś księżny smutne widzimy dowody; usprawiedliwiać brudnych skandalów nie chcę i nie powinienem, wszakże żal mi, mosterdzieju, zbłąkanęj kobiety bardzo, jako wielka pani nawykła do pałaców i rozkosznego życia, mieszka teraz w ubogim dworku i piele grzędy w ogrodzie, gdyż nie ma czem opłacić robotnika. Na niczem się nie zna, bo biedy nie widziała; w zarządzie domem nie umie sobie dać rady, więc wyzyskują bezczelnie nieświadomość, wszyscy, począwszy od żydów, które ją oszukują niemiłosiernie. Gdybyś ją, księżę proboszczu, obaczył, to ręczę mosterdzieju, że złagodziłbyś swój wyrok surowy. Mizerna i wynędzniała nie pożyje długo w takich warunkach, dziś, mosterdzieju, nie podobna zupełnie do tęj pięknej kobiety, cośmy ją tu widywali w kościele.

— Trzeba będzie do Podorożny posłać zboża kilka korcy, żeby choć głodem nie marła, odezwał się wąsal jeden.

— No sąsiedzie, pošlemy razem, bo i ja furę ładuję, choć nie mam za wiele, ale godzi się dopo-

móźdz potrzebniejszemu, tak panu z panów jak i szaraczkowi zarówno, zawtórował wąsal drugi.

— Macie słuszość, że też mnie dotąd na myśl nie przyszło dorzucił, zwyciężywszy skapstwo wrodzone, pan Wojciech, toż ja waszym przykładem zbudowany, mosterdzieju, faskę masła i dzierkę sera ofiaruję.

— A więc dobrze, zawołał pierwszy projektodawca, nie odkładając jutro wyprawimy podwody. Bis dat qui cito dat.

— Za pozwoleniem, odezwał się proboszcz, pomysł panów wyśmienity, bo dowodzi dobrego serca, tylko szkoda, że trudny do wykonania.

— A to z jakiego powodu, zawołali wszyscy trzej chórem.

— Bo pani Pirska wsparcia od was nie przyjmie, odpowiedział ksiądz.

— E! fraszka, mosterdzieju, ktoby ją tam o przyjęcie prosił. Dostawcom się każe, aby nie pytając nikogo, worki ze zbożem i faski porzucili przed ganikiem i jak najspieszniej odjechali, zakonkludował decydująco Rypowicz.

— Było już coś podobnego, więc pani Pirska nie mogąc inaczej pozbyć się darów, gdyż nie wiedziała od kogo pochodzą, odesłała do miasteczka i wszystko co było przysłane oddała ubogim.

— A to pyszna kobieta! mosterdzieju, niechże ją kaci porwą, niema o czem żyć a pokazuje fupy.

— Prawdziwa pańska natura, harda, chociażby w łachmanach, dodał wąsal.

— He, he, odezwał się wąsal drugi, przecież każdy szlachcic umie pokazać fanaberye, a cóż dopiero umitrowana pani.

— Probóście panowie, może będziecie szczęśliwsi od hrabiego Romana, który jako krewny nie raz chciał dopomódz, lecz mu się nie udało dokazać téj sztuki, objaśniał ksiądz. Książę Izydor i hrabia Roman obaj radzili się mnie, ale we trzech nie wskóraliśmy nic i żadne podejsie nam się nie powiodło. Zaprzestaliśmy już zupełnie owych prób niefortunnych. Zresztą, kto wie, może będziecie od nas zręczniejsi...

— Upór babski, mosterdzieju, nie nie wart, a fumy pańskie nie powstrzymały od brzydkiego czynu, źle się u nas wychowują panięta.

— Od księcia przyjmuje tylko pieniądze na wychowanie córki, mówił ksiądz dalej, ale z każdego grosza skrupulatny zdaje rachunek, poświadczony Odesską Madam i professorów. Książę tych registrów nigdy nie czyta, ale Pirska nie odstępuje od swego postanowienia i pakiety z rachunkami do Horochowa odsyła punktualnie.

Może teraz będzie inaczej, bo mówił mi hrabia Roman, że książę przeniósł się do Odessy na stałe mieszkanie, więc tam będzie się opiekować córką i synem. — Oj! nie byłoby tego wszystkiego, gdyby nie głupstwo kobiece. Ma teraz za to pijaka, co cięży jak kamień młyński u szyi.

— U tych wielkich panów wszystko na wspak i dziwacznie idzie; szlachcianka nie pozwoliłaby sobie rozwodowego wybryku i nieuniknionego skandalu. Et! kara Boża i kwita.

Gdy tych słów domawiał szlacheie wąsaty, do pokoju weszła młoda panienska bardzo skromnie ubrana; ukloniła się i podając małą paczkę księdzu rzekła:

— To są, księże proboszczu, ręczniki ołtarzowe,

na które brałam miarę. Snać zażenowana panienka drobnocią ofiary spłonęła rumieńcem.

— Bardzo będą przydatne dla kościoła, Bóg zapłać ci moje dziecko za pobożną ofiarę, mówił ksiądz rozwijając paczkę. Patrzcie panowie, co za prześliczne płótno, a jaki steben wykwintny, wołał rozradowany swoim zwyczajem staruszek.—Czy to sama tak pięknie umiesz szyć panienko, pytał proboszcz uciechony, jak gdyby otrzymał złotolitą kapeć co najmniej.

Panienka zawstydzila się jeszcze więcej, odpowiedziała, że każda w jej wieku dziewczyna stebnować tak potrafi, a unikając powtórnych podziękowań ucałowała rękę sędziwego księdza, ukloniła się i wyszła.

W tej chwili odezwały się dzwony kościelne.

Ksiądz Sęski jak młodzik porwał się z siedzenia i zawołał głośno:

— Panowie, czas nam do kościoła, dobry katolik nie opóźnia się nigdy w służbie Bożej, kto łaskaw i może proszę na skromny obiadek, i nie czekając aż goście wyjdą, schwycił łaskę i czapkę.

Wszyscy poszli za przykładem swego proboszcza i opuścili plebanie niezwłocznie.

Pewno nie jedna pokorna modlitwa wzniosła się w niebiosy z intencją wyjednania przebaczenia upadłym moralnie grzesznikom i może nie jedna wyblagała zmiłowanie Boże...

Serca bowiem polskie umieją odczuwać niedolę bliźnich, gdyż same przepełnione cierpieniem przebolały wiele i modlitwy ich są pełne wiary szczerze i gorące...

Przed kościołem sprzeczali się między sobą żebracy, a stangreci dla skrócenia czasu oczekiwania, we-

sołą zabawiali się gawędką, krytykując zaprzęgi swoich chlebowawców.

Z kościoła dochodził poważny głos organów i mieszał się z gwarem jarmarkowym, którym huczał rynek małego miasteczka...

Dalszych dziejów zbłąkanéj kobiety opisywać nie będę, każdy je odgadnie, jaką drogą niedoli wlecze los swoje ofiary skazane za lekkomyślność, na nędzną egzystencję, która jest karą doczesną upadłych.

Opuszczona i samotna pani Laura pokutować będzie do końca życia, bez nadziei uzyskania przebaczenia u tych ludzi, których opinia dla kobiety inteligentnéj i ambitnéj nie może być obojętną...

Bóg się ulituje i winę odpuści, ale ludzie nie zapomną nigdy.

THE
LIBRARY OF THE
MUSEUM OF NATURAL HISTORY
AND
ZOOLOGY
OF THE
CITY OF BOSTON
1871

THE
LIBRARY OF THE
MUSEUM OF NATURAL HISTORY
AND
ZOOLOGY
OF THE
CITY OF BOSTON
1871

PIOŁUNY.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

Pani Julia miała lat pięćdziesiąt i męża safandulę, zwanego Kajetanem, którego panie zazdrościły jój bardzo; miała jeszcze szanowna pani Julia trzy córki dorosłe, i wioseczkę małą mocno odłużoną, ale długów nikt a nikt nie zazdrościł jój wcale. Niektórzy kawalerowie wygłaszali nawet zdanie, że lepiejby było mieć jedną córkę przy trzech folwarkach, niż na odwrót... Ale podobało się Opatrzności obdarzyć przezacną matronę gronkiem dziewic i sporą paczką najniżej podpisanych weksli, więc pragnienia kawalerów stały się głosem wołających w pustynnej kieszeni pani Julii, na które trzy niewinne gardziołka mogły odpowiedzieć tylko tonami miłości gorącej.

Nie tak nie rozegzaltuje wyobraźni panińskiej, jak orkiestralne narady trzech istot pragnących małżeństwa. Niczem jest zapalczywość żydowska w pogoni za pochwyceniem ubóztwianego rubla, w porównaniu z wysileniami w zdobywaniu męża, na jakie zwykle skazują się dobrowolnie rozamorowane ubogie panienki. Matka zaś kilku dojrzałych cór staje się istną męczennicą Neronowskiej epoki. Któż tego nie

widział choć sto razy w swoim życiu? Kto nie westchnął choćby raz jeden, litośnie, nad niedolą matki hojnie osypanej córkami?

I pani Julia dźwigała heroicznie trzy krzyże żądź małżeństwa; od lat dziewięciu podobna do bohatera okrytego krzyżami zasług bojowych, lub cmentarza ze smutnemi godłami ukrzyżowania, wlokła się po drodze żywota znękana i smutna.

Niestety, mnóstwo zawiedzionych nadziei, nie przyczyniało się do rozjaśnienia horyzontu trosk macierzyńskich, córki rosły, dorastały i przerastały nawet kolejno, a ten co miał ulżyć w trosce nie pojawiał się dotąd, choć panny czekały niecierpliwie, grymasiły, strojąc się we wszystko co zdobyć się dało. Każdy wieczorek tańczący rozżarzał bladą iskrę nadziei w łonie udręczonej matki, nadzieja gasła jak błędny ognek, wraz z końcem balu który nie przynosił pożądanej pociechy sercom niewieścim.

Cztery stare konie pani Julii, któremi ustawicznie jeździła; wyglądały jak szkielety, zadając kłam teorii ruchu, wycieńczeniem sił biednych czworonożnych zwierząt. W skutek praktyki wieloletniej i instynktu, konie pani Julii pewno musiały umieć na pamięć cały kalendarz, brakowało im tylko daru słowa, by wszystkie w roku wymieniać imienniny, o których zapewne, żując słomę, przemyślały z trwogą ustawiczną.

Pani Julia pewno dziękowała Bogu codziennie, że konie były nieme, bo gdyby do narzekañ trzech cór nadobnych przybyły przekleństwa udręczonych zwierząt, niedoli pani Julii stałaby się katusza.

Mileżała także głowa rodziny w osobie pana Ka-

jetana, jak gdyby o niczem nie wiedział, zajęty jedynie polowaniem, które lubił namiętnie, i czytaniem gazet do poduszki. Żona robiła co uważała za stosowne, mąż milczał jak koń, pomimo że mówić umiał, lecz pamiętał, że milczenie jest złotem.

Kobiety gadały i ogadywały bliźnich ustawicznie, miały jak pytle przy bystrzej wodzie, i to im sprawiało prawdziwe zadowolenie i ulgę. Panie miały obszernie koło znajomych, więc im wątku do obmowy nie brakło; młode wszakże i ładne panienki padały zwykle ofiarą ich złośliwości, pastwiły się nad nimi niemiłosiernie, wykonując wiwisekcyę in anima vili. Codzienne posiedzenia familijne zamieniały pokoik bawialny w istną kamerę prokuratorską, gdzie się obwiniiali wszyscy sąsiedzi, bez wyjątku, a nawet ludzie zupełnie nieznajomi, ze stron dalszych. Pioruny złośliwości kobiecej padały tu nieustannie, usiłując jeśli nie zgruchotać, to przynajmniej błotem obrzucić dobre imię bliźniego. Głowa familii, a właściwiej mówiąc nogi rodzinne, nie przyjmowały zwykle w tem żadnego udziału; potulny i bierny charakter małżonka pani Julii palił ustawicznie fajkę lub papierosy, i snuł jakieś nieokreślane dumania, o czem? To tylko chyba Bogu było wiadomo, gdyż pan Kajetan sam nie zdołałby ich opowiedzieć. Były to istne arebeski marzeń zmieniających kształty, jak dym snujący się z ust pana Kajetana. Czasem przemykał się po jałowym stopie myślowym poszczuty zając przed laty kilkunastu, lub chytra fizyognomia żydka kupującego lisie skórki, których sprzedawać nie lubił, jako trofeów łowieckich, świadczących o przemyślności i kompetencyi myśliwca. Pan Kajetan wśród współczesnych sobie ludzi wygła-

dał dziwnie; łatwowierny a więc wyzyskiwany do zbytku przez wszystkich, ustawicznie zdradzany, wierzył zawsze każdemu, a w duchu miał się za bardzo sprytnego człowieka. Niepraktyczny jak dziecko, w życiu codziennem, ufał przenikliwości własnej, stawiając jedynie rozum małżonki wyżej nad własne doświadczenie. Pani Julia rządziła domem i wszystkim, nie wyłączając męża który jej potulnie ulegał.

Gdy córki podrosły, pokorny ojciec i im stał się posłusznym, stawszy się już nie piątym ale szóstym kołem u familijnego wozu, do którego go wprzegła despotyczna dłoń pani domu. Upodobania pana Kajetana były bardzo skromne, lubił wołowinę, gazetę i fajkę. Mięso wołowe uznawał za jedyną podstawę życia materialnego, polityką gazety posilał spokojnego ducha, a fajką wypełniał idealne potrzeby i pragnienia ubogiej wyobraźni.

Ruch wiedzy, postępu i całej działalności świata całego nie go nie obchodził, gdy na obiad miał sztukę mięsa, a po niej arkusz bibuły gazeciarskiej i stambulkę pełną tytuniu. Mieszkając całe życie na wsi i gospodarząc na roli, nie nabrał nawet téj rutyny, jaką pierwszy lepszy włościanin się rządzi. Nieudolniejszego zarządu w folwarku trudnoby sobie wyobrazić. Służba puszczonej samopas nie robiła nic, ekonom kradł bez miłosierdzia, siedział pod piecem zimowłą porą, a latem spędzał dnie w gościnie u swoich znajomych. Cały dozór gospodarski spoczywał na karbowym, który jak z łaski dowiadywał się do dworu, przesiadując resztę dnia, a często i noc całą w szynkowni u Berka, z którym od dawna żył w ścisłej przyjaźni. Zdawało się, że pani Julia brała ini-

cyatywę wprowadzenia odrobiny ładu, ale czynność ta mijała szybko i bezowocnie, gdyż trzeba było wozić panny w sąsiedztwo, składać i przyjmować wizyty, a córki tak pilnowały porządku w tym względzie, tak ściśle prowadziły kontrolę stosunków towarzyskich, że nawet energiczny charakter pani Julii musiał im ulegać; dodać wszakże należy, że więcej tu działało przywiązanie macierzyńskie, niż strach przed breweryami i lamentami dziewic, które poskramiać nie byłoby łatwo.

Przy braku środków materyalnych i chęci zadowalniania wymagań dzieci pieśczonech, a więc samowolnych, cóż może być więcej godnem politowania nad matkę, mającą kilka kapryśnych cór na wydaniu, nie uznających żadnych przeciwności, ani braku środków materyalnych. Bieda z nimi wielka, nie mówię tu o pannach posażnych, na które zawsze znajdzie się jakiś przemysłowy amator, ale o tych panienkach co jedynem bogactwem ich jest młodość, i rzadko kiedy piękna twarzyczka. a chęć do brylowania chociażby na parafialnej arenie bezmiernie. Do pierwszej kategorii należały córki państwa Kajetaństwa, wszystkie były już dojrzałe i gotowe do stanu małżeńskiego, ku któremu miały najszczerzą ochotę.

Jeździły zatem z matką wszędzie gdzie się tylko dało, a więc na wszystkie imieniny, wieczorki, śluby, chrzciny, ba nawet i odpustów nie opuszczały nigdy, w nadziei może pobożnej, że tam wymodlą sobie kawalera, łatwego do ujarzmienia. Najdotkliwiej odczuwały to konie pana Kajetana, wychudzone ustawicznymi kłusowaniami i zbiedzoną bezlitośnie.

Gdy tak zwane konie cugowe, odmawiały ostate-

ecznie posługi, wyprzegano wtedy męczenniki z pługa, podwiązywano im z czupurną elegancją ogony i wyruszano w drogę. W takich razach praktyczna pani Julia wyruszała z domu w godzinach poobiednich, aby na miejscu przeznaczenia stanąć wieczorkiem, by improwizowanego zaprzęgu nie wyśmiewali złośliwie.

Staroświecki powóz pani Juli, chociaż dość obszerny, mógł tylko pomieścić cztery osoby; pomimo to jednak pięć kobiet zawsze zawierał w swem wnętrzu, wraz z małą trzynastoletnią służącą, siedzącą w pośrodku czterech par kolan panińskich, nad którymi ledwie górowała głową, wyprawiającą różne ewolucye, odpowiednie ruchom ekwipażu. Wynikały z tego rozmaite zetknięcia brody służebnej i repliki zamienne atakowanych kolan dziewczych, nie zawsze dla służebnicy pożądane. Powóz więc pani Julii w akeyi podróźnej wyglądał jak puszka pandory z której każdego momentu mogło wypaść jakieś nieszczęście na pierwszą spotkaną głowę kawalera. Nic o tem nie wiedziała mała Kasia przepełniona obawą własnej niedoli, wynikającą ze skutków powozowej pozycyi. Kasia mała była, prawdziwą egoistką.

Pan Kajetan nie towarzyszył nigdy swojej małżonce i córkom, dla braku miejsca w powozie, błogosławił więc niebo, że go tak licznem obdarzyło potomstwem, iż dlań już miejsca w końcu nie było. Nie raz ciągnąc dym z ulubionej stambułki, zadumany głęboko, powtarzał sobie w duchu „niema tego złego coby na dobre nie wyszło”, i rad był, że nie posiadał większej landary.

Gdy więc pani Julia z córkami podróżowała po okolicy, pan Kajetan siedział w domu, jadł mięso wo-

łowe, palił fajkę, śledząc politykę Bismarka. Tak bywał wtedy szczęśliwym w samotności, że nawet nie żałował tyranizowanych koni, ani obezwładnionego pługa, którego działalność mocno była pożądaną na polu. Narzekającemu ekonomowi na brak sił pociągowych, zwykle odpowiadał:

— Jakby kto nie uprawiał rolę, plon zawsze wyniknie taki, jaki jest zapisany w księdze przeznaczeń, nie troszcz się więc nadmiernie panie Gawroński, et, wyorzemy trochę później, i posiejemy kiedy się uda, a co Bóg dać zechce, to nas nie ominie.

Naturalnie, że Gawroński po takiej rozgrzeszającej sentencji odchodził ze spokojnem sumieniem na folwark, i bawił się jak umiał, nie myśląc się sprzeciwiać woli Bożej, ani perswazyi swego chlebowdawcy.

Przy takiej manipulacyi, ładu za grosz w gospodarstwie nie było; długi się powiększały, procenta rosły, a panny pracowały ustawicznie w zdobywaniu kawalerów, którzy jakoś nie spieszyli do skarbów dziewiczych...

Nieukontentowania kobiet wzmagaly się co dnia, jeden tylko pan Kajetan czuł się względnie najszcześliwszym, ze swoją nieodłączną stamubułą. Pani Julia dyplomatyzowała w domu z córkami, a za domem z całym światem płci obojój. Często spędzała noce bezsenne, przemyśliwając jakby ulżyć sobie rodzicielskiego balastu i choć jedną dziewicę ujrzyć mężatką. Ale szło oporem... nadzieje lśniły zielonością i zagrzewały do czynu serce macierzyńskie zanim się rozwiały jak mgły jesienne. Panny spragnione czekały zmiłowania kawalerskiego, strojne i zbrojne wszystkimi

wdziękami niewieściej strategii, lecz niestety czekały dotąd napróżno! Lato się kończyło i zbiór zboża w folwarku pana Kajetana wypadł jak zwykle, niepomysłny. Kobiety były w rozpacz po świeżo odbytej rozmowie z ekonomem, która je pogrążyła w gnębiącej desperacji, bo pieniądze były potrzebne a kredyt wątpliwy.

Pani Julia chodziła po pokoju zamyślona, a panienki szeptały między sobą z wielkiem ożywieniem przeplatając śmiechem rozmowę.

— Niech się mama nie martwi—odezwała się Zosia—uradziłyśmy wyborny sposób powiększenia majątkowych dochodów, a co więcej, że i uprzyjemnienia życia; najdoświadczeńszy adwokat pozazdrościłby nam pomysłu.

— Tak jest, przytniemy troski odrazu — potwierdziła Karolka.

— Ciekawą jestem coście tak mądrego wymyśliły, gdy ja dotąd wyteżałam myśl napróżno.

— Czemuż mama nas nie zapytała? Poradziłybyśmy odrazu—odparła Karolka z lekkim wyrzutem.

— Co! Wy miałybyście być praktyczniejszymi ode mnie?—I pani Kajetanowa machnęła ręką z lekceważeniem.

— Cóż dziwnego, młody umysł zawsze jest sprężystszy—dorzuciła Zosia.—Dojrzałyśmy przecie.

— Już tedy jaja mędrze są od kur — zawołała matka oburzona.

— Głowy rozumne nie są wcale do jaj podobne—odezwała się pewna siebie Melania.

— Bajka o jajach cofnęłaby nas wstecz o lat sto — przywodziła siostrze Zosia.

— Zamiast nierozsądnych przechwałek, powiedźcie lepiej jakie wynalazłyście środki zaradcze; przekonamy się rychło, że treść funta kłaków nie warta.

— Pomysł bardzo prosty — zawołała Karolka głosem stanowczym — trzeba naszą Pińkówkę oddać w dzierżawę.

— Dziecinna rada! A gdzieżbyśmy mieszkali? — I przy tych słowach pani Julia zaśmiała się gorzko.

— Wyjechałybyśmy z pieniędzmi na mieszkanie do miasta, gdzie byłoby nam dogodniej i weseliej nawet. Niech mama kochana nad tem się zastanowi — prosiła Karolcia.

— Widywałybyśmy przynajmniej ludzi — dorzuciła Zosia. — W pustyni żadna panna nie znalazła męża, a nam już czas...

— Dzierżawa i wyjazd do miasta... hm, możeby to doprawdy było praktycznie, ale... — i zamyślona matka nie dokończyła frazesu.

— Niewątpliwie że byłoby najlepiej; papa z gospodarstwem rady sobie dać nie umie, cierpiemy więc niedostatek we wszystkim i w dodatku nie widzimy tu nikogo odpowiedniego dla nas.

— Niech mama rozważy słowa Karolki — potwierdziła Zosia — dla panien dorosłych życie na wsi jest męczarnią, czas leci, lata mijają, a młodość nigdy nie wraca.

— Prawda święta, że nie wraca nigdy — odezwały się trzy głosy razem, a Melania dodała, że: każdy dzień jest złodziejem kradnącym wdzięki kobiece.

— Tak, czas jest wrogiem naszym — zawołały chórem panny.

— Trzeba będzie pomówić z ojcem w tym wzglę-

dzie, poczekajcie, każdy interes wymaga czasu — tłumaczyła matka.

— Jak mama zacznie dyplomatyzować i radzić papie, a papa rozpocznie odradzanie, to do skończenia świata nie z tego nie będzie.

— Masz słuszność — wtórowała Melania — należy działać stanowczo, odrazu, czas nie czeka, i nam trudno wyczekiwać dłużej zmiłowania Bożego.

— Mama nas przecie kocha—przymilała się Zosia; a przyszłość dzieci nie może być obojętną żadnej matce.

— Mamy tak dobrą matkę, że żadna z nas nie może wątpić, iż pragnie serdecznie dobra swych córek.

I wszystkie trzy poczęły całować ręce pani Julii.

— Samo zamięłowanie zwłoki już nam szkodzić może, panny jak kwiaty wędzną prędko—dodała sentencyjonalnie Melania.

— A któż wam mówi o oczekaniu—burknęła niezadowolniona matka—domysł nie jest przecie faktem spełnionym, muszę rzecz całą rozważyć.

— Zapewne, ale starzy ludzie tak lubią zwłoki i medytacye.

— Jak ty gadulstwo; lepiej mówmy o interesie — odezwiała się Karolka.

— Mów więc sama, ja ani pisnę.

— Zkotłowaliście^ś mi głowę, a dotąd nie wiem czego chcecie mianowicie.

— No Karolciu zaczynaj i popisz się z wymową.

— Najprzód, kochana mamo, trzeba wydzierżawić Pińkówkę, potem pojechać do Olinowa, najać ładne mieszkanie i w niem zamieszkać.

— Do Olinowa!... Ciekawam dla czego wybrałyście tak lichą mieścinę?

— Dla tego, że tam będziemy widoczniejsze. W Olinowie jest gimnazjum, a więc i ruch przyjezdnych większy; zresztą ósmą klasę także można brać w rachubę, toż przecie kandydaci na kawalerów.

— Dajże pokój smarkaczom przynajmniej, wszak to dzieci—strofowała matka.

— Nie można mameczko nawet ich lekceważyć, panna w tych krytycznych czasach jak pszczoła, wszędzie powinna szukać pożytku.

— Ależ to dzieci i nie wypada zawracać główek zielonych, co się wam roi moje panny...

— Zapomina mama że dziateczki rosną, dojrzewają, i przejrzewają prędko w naszych czasach, a najmniej spodziewane projekta przychodzą do skutku. Zły to żołnierz, co nie myśli zostać feldmarszałkiem. Zresztą będziemy tam miały kościół jako popisową arenę.

— Olinów mi się nie podoba, to miasteczko plotkarskie, oczernią nas tylko, a z gimnazystów dla was korzyści nie będzie żadnej.

— Niech mama nam zaufa, damy sobie z nimi radę; uczniowie miewają starszych braci, wujów... Ho! ho! na wszystko są sposoby! Z młodzikami łatwiejsza sprawa jak ze starą gwardyą wyłysiałych kawalerów, co to już w nic nie wierzą, ani w Boga, ani dyabła —perorowała Melania.—Na starców trudno liczyć, to zdrajcy.

— Niestety, smutna prawda, że młodzież terazniejsza pozbawiona tkliwych uczuć, szydzi nawet z miłości, bo posag jest ich ideałem. Pamiętam, że za mojej młodości młodzież była ognista i romansowa, pan-

ny były czczone jak boginie, a dziś inni ludzie... — I pani Julia westchnęła sentymentalnie.

— Oto gdyby nam choć kilku takich romansowych gapiów z przeszłości los zesłał, jabym dwóch naraz za nos wodziła—dowcipkowała śmiejąc się Zosia.

— Gapia nie poślubiłabym nigdy—zaoponowała Karolka.

— Widać żeś z nas najmłodsza i żółto masz jeszcze w dziobku, cóż może być dogodniejszego na męża jak bogaty niezdara, czyli podatny materyał na pantofel małżeński—pytała siostry Melania.

— Chcę mieć męża z charakterem wyrobionym, człowieka inteligentnego i za nie nie zostałabym żoną pantofla—odparła Karolka.

— W Olinowie znajdzie się i dla ciebie jakiś stary, zatabaczony profesor, a uczony jak rabin; z nudów i nałogu zaczniesz ci wyklądać algebrę, a czego ci za zdrościć wcale nie będziemy, podziękujże nam za to.

I obie siostry podały Karolce ręce do pocałowania.

Przez cały ciąg rozmowy córek pani Julia siedziała zamyślona, rozważając głęboko nowy projekt. Powoli przychodziła do wniosku, że projekt zamieszkania w Olinowie wcale jest praktyczny, dzierżawa przyniesie więcej dochodu, jak nieudolne gospodarstwo mężowskie, pozwalając zarazem spełnić godnie posłannictwo rodzicielskie. Uznawszy projekt za dobry, zarzumiała pani Julia, upokorzona w miłości własnej, uczuła się niezadowoloną z siebie, a co się jej nader rzadko zdarzało. Przecież sama mogła pomyśleć o dzierżawie i Olinowie, nie dając się wyścignąć młodym umysłom swych córek? Ale fakt spełniony stał się nieublaganym wyrzutem i wyciskał piętno gnębiącego

upokorzenia w dumnym umyśle pani Julii; postanowiła więc spełnić czyn jakiś samodzielny, któryby był rehabilitacją po odniesionej porażce. Pragnęła uczyć się coś wiekopomnego, ale co to miało być, nie wiedziała jeszcze sama. Panny chichotały, szepecząc wesoło o przyszłych już tryumfach w Olinowie, kędy je niosły skrzydła uroczej wyobraźni zawsze skwapliwej w latach młodości. Pani Julia dumiała wsparta na rękę, a ostatecznym wynikiem dłuższej medytacji była potrzeba rozmówienia się z mężem w kwestyi dzierżawy Pińkówki. Postanowiła działać szybko, i w tym celu udała się do pokoju mężowskiego.

Pan Kajetan w doskonałym był humorze, tylko co nałożył fajkę z świeżo zakupionego tytoniu, który mu się wydawał wybornym. Czcigodna małżonka trafiła na chwilę nader sprzyjającą, choć o tem nie wiedziała wcale.

— Czy wiesz Kajicu—zaczęła dyplomatyczna żona—kucharz oświadczył mi, że dłużej służyć nie będzie.

— A to fatalna nowina, cóż to mu przyszło do głowy—zapytał mąż, wypuszczając wielki kłęb dymu.

— Powiada, że tak szkaradne przywożą mięso, iż rady z niem sobie dać nie może. Ja temu nie wierzę, najpewniej ktoś z sąsiadów ludzi go większą pensją, trudno mu było o lepszy powód—odparła żona.

— Uważałem od paru tygodni, że sztuka mięsa twarda i żyłowata, widocznie zaczął się opuszczać w służbie, a może i pieć potrosze. Zresztą kto odgadnie wybiegi służących? Łotry to są wierutne i pijaki—zakonkludował mąż gniewnie.

— Ależ gdzież tam, trzeźwy jest jak zawsze, tylko

mięso złe. Trzeba żebyś rzeźnikowi powiedział słowo prawdy, boć przecie drogo mu płacimy, a...

— Mówilem i łajałem już nieraz, ale to nie nie pomaga, żyd gałgan wie, że jesteśmy na jego łasce szachrajskiej, więc wyzyskuje bezczelnie.

— Przy takich danych życie na wsi staje się nieznośnem—rzekła wzdychając pani Julia.

— Ha! niema rady, musimy cierpieć kochana Julciu i kwita.

— Przymusu nie widzę, na wszystko jest rada jeśli się jój poszuka.

— Rada! Ciekawym jaka? Od dawna czułem potrzebę zmian radykalnych, ale cóż, kiedy nie wymyśleć nie mogę.

— A czemuż nie poradzisz się żony? Co dwie głowy, to nie jedna — dodała pani Julia z lekkim wyrzutem.

— Zapewne... Może już coś wymyśliłaś Julciu, bo jesteś sprytną do wszystkiego, więc powiedz.

— Oddaj Kajciu Pińkówkę w dzierżawę, bo czas tobie odpocząć, a sami zamieszkamy w mieście.

— Co!... Zamieszkać w mieście!—zawołał pan Kajetan porywając się z fotela—nie jestem przecie szewcem albo krawcem żebym potrzebował rynku i jadł zgniłe, zaśmiecone powietrze miejskie, śliczny koncept, dziękuję uniżenie za taką radę niezdarną. Niech lichoporwie miasto z mieszcuchami razem! Śliczna rada! Śliczna!

— Posłuchaj mię cierpliwie, mój Kajciu, trzeba pierwój każdy projekt zbadać wszechstronnie, aby go ocenić należycie—mówiła żona słodziutko—a...

— Nie cierpię czeźej gadaniny, et, głupstwo—pra-

wił zaperzony małżonek—urodziłem się na wsi synem obywatelskim, na wsi żyłem lat kilkadziesiąt spokojnie i uczciwie, więc też na wsi pragnę życia dokonać.

— Ot, wyjechałibyśmy tylko dla próby na lat parę, a choćby i mniej, gdyby się nie podobało...

— Nie ciekawy jestem tych prób włóczęgowskich, kto miał szczęście urodzić się obywatelem wiejskim, ten nie pragnie zostać mieszczuchem, fe, zkad tobie te dziwaczne myśli napłynęły do głowy?

— Widzisz Kajciu, nie mamy *jakoś szczęścia do gospodarstwa, pszenica w Pińkówce nie rodzi, choć pracujesz jak wół, dochody są małe, a mając córki dorosłe, wydatków jest sporo. Do wszystkiego trzeba mieć szczęście, a przedewszystkiem zdrowie szanować należy, ty zaś go nadużywasz, kłamała żona podchlebna.

— To prawda—rzekł udobruchany już nieco pan Kajetan.

— Czy urodzi czy nie urodzi, panny trzeba stroić bo taki jest świat, że jak cię widzą tak cię piszą. Rata dzierżawna nie chybia nigdy, i to jój zaleta główna; wiedząc tedy z góry ile się ma intraty, łatwo budżet rozchodów rozłożyć, robić nawet maleńką oszczędność na spłacenie częściowo długów. W miasteczku najęlibyśmy sobie ładny domek z ogródkiem na ubożu, któryby wyglądał po wiejsku, mielibyśmy warty własne i drób na kuchnię. W takim domku, przy gotowym groszu można żyć spokojnie jak u Pana Boga za piecem; przyznaj Kajciu, że samo uwolnienie się od zgryzot z teraźniejszą zdemoralizowaną służbą folwarczną, jest już wielką wygraną.

O prawda Julciu, że z niemi istne piekło przecho-

dzieć potrzeba, posłuszeństwa za grosz, a kłopotów co niemiara—potakiwał mąż uległy.

— A widzisz? Niech więc dzierżawca ujada się z chłopami, tobie już pora wypocząć, niech młodzi pracują. Przytem mamy trzy córki na wydaniu, w mieście łatwiej się może znaleźć kawaler, tu pustka, któż je obaczy, komu drgnie serce na widok tych istot uroczych? Myślę o tém często i truchleję z obawy.

— I to prawda, ale jak się rozstać z tym zagonem rodzinnym, jak odwyknąć do czego się przyrosło sercem, przylgnęło przyzwyczajeniem lat długich. Gdybyś wiedziała, Julciu, jak ja nie lubię miasteczka...— tłumaczył się pan Kajetan, a łza błysnęła mu w oczach.

— Nie taki dyabeł czarny jak go malują, przyzwyczaisz się pomału, a do lepszego prędko się nawyka—pocieszała żona—przynajmniej zakonserwujesz zdrowie na starość, wszakże i poświęcenie dla dobra dzieci jest obowiązkiem rodziców.

— Zapewne, zapewne, ale jak tam wyżyć wśród tej zgrai opojów zuchwałych, gdzie mnie nikt nie zna i nie uszanuje—oponował pan Kajetan wzdychając.

— Dajże pokój z tym urojonym szacunkiem wiejskim, gdzie tu kto kogo teraz poważa? Kiedyś było inaczej, a dziś same zgryzoty i poniżenie nas otacza.

— Pomimo wszystko, zawsze ja tu czuję się panem, a tam w miasteczku czeka nas poniewierka.

— Oho, kto płaci, temu choćby i w gubernialnem mieście klaniać się będą. Zresztą dobro dzieci naszych tego wymaga.

— Zapewne, zapewne, ale... widzisz bo... — jękał się pan Kajetan.

— Wybierzesz porządne mieszkanie, żeby ludzie

wiedzieli, że nie jesteśmy szurgotami, urządzimy dom na stopie eleganckiej, jak przystało rodzinie obywatelskiej. Mając więc swobodnego czasu zajmę się kuchnią; obaczysz Kajciu jaką wołowinę będą nam dostarczać, to nie to, co na wsi, tam rzeźnik będzie na oku, a ja go odrazu przyzwyczaję do subordynacji.

— Wiem że jesteś praktyczną, Julisiu, ale wątpię czy się tobie uda z rzeźnikiem... W mieście ludzie zuchwali...

— Oho, zobaczysz! Niechno pokaże im moją energię, ze mną żartów nie będzie.

— Wszak i ja nie żartuję, ale słuchać mnie nie chcą?

— Najprzód trzeba znaleźć dzierżawcę...

— O! gdybyś wiedziała ile ta zmiana będzie mnie kosztować zdrowia...

— Nie mówmy o tem, jak przywykłeś tak odwykniesz, kto zaś ma córki...

— Mam, mam, lecz wołałbym aby to byli chłopcy, mniej byłoby kłopotu.

— Nie zrzedź, a myśl lepiej jak im przyszłość zapewnić, spełniając ojcowski obowiązek.

— Nic mnie tak nie irytuje jak to słowo: obowiązek; gdzie tylko się ruszyć myślą, wszędzie ci obowiązki na drodze staną, i tak: prócz obowiązków rodzicielskich, o których tak lubisz wspominać, są jeszcze obowiązki synowskie, obywatelskie, społeczne, religijne, ojczyste, tradycyjne, familijne, towarzyskie... dałyby się jeszcze wyszukać jakieś krajowe i zagraniczne, słowem sto utrapień różnorodnych ochrzczono obowiązkiem, że aż kością w gardle stało.

— Ależ mój Kajciu, człowiek przecie nie żyje tyl-

ko dla siebie, i powinnością każdój jednostki jest wypełnianie właściwych mu obowiązków.

— Aha! znowu wlaźłaś na przemiły obowiązek, aby mnie irytować — wołał pan Kajetan — mówmy lepiej o czem innem, albo i nie mówmy wcale. A niechże dyabli porwą ten frazes przeklęty!

Pan Kajetan zasepił twarz i mocno był wzburzony, musiała więc pani Julia zmienić znowu taktykę i tak manewrować, aby nie podburzać męzowskiego uporu. Dla obznajmionej z charakterem pana Kajetana małżonki, nie było to rzeczą trudną; po godzinnéj rozmowie zdołała przewyciężyć wszystkie przeciwności, i jak zwykle stała się dyktatorką absolutną.

Na wieść, że Pińkówka oddaje się w dzierżawę, stanęło kilku amatorów, a dzięki téj konkurencyi, folwarczek wydzierżawiono na dosyć korzystnych warunkach. Panny tryumfowały, cała rodzina poczęła się krzątać i sposobić do przeprowadzki. Pani Kajetanova z córkami pojechała do Olinowa dla wyszukania mieszkania; dwa dni bawiły w miasteczku zanim znalazły odpowiednią rezydencję, co nie było wcale łatwym zadaniem, to co podobało się matce, córki znajdowały nieodpowiedniem i odwrotnie. Nakoniec musiano zrobić pewne wzajemne ustępstwa z wymagań stron obu i wynajęto dom z ogródkiem i składem na drwa, który miano przerobić na stajnię, wprawdzie za to nie mieli już drwalni, ale któżby tam o nią się troszczył, gdy konie potrzebne były dla splendoru domu, a więc nieodzowne.

Po powrocie istny sądny dzień zapanował w Pińkowie, najprzód chcieli zabierać wszystko co tylko było, lecz gdy to okazało się absolutnie niemożliwym,

bo przy domu w miasteczku szop żadnych ani śpich-rzów nie było, należało zrobić wybór rzeczy nieodzownych.

Pani Julia zabierała wszystkie faski i dzieżki dla składania masła, chociaż jedną tylko krowę utrzymywać mieli w mieście.

Kilkanaście wielkich raden do suszenia zboża i olbrzymia skrzynia lnu do przedzenia również była potrzebną, i zabierała się także.

Dwa kufrы ze starymi rzeczami zabierała matka, panny zaś bez pięciu dużych szaf obejść się nie mogły.

Kazano cieśli narobić koszurów kilkanaście dla pieców w nowem mieszkaniu i stolnic kilka do kuchni, zabierały się także żarna ręczne, stępy i inne statki gospodarskie.

Gdy kobiety wybierały się jak na afrykańskie krańce, pan Kajetan niemniej przezornym był także, a więc spakować kazał mnóstwo starój porwanėj uprząży, nieużywanėj od lat kilkunastu, siodła zdzelowane kompletnie, koczobryk z którego zostały tylko smutne szczątki w celu odrestaurowania w miasteczku tego archeologicznego zabytku, sprzęty i narzędzia rolnicze do łatania w sposób możliwy, a choćby i niemożliwy nawet. Wszystko to w celu praktycznego zużytkowania wolnego czasu i dopilnowania rzemieślników miasteczkowych, o których pan Kajetan najgorsze miał wyobrażenie, a majsterkę wszelką odświeżającą stare graty lubił bardzo. Czasem reperacya przewyższała w cenie kupno nowėj rzeczy, ale pomimo to pan Kajetan łudził się zyskiem i latał co się dało.

Wszystkie te przygotowania pomimo nalegań niecierpliwych córek trwały parę tygodni, zanim wyru-

szyl z Pińkowieckiego dworu szereg wozów ładow-nych. Z daleka kalwakata wyglądała dosyć zabaw-
nie, na jednym wozie piętrzył się kojec z kurami, na
drugim cudów ekwilibristyki dokazywały dwie baby
zabrane do usług, a siedzące tak wysoko na wozie
zawalonym meblami, jak ptaki na drzewie. Obie za-
nosiły się od placzu, opuszczając wioskę rodzinną,
choć im o wesołości miejskiego żywota dziwy opowia-
dano. Chcąc się przyzwoicie pokazać przed miejskie-
mi ludźmi, biedne kobieciny przywdziały stroje najpa-
radniejsze, świąteczne, a skazane na zbyt niewygodne
siedzenie, żałowały nowój odzieży, która w dniu je-
dnym podróży zniszczyć się mogła; myśl ta nie popra-
wiała wcale im humoru już usposobionego do wzajem-
nej klótni.

Szereg wozów zamykał stary szaraban, w którym
leżał związany wieprz tłusty. Może instynktownie
przeczuwał biedaczek, że dnie jego już policzone, czy
tóż jako sybaryta niezadowolony z niewygodnego le-
żenia, przeraźliwym głosem wołał zmiłowania i ratun-
ku, ludzie jednak byli nieczuli na te jęki rozpaczy
wypasionego osobnika, ale za to wiejskie świnię zbie-
gały się, okazując wielkie współczucie dla podróżni-
ka, gotowe nawet rzucić się mściwie na jego ciemież-
ców... ale chłopci nie zważali na tę demonstracyę i je-
chali dalej, smagając batem natrętne zwierzęta. Jedna
z nich odważniejsza, ukąsała nawet konia, który się
jój odwzajemnił potężnem kopnięciem, a co niezmier-
nie ubawiło fernali.

Takie było ostatnie pożegnanie; gdy wozy ładow-
ne mijały Pińkowiecki kołowrót, wieprz nie przesta-
wał kwiczeć, choć na niego wiadro wody wylano, ko-

guty piałły w kojcu i baby wymyślały sobie, obwiniając się wzajemnie za decyzję nagłego wyjazdu, rozłączającego serca. Postanowienie powrotu ulgę im tylko niosło, gdyż chłopi je zabrać przyrzekli.

Tyle istot cierpiało gwoli panieńskiej, chęci zabaw i zdobywania mężów na miejskiem terytoryum, walka o byt i tu złożyła dowody.

Karawana ujechała już dobrą milę, gdy powóz państwa Kajetanowstwa ją dopędził. Rodzina siedziała w powozie ściśnięta jak śledzie, choć Kasia zajęła miejsce z tyłu na tłumoku, humor podróżników był rozmaicie usposobiony: panny przepełnione radośnemi projektami nieciepliwiły się zbyt powolnym ruchem starych koni, pani Julia siedziała zadumana i mileżąca, a pan Kajetan był w najgorszym humorze i prze-myślał jakby się wycofać z nieogłędnych przyrzeczeń wymuszonych siłą przekłętogo obowiazku.

Żal mu było rodzinnych kątów, żałował teraz nawet pijaka karbowego, z którym największą miewał zgryzotę.

Wszystko co zostawił w Pińkówce teraz mu wypiękniało, serce dopominało się praw swoich, choć szedł dobrowolnie na wygnanie. W takich razach kobiety od nas są wytrzymalsze, zmiana miejsca i otoczenia mniej na nie oddziaływa zwykle, gdy mężczyźni upadają pod brzemieniem rozłąki. Pan Kajetan zrozpaczony i mileżący całą drogę tylko chwilą powrotu pocieszał się jedynie, boć przecie do końca życia nieby go w mieście zatrzymać nie mogło.

W smutnem bardzo usposobieniu wszedł do nowego mieszkania, choć panny wesoło szczebiotały, zachwycając się wszystkim.

— Patrz papo, co za śliczny widok z tego okna, pewno i w Szwajcaryi piękniejszego niema — szczebiotała jedna.

— Wygodnie nam tu będzie mieszkać — wołała druga. — Nudy Pińkowieckie nas tu nie znajdują.

— I do kościoła bliźutko — mówiła trzecia — niespodziewałam się aby miasteczko tak porządnie wyglądało, i sklepów miało tak wiele. A jakie śliczne mieszkanko! Będzie nam tu jak w raju.

Pan Kajetan milczał posepnie, i nic nie odpowiadał, bo dla niego wszystkie uroki posiadała tylko Pińkówka, i do niej się rwało serce nawykłe. Pierwszego obiadu zgotowanego na miejskim gruncie ani pokosztował nawet, co dla pani Julii przykrem było bardzo, gdyż ulubione potrawy mężowi wybrała. Panny upewniały matkę, że ojciec przeboleje prędkiej, gdy się go zostawi w spokoju.

Parę dni poszło na urządzenie mieszkania, a że pokazało się, iż zabranych remanentów niema gdzie złożyć, kilka więc podwód nierozpakowanych odesłano nazad do Pińkówki, wraz z dwiema sługami, które pozostać w mieście nie chciały. A no, my tu także długo popasać nie będziemy, pomyślał pan Kajetan, i pierwszy raz od przyjazdu wesoło zatarł ręce i z gustem wypalił fajkę.

Pani Julia choć także skłopotana nieco, nie okazywała smutnej twarzy, aby nie powiększać żalu mężowskiego. Panny tylko chichotały uszczęśliwione, że im się udało projekt doprowadzić do skutku; wiele bowiem przyjemności obiecywały sobie z pobytu w miasteczku, które w porównaniu z ciszą Pińkówki, przedstawiało się wielkoświatową areną.

Od znajomój mieszkanki Olinowa, tereyarki, dowiadywały się wszelkich tajemnic, których ta bogobojna, niby niewiasta, udzielała hojnie. W tym długim rejestrze miasteczkowych nowinek, trudno było odróżnić prawdę od fałszu, gdyż prawda była sfalszowana, a fałsz nieprawdziwy. Bigos ten tereyarski niezmiernie interesował panienki, bo był redagowany z wielką kompetencyą plotkarską. Wiedziały już panienki ilu jest w miasteczku urzędników niezonatych, kto w kim się kocha, jakie jest pożycie pana aptekarza z żoną, ile proboszcz ma lat i pieniędzy, jakie domy należą do arystokracji, kto z kim się kłóci, a kto emuluje z doktorem i t. p.

Opowiadaniom tym i pani Kajetanowa przysłuchiwała się ciekawie, pełna podziwu dla małomiasteczkowych mieszkańców, z którymi sąsiadować i znajomić się miała. Ze wszystkiego jednak, kwestya kawalerów najwięcej zajmowała matkę troskliwą. Przebiegła Różańska, snać się domyśliła macierzyńskich zamiarów pani Julii, bo wpadłszy na ton mentorski radziła jój poufnie:

— Co do zabierania znajomości, to niech kochana pani polega na moim wyborze, o, ja ich znam na wyłot wszystkich i wiem co który z nich myśli. Nie godzi się ogadywać bliźnich, ale są domy z którymi najlepiej być z daleka, bo to objedzą, opiją i oczernią w końcu. Najwłaściwiej bywać tam, gdzie są młodzi ludzie, bo to i weselój u nich, i... kto wie co komu sędzono.

— Ależ droga pani, wszyscy ludzie są równi, a ja chciałabym mieć towarzystwo z wykształconemi ludź-

mi, bo z prostytutkami nie umiałabym porozumieć się nawet—tłomaczyła się pani Julia.

— Bywają ludzie i wykształceni, a nie wiele warci; charakter i serce, to grunt najlepszy w każdej sprawie. Co do mnie, wielkich rozumów unikam zawsze, bo tacy najczęściej przymilają się obłudnie, a bokiem duszę ciągną. Znamy się na farbowanych lisach—upewniała pewna siebie Rużańska, gdy panny słuchały w milczeniu.

Na to pani Julia oświadczyła dyplomatycznie, że przybyła do miasteczka dla wypoczynku, jedynie, aby być bliżej doktora, którego potrzebowało nadwyrężone zdrowie jej męża, że będą korzystać z bliskości kościoła, który im wolne godziny dnia wypełni. A chociaż Karoleia, Melcia i Zosia słowa matki potwierdzały gorąco, pani Rużańska choć kiwała głową pobożnie i niby potakująco, była jednak pełną wątpliwości w tym względzie, choć słowem nie zaprzeczała wcale.

* * *

Dwa miesiące upłynęły już od dnia zamieszkania państwa Kajetanowstwa w Olinowie, i wszyscy już przywykli nieco do nowego otoczenia. Sam tylko pan Kajetan odczuwał czasami tęskne pragnienia powrotu do Pińkówki, i milczał wstydząc się do tego przyznawać. Zresztą nie było czasu na okazywanie złego humoru, gdyż codziennie zbierali się goście, którymi trzeba było się interesować w imię praw polskiej gościnności.

Jakim sposobem zawiązały się owe stosunki, Bogu chyba tylko wiadomo; na pozór unikano niby zbliżenia

z nieznanymi sąsiadami, ale zawsze jakoś nie nie znacząca okoliczność wytwarzała znajomość; pani Julia wyszła na miasto dla zakupu śpiżarnianych zapasów i ujrzała panią Kulsą wchodzącą do bławatnego sklepu. Była to osoba pięćdziesięcioletnia, dosyć zamożna, miała dwóch synów dorosłych, z których jeden był lekarzem, i córeczkę dwunastoletnią na pensyi. Dotąd panią Kulsą widywała tylko w kościele, a zasięgnąwszy wiadomości od Rużańskiej, gorąco pragnęła bliższej z nią znajomości. Na widok pani Kulskiej twarz pani Julii rozjaśniła się radością, pomyślała chwilkę i weszła do sklepiku. Przepatrywała rozmaite towary, nie mogąc sobie nie dobrać stosownego, zerkając ciągle na panią Kulsą, dobijającą targu o satinetkę; kupcowa zaklinała się, że już tych pięciu kopiejek nie odstąpi, gdyż to stanowi cały jój zarobek.

— Gdyby nie tak drogo, to i ja wzięłabym na suknię téj satiny—odezwiała się pani Julia, a zwracając się do nieznanym damy dodała: rozumie się, jeżeli pani wszystkiego potrzebować nie będzie.

Pani Kulska uśmiechnęła się uprzejmie i zapewniła panią Julię, że na dwie suknie wystarczy.

— Moja córka ma dopiero lat dwanaście i jest szczupłą.

— Panienczki w tym wieku zwykle są smukłe jak lilijki i najprzyjemniejsze, nie tylko dla rodziców przepelnionych miłością i nadzieją, ale nawet dla obcych najmiłszymi bywają zawsze. Nie chciałabym jój pozbawiać ślicznej sukienki, lecz jeżeli pani pozwala...

— Pani jest zbyt łaskawą—odezwiała się pani Kulska, i nie wiedząc jak zakończyć frazes, poczęła nos obcierać chustką.

— Przecież sama jestem matką, mam trzy córki, więc znam trwogi i nadzieje rodzicielskie — dodała sentencyonalnie pani Julia, zapomniawszy o satyniecie.

— Państwo, zdaje się, niedawno zamieszkali w naszym miasteczku?

— Tak jest pani, mój mąż zniechęcony nowymi warunkami wiejskiego bytu, oddał majątek w dzierżawę i osiedlił się w Olinowie; miasteczko małe, ale bardzo mi się podoba.

— Daj Boże aby się pani nie zawiodła w swym upodobaniu, tu otchłań plotek, to istna przepaść zgryzot, a ludzie tak źli, że każdemu zatrują egzystencję — objaśniała pani Kulska.

— Zwykła kolój rzeczy ludzkich — oponowała po-błażliwie pani Julia — złość wszędzie się wciśnie i naj-ciejsze czyny zamąci. Trzeba się uzbroić w cierpliwość i być wyrozumiałą na ułomności zdemoralizowanych istot, które dzięki Bogu wszędzie są wyjątkami.

— U nas ludzie dobrzy są wyjątkami — zawołała zaperzona nieco Kulska — tylko złość, oszezerstwo i obłuda kwitną na tutejszój niwie. Żal mi bardzo panią, gdyż niebawem przyjdzie rozezarowanie, gdy się państwo bliżej przypatrzą tutejszemu towarzystwu, które żyje z sobą jak pies z kotem.

— Smutnych dowiaduję się rzeczy — rzekła pani Kajetanowa wzdychając — mówiąc otwarcie, obiecywałam sobie wiele przyjemności z nowych stosunków. Trzeba pani wiedzieć, że my wszyscy bardzo lubimy towarzystwo; mnie szczególnie w samotności ogarnia melancholia.

Ostatnie słowa wyszeptła pani Julia z jakąś gorzkością i zakończyła tragicznym westchnieniem. Naj-

mniej wprawne oko poznałoby odrazu, że obie panie odgadły się wzajemnie, i tylko dla przyzwoitości, pani Kulska aby się nie okazać złośliwą jąła się pocieszać towarzyszkę, że i w Olinowie są poczciwi ludzie i dała w końcu:

— Radzę pani tylko być ostrożną w wyborze nowych znajomości, aby omyłki ciężko nie żałować. Nieproszona, może zbyt śmiało ostrzegam panią, lecz chcę uchronić ją od błędów łatwowierności, jakich nie uniknęłam sama, a czego potem gorzko żałowałam.

Pani Kajetanowa o mało nie popełniła wielkiej niezręczności, bo chciała się rzucić w objęcia improwizowanej opiekunki, lecz w porę się spostrzegła, że rozmawia z nieznajomą, więc ułożywszy twarz jaknajuprzejmiej rzekła:

— Jeśli pani pozwoli, złożę moje podziękowanie w odpowiedniejszym miejscu, niż to, gdzie się znajdujemy teraz; pragnę bowiem korzystać z jej rad życiowych.

— Bardzo mi będzie przyjemnie—odparła pani Kulska, dając tem poznać, że zrozumiała całą przezroczyłość aluzji, i uśmiechnęła się zadowolniona, protekcyjnalnie.

Pani Julia zdawała się być zajęta rozpatrywaniem satinety, i rozmowa nagle jakoś rozpoczęta, raptem się urwała, manewra bowiem zawieszono, ku zadowoleniu stron obu.

Skończyło się na tém, że obie panie z paczkami w ręku wyszły ze sklepu i obie wyraźnie z siebie kontente pożegnały się uprzejmie.

Taki był wstęp do pierwszej wizyty w domu najarystokratyczniejszym w miasteczku, a wiadomo, że

pierwszy krok najtrudniejszy, reszta już szła jak po mydle.

Pan Kajetan znudzony szukał także rozrywki, gnany tęsknotą wioskową, zmianą trybu życia i bezczynnością, rozmiłował się jeszcze więcej w czytaniu gazet, z braku polowania, którego nie używał. Czytanie dzienników zastępowało mu dawną rozmowę z Gawrońskim, o której już tylko mógł marzyć, ciągnąc dym ze stambułki.

Olinów szczycił się cukiernią, którą jakiś dymisyonowany urzędnik prowadził ku zadowoleniu mieszkańców miasteczka, można tam było dostać ciastek od siedmiu boleści, cukierków uniemożliwiających digestę, wino wytwarzające katar i piwo sprowadzające pragnienie Tantala.

Pomimo to wszystko, cukiernik w braku konkurencji, szczycił się względami niewybrednej publiczności Olinowskiej, i zyski zbierał obfite. Cukiernia była punktem zbiorowym miasteczkowych obywateli, a jej właściciel osiłą i motorem wszystkich interesów. Każdego mieszkańca sytuację znał jak własnych pięć palców, a to mu ułatwiało zadanie znakomicie, i nieraz nawet materyalne przynosiło korzyści.

Rozpatrując się na nowem terytoryum, pan Kajetan został pociągnięty do jedyne go rozweselającego przybytku do cukierni Ruty.

Była to godzina tylko co rozpoczęta poobiedniej kawy, przeciągająca się zwykle do północy. Parę małych izdebek wypełniały gęste kłęby dymu, oraz winnych i alkoholycznych wyziewów; kilkanaście osób z papierosami w ustach, leżąc na sofach, chodząc, siedząc lub stojąc, rozprawiało hałaśliwie, gdy dwóch

poważnych jegomościów zatopionych w kombinacjach gry szachowej, wyglądało jak dwie figury woskowe, ruszając się automatycznie. Pan Ruta poufale przechadzał się pomiędzy swoimi gośćmi, wtrącając tu i owdzie jakąś tłustą facecyę, lub nowinkę zfabrykowaną naprędce. Słowa właściciela cukierni najczęściej wywoływały śmiech homeryczny, widać że pan Ruta umiał trafiać do gustu swych codziennych gości, bo i teraz, gdy pan Kajetan po raz pierwszy przestąpił progi gościnnego Ruty, śmiech huczał w izdebkach jak burza w oddali, a przycichł odrazu na widok nowój a nieznajomój twarzy pana Kajetana; nawet obie woskowe figury od szachów, podniosły głowy i ukazały swe wygolone oblicza. Sam pan Kajetan, który nigdy nie wywarł tak piorunującego wrażenia, stał jak wryty, nie wiedząc do kogo ma się zwrócić z żądaniem.

— Co to za figura?—pytał jeden drugiego po cichu, przytrzymując za poły wszystkowiedzącego gospodarza, który nie bez szwanku w swój garderobie, ledwie wyrwać się zdołał, śpiesząc do nowoprzybyłego.

— Czem pan dobrodziej służyć sobie rozkaże? — zapytał uprzejmie cukiernik stając przed panem Kajetanem.

— Proszę o filiżankę czarnej kawy.

— Natychmiast będzie podana, nie chwaląc się, kawę mam wyborną, to specyalność mojej cukierni; można kieliszeczek maraskino dodać także i cygarko hawańskie prawdziwe, jeśli pan rozkaże.

— Dobrze, niech będzie likier i cygaro, jakie pan masz gazety? — zagabnął pan Kajetan zakłopotany nieco że cała uwaga zgromadzonych osób zwróconą nań była.

— Mam Gazetę Warszawską.

— Więc proszę o nią—i obejrzał się pan Kajetan chcąc sobie miejsca wyszukać.

— Tu jest miejsce—odezwał się basem chrapliwym jakiś jegomość otyły, posuwając się na sofie — przy stoliku będzie wygodniej panu dobrodziejowi.

— Uprzejmie dziękuję—odparł grzecznie pan Kajetan, i usiadłszy na wskazanem miejscu począł nakładać tytuniem stambulkę.

— Pan dobrodziej zapewne przejazdem w naszym Olinowie?—zapytał znowu tłusciuch swym basem.

— Jestem właścicielem Pińkówki, którą oddałem na trzyletnią dzierżawę, gdyż sprzykrzyła mi się gospodarka; postanowiłem tedy zmienić tryb życia i osiadłem tu w miasteczku.

— To zapewne pan dobrodziej najął dom u Mordki Ślusarza?

— Tak jest łaskawy panie, wybrałem ten domek dla ogrodu jedynie, który mi wieś przypomina—objasniał niezręcznie pan Kajetan, zdradzając zamiłowanie do wsi.

— Jesteśmy tedy sąsiadamy, bo mój dom niedaleko od domku Ślusarza; bardzo mi przyjemnie pana dobrodzieja poznać, jestem Atanazy Z.—dodał tłusciuch, wyciągając pulchną jak gdyby watowaną prawicę.

— I mnie również jest przyjemnie poznać pana dobrodzieja — i przy tych słowach pan Kajetan uściśnął serdecznie pulchną dłoń pana Atanazego.

— Panowie, kiedy los nas zbliżył — zawołał pan Atanazy stentorowym głosem — pozwólcie że was zapoznam także z szanownym naszym sąsiadem — i po kolei wymieniał wszystkie nazwiska zgromadzonych

osób, z którymi pan Kajetan kolejno witał się uprzejmie.

Cała manipulacja pana Atanazego odbyła się bardzo szybko i łatwo, pan Kajetan zaś był niezmiernie zadowolony, gdyż towarzystwo widocznie mu okazywało atencję. Dziedzie Pińkówki zasługiwał w oczach tych panów na wyróżnienie pełne szacunku. Jeden tylko młodzik jakiś wysunął się z pokoju, demonstracyjnie unikając prezentacyi. Był to syn aptekarza, i także farmaceuta, wielce postępowych wyobrażeń młodzieniec. Jak ogół patrzył na tę demonstrację nie wiadomo, dla pana Kajetana zaś przeszło to niepostrzeżenie.

Wkrótce pan Ruta pojawił się z kawą i akcesoryami dodatkowymi do niej i zadziwił się mocno, że nowo przybyły szlachcic, którego on nawet nie znał, ze wszystkimi rozmawiał swobodnie. Ruta postawił tacę i z pod pachy wyjął spory plik Gazety Warszawskiej, słuchając ciekawie rozmowy, aby się choć cośkolwiek dowiedzieć.

— Spodziewam się, że szanowni panowie uczynicie mi tę łaskę i pozwolicie służyć sobie kawką—odezwał się pan Kajetan zwracając się do obecnych.

— A i owszem, łaskawy panie—odezwał się pan Atanazy—w kompanii wszystko lepiej smakuje.

— To zbyteczne—zaoponował ktoś z kąta pokoju.

— Mnie pilno wracać do domu—odezwał się drugi.

— Na co ta subiekcya—przemówił trzeci, nie mając nic lepszego do powiedzenia, przy uznanj konieczności do lekkiej opozycji.

— Eh, co tam długo się namyślać, kiedy piwo na kadzi to się napić nie wadzi—huknął pan Atanazy

wesoło.—Szanowny panie Kajetanie, tylko chorych pytają—zakonkludował i począł się śmiać trzęsąc brzuchem głębokim.

— Proszę nam dać kawy, aby dla wszystkich starczyło, butelkę maraskino i cygar także — dysponował cukiernikowi pan Kajetan—tylko proszę się śpieszyć, bo ja z moją filiżanką czekać będę.

— Pozwoli pan, to ją zabiorę, aby nie wystygła — zaproponował usłużny Ruta.

— Po diabła rogatego te ceregiele, my pić będziemy gdy nam przyniosą, a pan swojej kawki nie zaniedbuj, gdzie dużo ceremonii tam mało szczerości — prawil pan Atanazy, lecz pomimo to pan Kajetan się tłumaczył się że chce przepatrzyć gazetę, kawę więc zabrano, i rozpoczęły się przygotowania do czytania.

— Trudno będzie wyszukać ostatniego numeru — myślał pan Kajetan, przecierając starannie okulary, musi tu być całe półrocze — i osiadławszy nos szklami począł rozkładać arkusze. Przepatrywał czas jakiś ową Gazetę Warszawską i chmurzył się coraz więcej. — Co u licha?... — mruczał pod nosem. — A do stu par dyabłów! — zawołał zniecierpliwiony i cisnął całą plikę bibuły na stół.

Wszyscy obecni popatrzyli na siebie znacząco, a pan Atanazy pierwszy uczuł potrzebę wyjaśnienia kwestyi, i zapytał:

— Szanowny panie Kajetanie, zapewne jakąś wiadomość nieprzyjemną wyczytałeś?

— A to mnie urządził! — wołał zaperzony pan Kajetan. — Drwi sobie z ludzi niegodziwiec jakiś...

— Ale o cóż idzie? — dopytywał się pan Atanazy, a wszyscy nastavili uszy ciekawie.

— Patrzcie panowie, toż on mi dał przeszłoroczną gazetę, i pewno myśli że ją czytać będę—zawołał dziedzic Pińkówki zirytowany.

Wszyscy wybuchnęli homerycznym śmiechem, a pan Atanazy uczuł się w obowiązku pocieszyciela.

— Tę samą gazetę codziennie Ruta i mnie podawał, ale ja nie patrzyłem na daty i zwykle zasypiałem po dziesięciominutowej lekturze; nie mogłem więc mieć pretensyi do Ruty w obec pożądanego skutku ułatwiającego drzemkę. Zresztą, wierz mi szanowny panie Kajetanie, że gazety można czytać jak kalendarz stoletni, zawsze w nich treść jednakowa.

— Dziękuję uniżenie — prawil sapiąc z ogniem pan Kajetan — toż to są wyraźne drwiny z ludzi. Noga moja więcj tu nie postanie.

— Posłuchaj no pan, my go nauczymy jak ma traktować ludzi dystyngowanych — wygrażał pan Atanazy.

— Trzeba Rucie dobrze natrzeć uszu, bo nam wczorajszą herbatę podawać zacznie — odezwał się ktoś z boku.

Gdy tak wszyscy objawiali nieukontentowanie, Ruta nie wiedząc o niczem, krzątał się w kuchni, by jaknajprędzej z kawą pośpieszyć, wysłał więc córkę, aby stół zaslala obrusem i potrzebne ustawiła naczynia.

Weszła Anusia i poczęła ściereczką zachlapane obcierać stoliki. Na widok ładnej dziewczyny gniew przed chwilą groźny dla właściciela cukierni, znikł jak śnieg wiosenny pod promieniami słońca. Ten i ów zbliżył się do ładnej panienki, która w oczach niebieskich miała także promienie słoneczne. Anusia była uosobieniem tego frazesu, co ktoś powiedział że młode polki podobne są do ponczu na święconej wodzie. Słuszną, kształtną i zgrabną Anusia miała prześliczny

warkocz blond włosów, a w siedemnastoletniej twarzy takie jakąś niemożliwą do opisania figlarność, że można było przypuszczać, że do tej święconej wody rumu nie szczędzono wcale. Pojawienie się Anusi odrazu uśmierzyło magiczną siłą, groźną burzę o której nie wiedziała wcale. Sam nawet pan Kajetan rozmarszczył chmurne czoło i przypatrywał się zdumiony dziewczynie uroczej.

Mężczyźni otoczyli panienkę zarumienioną nieco natarczywymi pytaniami, do których musiała być nawykłą, choć nie pożądała ich wcale.

— Dobry dzień, bo jeszcześmy dziś panny nie widzieli—wołał jeden.

— Coś się pannie Annie dzisiaj śniło ślicznego, że tak ładnie wygląda—prawił drugi.

— Panna Anna inaczej wyglądać nie umie — odezwał się ktoś trzeci.

— Gniewa się na nas, bo na nikogo nie spojrzy.

— Chciałbyś zapewne być stolikiem, aby na ciebie patrzano, wszak prawda Stanisławie?

— Nie myśl wszakże abym chciał być stołową nogą, gdyż radbym być politurą, by odbijać śliczną twarzyczkę panienki—odparł ten co go zwano Stanisławem.

— Dzisiaj niegrzeczni jesteście panowie—odpowiedziała Anusia i frunęła z pokoju.

Dowcipy i śmiechy posypały się gęsto i wszyscy już zapomnieli o nieszczęsnej gazecie, gdy Ruta obciążony wielką tacą z przyborami do kawy, wszedł do pokoju.

--- Kawka przewyborna, sam sułtan marokański piłby ją z apetytem, spodziewam się, że panom rów-

nież smakować będzie — rzekł Ruta stawiając imbryk przed panem Kajetanem.

— Możebyś pan i tę gazetę zeszloroczną odesłał sultanowi marokańskiemu na jaki użytek — odezwał się chmurnie pan Kajetan — i cheiěj zapamiętać, że ja drwin żadnych nie lubię.

— Daruje pan dobrodziej — molestował Ruta — wszyscy tu do drzemki czytają tę gazetę z zadowoleniem, sądziłem więc że usłuży i panu dobrodziejowi również... Sen na datę nie patrzy... przepraszam stokrotnie...

— Czy myślisz panie Ruta, że i przy świeżym numerze Gazety Warszawskiej usnąć nie można? — zapytał pan Atanazy — to spróbuj.

— Ale ja proszę pana muszę czuwać, być na rozkazy moich gości, mnie pieścić się z gazetą nie wypada, to rozrywka pańska.

— Dopóki pan nie zaprenumerujesz nowój gazety, noga moja tu nie postanie; masz i wóz i przewóz, wybieraj — mówił pan Kajetan nalewając w kieliszki likier i podając je wszystkim po kolei.

— I ja także nie przyjdę tu więcěj, skorom się dowiedział o podobnej zdradzie zaufania, dorzucił pan Atanazy popijając kawę. Tylko nowa gazeta gniew mój przebłaga, ja idę z postępem, stare rzeczy mi nie wystarczają.

— Tak, tak, wszyscy żądamy tegorocznych numerów — zawołali mężczyźni chorem.

— Namysł się pan i wybieraj, u nas nie powinny być inne obyczaje niż na całym świecie, i albo sprowadzaj świeżą gazetę, albo zwijaj handel — zakonkludował pan Atanazy wychylając kieliszek.

— Ależ ja ani na chwilę się nie waham, skoro

panowie sobie życzą i gazetę zaprenumeruję. Anusiu! Anusiu! pisz natychmiast do redakcyi i wysyłaj pieniądze na pocztę, natychmiast pisz—rozkazywał córce Ruta, stojąc na progu, aby obecni widzieli jak jest posłusznym swym gościom.

— Dawno trzeba było tak postąpić i nas nietraktować jak dudków—gderał udobruchany już nieco pan Kajetan.

— Jestem niewinny jak nowonarodzone dziecko, dotąd wszystkim wystarczało téj bibuły, pomimo że nawet téj ubywało ciągle... nikt przecie nie protestował—tłomaczył się Ruta. — Sprawy i wypadki minione, jako mniej groźne od faktów bieżącej chwili, lepiej się nadają do poobiedniej zadumy, nie irytują myśli.

— Nadadzą się i nowe, bądź spokojny o to—wtrącił pan Atanazy, a zresztą gdyby się znalazł ktoś wybredny, to możesz pan i te zachować dla amatorów, pozwalam.

— Od kiedy mnie nogi noszą, pierwszy raz widzę coś podobnego—mówił uspokojony pan Kajetan, nakładając tytuniem stambulkę.

— Raczie panowie mi przebaczyć pomimowolną omyłkę, list dzisiaj będzie wysłany, upewniał Ruta, podając zapalonego fidibusa panu Kajetanowi, poczem oddalił się, aby dłużej nie słuchać wymówek.

Kawę wypito i butelkę wypróżniono także, podano drugą, a po niej trzecią i czwartą, więc całe towarzystwo w wybornem było humorze, gdy ściemniać się zaczęło. Pan Kajetan chciał wracać do domu, ale nie było sposobu wyrwać się od serdecznej kompanii. Ledwie o dziesiątej podchmielony nieco pan Kajetan

pożegnał nowych swoich znajomych, którzy już serdecznymi przyjaciółmi się tytułowali.

Pani Julia nieprzyzwyczajona do tak długiej nieobecności męża i zaniepokojona tem mocno, nie umiała sobie wytłumaczyć takiego opóźnienia, i już chciała posyłać służącą na zwiady, gdy wszedł pan Kajetan niepewnym krokiem. Teraz dopiero pani Julia poznała co się dzieje, mąż jej był pijany, i skarcić go za to postanowiła surowo, aby się taki skandal nie powtarzał więcej. Wystąpiła więc energicznie co się zowie-

— Jezus Marya! wrzasnęła rozłoszczona małżonka, co to jest? przychodzisz o północy do domu i pijany jak szewc!... Zgroza!

— No, nic, zabawiłem się z nowymi znajomymi w cukierni i...

— Śliczne masz znajomości! Obywatel poważny, brata się z jakąś małomiasteczkową szują...

— Pilnuj jejmość swego nosa, a od moich znajomych wara—burknął pan Kajetan gniewnie, hamując się jednak.

Pani osłupiała, będąc przyzwyczajoną do uległości mężowskiej; nie mogąc wydobyć głosu oburzenia, wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

— Cicho tam, u stu dyabłów, bo pójdę znów do cukierni, gdzie mi nad głowę nikt lamentować nie będzie. Nie podobali się pani moi znajomi, proszę masz mnie za smarkacza i rozciągasz kuratełę, ale ja ci mówię wyraźnie: znaj mores! wrzeszczał chodząc po pokoju, zataczając się pan Kajetan.

— Jeśli mnie brutalnie znieważasz — mówiła chłypiąc pani Kajetanowa—miej wzgląd choć na córki.

— I owszem, niech się patrzą i niech to będzie

dla nich nauką aby znały mores, którego matka ich nie nauczy, bo sama go nie zna... Ho! ja was wszystkich wezmę w kluby i zmuszę do szacunku, gderał już spokojniéj nieco pan Kajetan, mitygując, lub podnosząc głos obyczajem opianionego umysłu. — Nie podobali się pani moi znajomi, mniejsza o to, ale nazywać ich szuja, wara mościa pani; ja z szują się nie zaprzyjaźniam nigdy, rozumiesz! To ludzie porządni!... Ruta porządny człowiek, śliczną ma córkę i gazetę wypisał, ja i Rutę potrafię wyfrycować i nauczę porządku... i ciebie także nauczę, bo nie jestem pantoflarzem.

Pani Julia widząc że mąż ani myśli przerwać gorzącego monologu, skinęła na przestraszone córki i nieznacznie po jednéj, wszystkie kobiety wymknęły się z pokoju.

Pan Kajetan jeszcze czas jakiś plątał się po pokoju, klnąc co się wlało, aż nareszcie strudzony padł na kanapkę jak kłoda i zasnął snem gorączkowym.

Wystraszone panienki i nie mniej strwożona wypadkiem pani Julia, która nigdy męża w takim stanie nie widziała, w głębokiem pogrążyła się zmartwieniu. Postanowiła dowiedzieć się przyczyn, które doprowadziły męża do tak ohydneho skandalu. W zapaleczywości nie mogła się długo namyślać, raniutko więc, powiedziawszy córkom że idzie na miasto za sprawunkami, poszła prosto do cukierni.

Ruta spał jeszcze, gdyż wczoraj późniéj niż zwykle spać poszedł, zastała więc tylko samą jedną Anulkę porządkującą w pokoikach zabrudzonych szkaradnie. Niezwykła piękność Anulki wprowadziła ją w podziw połączony z jakąś niewytłomaczoną przykrością,

a której sobie odrazu wyjaśnić nie mogła; stała na środku pokoju nie wiedząc sama jak przystąpić do indagacyi, śmiesznej w całym znaczeniu tego wyrazu. Trwało to krótką chwilę, bo Anulka pierwsza zapytała spokojnie:

— Co pani sobie życzy?

— Daj mi śliczna panienko ciastek za dwa złote, wybełkotała pani Kajetanowa, kładąc jakiś dziwny nacisk na słowa: śliczna.

Anulka wzięła talerzyk i poczęła układać na nim ciasteczka.

— A jakie ciastka pani woli, słodkie, czy...

— Jakichkolwiek wybrać proszę. Ale tu u was późno wstają, gdy dopiero zamykanie pokoi się zaczyna? zapytała pani Kajetanowa.

— Zwyczajnie, jak w cukierni, goście przesiadują długo, więc ojciec późno zasypia i rano wstawać nie może. Pracy wiele a zarobku odrobina, aby żyć — dodała z westchnieniem Anulka.

— A jakżeż panna możesz wydolać wstając rano do roboty?—zapytała kwaśno pani Kajetanowa.

— Ja proszę pani idę spać wcześnie, a że mniej pracuję od ojca, mniej też powinnam odpoczywać, aby nie być ciężarem w domu.

— Bardzo to jest ładnie gdy córka chce pomagać ojcu. Ale powiedz mi panienko, kogo wczoraj wieczorem mieliści tu z gości?—pytała pani Kajetanowa, nie wychodząc z roli inkwidenta.

Czy to ostatnie pytanie wydało się Anulce dziwnem, czy może odgadywała jakiś cel ukryty, bo nim odpowiedziała, podniosła piękne swe oczy i utkwivszy je badawczo w ciekawą panią, odrzekła:

— Wczoraj było tu kilkunastu panów odwiedzających codziennie naszą cukiernię; sami dawni znajomi mojego ojca. To mówiąc podała owiazaną paczkę z ciastkami i ukloniła się z lekka. Nie było już co robić więcej, pani Julia zapłaciwszy należność, pożegnała Anulkę skinieniem głowy i wyszła z cukierni w najgorszym humorze.

Szła do domu, a tysiąc najniedorzeczniejszych domysłów snuło się po głowie. Uwaga pani Julii stanęła na najdrażliwszym punkcie: że ponieważ panna sklepową nie wspomniała o nieznajomym, więc wyraźnie że chciała utaić bytność jej męża. Tajemnica zaś zwykle ukrywa rzeczy występne, więc mąż musiał się zalecać do ładnej panienki, która go zachęcała do wychylania kielichów i fundowania butelek nowym, bez czei i ambicyi przyjaciółom, czychającym zwyczajnie po cukierniach na gratisowe poczęstunki. Panna zaś jest niemoralną, a na nieszczęście ludzkie jedną z tych powabnych kokietek, którym się zwykle brudne przygody udają... Na tym punkcie myśl pani Kajetanowej uwięzła, a kolce zazdrości wpiły się w serce.

Co z tego wyniknie?—pomyślała rozgniewana kobieta, i tak straszne obrazy stanęły w jej wyobraźni, że uczuła się zgubioną, bez ratunku. Usiłowała pocieszyć siebie tem, że mąż stary już i nigdy płochym nie bywał, że jako ojciec kochający córki, nie wywoła skandalu; ale od czegoż są na świecie złe a ładne i zalotne kobiety? One najenotliwszego zdemoralizują człowieka, a wiadomo przecie, że każdy mężczyzna do przeniewierstwa ma pociąg wrodzony.

Na tle podobnych obwiniań starego męża, pani Julia snuła najdziwsze domysły, pod dyktą zazdrości

i gniewu. Żałowała nawet, że zdecydowała się opuścić Pińkówkę, gdzie takiej Syreny nie było, więc spokój Boży w domu panował.

Pani Julia przygnębiona moralnie, powróciła do mieszkania i zastała męża najspokojniej palącego fajkę; lecz i to było podejrzanem udaniem, aby jej czujność omylić, postanowiła baczność podwoić.

Pan Kajetan po wczorajszej breweryi wyglądał pozornie dobrze i potulnie jak zwykle, co zdawało się wcale niezadawalniać chmurnej jak noc jesienna małżonki.

— Dobry dzień ci Julciu—wyszeptał mąż pokornie.

— Trudno ażeby dzień był dobry po takiej nocy jak wczorajsza—wycedziła przez zęby zadasana małżonka.

— Niesłusznie się gniewasz Julciu kochana o taką drobnostkę, każdemu mężczyźnie może się zdarzyć, że wypije czasem...

— Co! śmiesz mi jeszcze dowodzić, że wszyscy mężczyźni upijać się powinni?... — wybuchnęła nad wszelki wyraz oburzona magnifika. — Lepiejbyś się modlił stary lamparcie, aby ci Bóg grzechy młodości odpuszcił. Ojciec trzech dorosłych córek, wyprawiający całonocne biesiady przy jakiejś tam małpie małomiasteczkowej! Fe! fe! to wstyd.

— Przesadzasz moja Julciu, z muchy robisz wołu, oponował potulnie pan Kajetan, wysądziłaś jaką małpę.

— Ludzie nas wyśmieją, a ciebie będą wytykać palcami—przerwała mu małżonka gwałtownie. Tak, tak, małpa jest ona i małpiarzy tylko do siebie zwabia. Śliczny mi obywatel latający za pierwszą spotkaną lafiryndą.

— Nie wiem o jakiej lafiryndzie i małpie mówisz, oszalałaś chyba kobieto, czy co—broniał się napastowany pan Kajetan, puszczając gęste kłęby dymu.

— Udajesz niewinnego baranka : niby nie nie wiesz; widziałam ją, widziałam, wcale nieszpetna postwora, tylko tobie już nie pora mizdrzyć się do niej stary szpaku, rozumiesz? Trzeba ją było szukać za czasów kawalerskich, wiarołomco szkaradny — wołała pani Julia nie dając przyjść do słowa napastowanemu mężowi.

— Dałbym konia z rzędem temu, ktoby mi wytłumaczył o co ci chodzi—odrzekł zdumiony pan Kajetan.

— A ta, ta, cukierniczka!... — zawołała pani Julia i zatrzymała potok wymowy, śledząc wrażenie jakie sprawiła.

— O cukierniczkę ci idzie, no to już wiem, schowałaś ją do dużego kufra, razem ze srebrnym czajnikiem — odpowiedział zadowolniony pan Kajetan spokojnie.

— Żarciki ci w głowie... Drwisz, gdy we mnie krew ścina się z oburzenia i zgrozy; ja mówię o tej jejmościance co ci głowę zawróciła wczoraj, o cukierniczce, córce, czy tam żonie cukiernika, ty wiesz lepiej odemnie kto ona taka, boś całą noc wczoraj do niej się przepatrywał.

Przy tych słowach łzy gniewu polały się z oczów pani Julii.

— Chybaś się dzisiaj upiła, że pleciesz takie niedorzeczności, od słuchania podobnych bredni sam wiek powinienby mnie uwolnić—odparł pan Kajetan ciskając fajkę do kąta, co było zapewne dowodem najwyższego rozdrażnienia.

— Znamy się na waszych wykretach, mężczyzna umie być potworem do grobowej deski; wszak na tobie mam dowód oczywisty, na wsi udawałeś poczciwego, a tu... tu stałeś się lampartem i noce przy kieliszku spędzasz. Nieszczęśliwe my kobiety! Biedne żony przechodzą piekło na ziemi z łaski mężów... Ciężko odpowiecie za nasze krzywdy przed Bogiem—mówiła pani Julia słowami przerywanemi łkaniem. Pan Kajetan już nie odpowiadał więcej, tylko wyszedł z pokoju i drzwiami trzasnął.

Gniew pani Julii zaczął słabnąć po wyjściu męża, bo niebawem otarła załzawione oczy i uspokoiła się znacznie. Jeszcze nie ochłonęła po burzy małżeńskiej, gdy w przedpokoju odezwał się dzwonek.

Przybrała więc pozór spokojny i poszła drzwi otworzyć. Wszedł mężczyzna znacznej korpulencji, lat sześćdziesięciu.

— Czy zastałem pana Kajetana w domu—zapytał basem uprzejmie.

— Mąż mój natychmiast służyć panu dobrodziejowi będzie, proszę do salonu—rzekła pani Julia, ukazując drzwi bawialni.

— Przepraszam panią dobrodziejkę, nie wiedziałem do kogo mam honor mówić. Jestem Atanazy Z. najbliższy sąsiad państwa, bo mieszkam tuż obok—objął kłaniając się nowoprzybyły gość obdarzony słodkim uśmiechem gospodyni domu.

Pani Kajetanowa usiadła na kanapie, pan Atanazy wypełnił wnętrze fotelu.

— Mieszkamy w Olinowie od niedawna i nie miałam jeszcze czasu zapoznać się z towarzystwem tutaj—ciągnęła pani Julia omijając temat pogody.

— A ja znam tu wszystkich na wylot—odparł pan Atanazy—ledwie parę domów mamy porządniejszych, reszta szary koniec, to jest głowa i ogon, brzuszka towarzyskiego ani śladu, et licha mięscina i kwita. Dawniej mieszkałem w Żytomierzu, tam są ludzie dobrego towarzystwa, a bez niego żyć nie umiem.

Pani Julia skrzywiła się nieco, gdyż wzmianka o brzuszku towarzyskim wydała się ję trywialną. Stłumiła jednak nieukontentowanie i spytała:

— Pan dobrodziej familijny zapewne?

— Dzięki Bogu jestem już wdowcem—odparł pan Atanazy poprawiając czuprynę.—Państwo zaś podobno liczną macie rodzinę? zapytał po chwili.

— Mamy tylko trzy córki, odpowiedziała pani Julia.

— Aż trzy córki! To bardzo musi być przyjemnie doczekać się trzech córek, słowo daję, ja bardzo lubię panienki młode i zazdroszczę ich państwu...

Pani Julia przygryzła usta do krwi w obec takiego lekceważenia płci pięknej, a pan Atanazy ciągnął dalej:

— Tylko że to teraz z wydaniem za mąż kłopot dla rodziców nie mały, choć się i przyplącze posagowicz jakiś...

— Dzieci dla rodziców nigdy nie są ciężarem—oponowała gospodyni domu—proszę wierzyć, że każda matka serdecznie oplakuje rozstanie z córką, ulega jedynie konieczności.

— To się tłumaczy długiem nawykniem pani dobrodziejko, ale pomimo tęsknoty, ileż to używa się fortelów, aby wykleić małżeństwo. Trudno teraz, bardzo trudno i opornie idą matrymonialne interesa, bo mężczyźni czyhają tylko na posagi, gdyż nie w teraż-

niejszych pannach nie nęci, odkąd rozchorowały się na praktyczno-samodzielną chorobę.

Pani Julia przy téj rozmowie siedziała jak na rozrarzonych węglach, a gość prawil dalej:

— Mówiąc szczerze, a ważąc sumiennie, młode pokolenie kobiet djabli wiedzą do czego jest podobne. Mądra każda niby jak profesor, praktyczna niby jak żyd, dzielna niby jak dragon, słów w gębie ma moc nieprzebraną, a w rzeczywistości cóż ona jest? Nie ni mięso, ni ryba, et jakieś pudło gadające androny, zwane postępowymi ideami. Dziękuję uniżenie; gdybym był kawalerem uciekałbym jeszcze dalej od tych samodzielności ostrzyżonych, odymionych, przemądrzałych, zkozaczałych, praktycznych, a że nie komicznych, to tylko dla tego, że człowiekowi z sercem na płacz się zbiera, patrząc na te dziwolągi co zatraciły nawet poczucie kobiecego powołania i wyszły... et, lepię zamilczę, do czego stały się podobne.

Potrzeba użycia chustki stworzyła maleńką pauzę w potoku słów pana Atanazego, z czego korzystając pani Kajetanowa rzekła:

— Z tego co słyszałam wnoszę, że pan dobrodziej jest nieublaganym wrogiem kobiet; złe wyjątki były, są i będą na świecie, ale nie godzi się potępiać ogółu, czyli całą połowę rodzaju ludzkiego za to, że chce być użyteczną i domaga się pracy i wiedzy szerszej.

— Jak widzę to i pani dobrodziejka dosiada czasem ulubionego konika, na którym zwykle jeżdżą nowomodne bohaterskie apostołki emancypowanego zakonu?

— Duch czasu zmienił pojęcia i potrzeby świata i zreformował kobietę — przerwała pani Kajetanowa,

chciała jeszcze coś mówić, ale pan Atanazy nie dał jój dokończyć frazesu i prawil dalej:

— Rozum i logika tworzą duch czasu, a jak się w głowach poprzewraca, to i duch czasu staje się obłędem; dziś mamy go przed oczami, a skutek pokutny czeka w pogotowiu. Praw natury nie wolno gwałcić bezkarnie, samodzielność, czy samowolność raczej, wylezie wszystkim bokiem prędzej czy później, to nieuniknione jak śmierć.

— Pańskie przekonania są fałszywe i przesadne zarazem, kobieta przecie jest człowiekiem i winna również jak mężczyzna pożywać chleb swój w pocie uznojonego czoła; dotąd błędnie wychowana i kształcona, była ciężarem w rodzinie, gdy właściwój, aby się stała pomocnicą w pracy życiowej.

— Jakto? oburzył się pan Atanazy, pani dobrodziejka pamiętając lepsze czasy, musiała znać przecie setki zacnych i rozumnych kobiet, które w każdej potrzebie czy nieszczęściu umiały dźwigać brzemię życia i klęsk, któremi je dotknęła wola Boża. Ja je widywałem dawniej i cześć dla nich przechowuję głęboką, ale te wzory w nieczem nie były podobne do dzisiejszych apostołek ostatniego zakonu. To były pracownice rzeczywiste, ciche ofiarnice domowego ogniska, zacne matki, uległe żony, dobre córki i siostry, kapłanki cnót chrześciańskich, wzory pobożności, heroiny w poświęceniu, słowem kobiety z sercem, ideały przed któremi druga połowa rodzaju ludzkiego zginała kolana, a dziś, z małemi wyjątkami, przekształciły się one i wynaturzyły ze szczerem, tak dalece, że z dawnych cnót nie zostało ani śladu. Wytworzył się więc jakiś stan trzeci, amfibii, nieokreślonej natury

idący manowcami do mglistych celów, a odstrasżający mężczyzn od siebie. Podstawą ich mądrości jest czecha paplanina, plewa faktów na którą tylko młode gile łowić się dadzą. Smutna bardzo przyszłość nas czeka, i jeśli nie my, to nasze dzieci gorzko opłakiwać będą. Ja pani dobrodziejko miałem żonę z tej modnej edycyi kobiet i przekonałem się co one są warte, choć zapóźno...

Pan Atanazy wyrzuciwszy jednym tchem tę długą tiradę, westchnął jak lokomotywa, a pani Julia odezwała się w te słowa:

— Wszystko zależy łaskawy panie od punktu jaki zajmuje obserwator, w każdym razie bezstronność sądu jest rzeczą arcy trudną, co każdemu jest wiadomo. Tu idzie głównie o warunki egzystencji niezamężnych kobiet, rozpoczęły więc walkę o byt, pragnąc sobie zdobyć niezależne stanowisko w świecie, a czego nikt ganić niema prawa, jak również żądy rozszerzania wiedzy, której młode kobiety pragną.

— Przysiągłbym, zawołał pan Atanazy, że to słowa ulubione córek pani dobrodziejki, lecz szczytem wiedzy naszej jest świadomość, co mianowicie wiedzieć komu należy. Nasze matki posiadały tę logiczną tajemnicę, więc dobrzeby było je naśladować, trzymając się prawd wypróbowanych przez długie lata. Nawet co do materialnych warunków życia, to te zacne niewiasty umiały sobie dawać radę w najkrytyczniejszych nawet chwilach, gdy kraj zalewały hordy tatarskie, więc i pod tym względem były one wzorem, gdy dzisiejsze pokolenie w drobnostkach rady sobie dać nie umie, choć dużo peroruje, przypominając przysłowie: że krowa co dużo ryczy, mało mleka daje. U dzikich

kobieta pracuje podwójnie jako niewolnica, cywilizacya inne zaś drogi jęj wykreśliła; mamyż wracać do epoki barbarzyńskiej?

— Nie pojmuję, odezwała się pani Kajetanowa, hamując gniew aby nie wybuchnąć — jakim cudem mógł pan przechować swe zacofane przekonania, których już dziś nikt nie wygłasza, odrzuciwszy je jak stare rupiecie zużyte; sekret takiej konserwy zdań posiada tylko małomiasteczkowa atmosfera, do której promień postępu i oświaty nie dochodzi, odgradzony deskami.

— Widać że szanowna pani mieszkała na wsi i nie zna parafialnego małpiarstwa, pod każdym względem tu wszystko olbrzymieje w emulacyi. W Olinowie pani dobrodziejko, wszystkie panienki mają już poprzewracane głowy, jedynie z obawy przed zacofaniem. Najwyraźniej daje się tu spostrzedz emulacya w ubraniu; noszą suknie wązkie w stolicy, na prowincyi nie chcąc się dać zakasować, natychmiast tak się pozwężają wszystkie, że chodźć prawie nie mogą; gdy znów przyjdzie moda krynolin, to żadna we drzwi zmieścić się nie może, taką sobie zafunduje bombę, i tak dalej i dalej. Pod tym względem małe miasteczko jest ohydne, a rozprawiają o nieszczęsnej samodzielności wszystkie, aż uszy brzękną od słuchania bredni. Jedną tylko znam tu rozsądną panienkę, córkę cukiernika Ruty, która pracuje i pomaga ojcu nie wynosząc się z tego bynajmniej. Śliczna bo to, dobra i wykształcona panienka.

— Pan ją zna? zapytała pani Kajetanowa.

— Jak moich pięć palców, codzień przecie bywam w cukierni, odparł pan Atanazy, uważałem nawet

wczoraj, że mąż pani bardzo się ślicznej Anulce przypatrywał, a mówiąc prawdę, jest bo i na co patrzeć, a co za rozumek w tej młodej główce!...

— Kokietka zawsze się podoba mężczyznom — zawołała wzburzona pani Kajetanowa, lecz spostrzegłszy że powiedziała frazes wymagający objaśnień, powstała z kanapy i rzekła tonem uprzejmym: Pozwoli pan, że zawiadomię mego męża o pańskim przybyciu — i ukłoniwszy się gościowi spiesźnie wyszła z pokoju.

Pan Atanazy ani się spodziewał jak drażliwej struny dotknął, że nawet obraził gospodynią domu prostą pochwałą Anulki, czekał więc spokojnie na przyjście pana Kajetana i palił papierosa powoli.

Nareszcie zjawił się gospodarz, został natychmiast wycałowany i również swego gościa wycałował także. Usiedli i rozpoczęli gawędkę przyjacielską. Pan Atanazy opowiadał jaką miał dysputę z panią Julią, co uradowało pana Kajetana.

— Bardzo jestem kontent, rzekł wysłuchawszy opowiadania pan Kajetan, bardzo ci jestem wdzięczny kochany panie Atanazy za reflektowanie, bo to i mojej żonie, choć stara, w głowie młodo świta. Ja nie lubię sprzeczek, więc milczę, ale jak mi Bóg miły nie cierpię tej postępowej farmazonii, et, głupstwa amerykańskie.

— Ha, ha, wybuchnął basowym śmiechem pan Atanazy, farmazonia! Dalibóg nazwa wyśmienita, muszę sobie zapamiętać ten frazes wyborny; powiadam panu spieraliśmy się do upadłego z żoną pańską, pewno mnie już nie cierpi, ale trudna rada, ja kłamać nie umiem, a co mam w myśli, to i na języku. Dla głupstwa nie mam pardonu.

Rozmowa szła ożywiona, przeplatana śmiechem, a dymu w pokoju było coraz więcej; nareszcie pan Atanazy wstał i zabierał się do wyjścia.

— Kochany panie Kajetanie, wczoraj byłeś łaskaw mnie fetować, dzisiaj na mnie kolój was ugościć skromnie; spodziewam się że mi nie odmówisz kochany sąsiedzie i przyjdiesz do cukierni na lampkę węgryna o godzinie mniej więcej co wczoraj, gdzie oczekiwać będę.

— Stawić się nie omieszkam, gdyż rad jestem twemu towarzystwu kochany panie Atanazy, tylko proszę najmocniej o folgę i umiarkowanie przy kielichach; wczoraj ulegając woli panów, piłem zawiele i pokutowałem później, jako nie nawykły do trunku.

— Ale zgadzam się pić naparstkiem nawet, jeśli to panu robi przyjemność, odparł gość wesoło, wycalał rześcicie gospodarza i odszedł.

Wkrótce potem podano obiad, do którego zasiadła pani Kajetanowa nie jedząc nic wcale. Z początku szezebiotały panny, powtarzając poraz setny znane ploteczki miejskie, a co im prawdziwą sprawiało przyjemność, znały bowiem już tyle osób, że wątek był obfity. Nareszcie pierwsza Karolcia zauważyła, że matka nie je, zapytała więc troskliwie:

— Czy mama nie chora? bo żadnej potrawy nie pokosztowała choć obiad się kończy.

— Jeść mi się nie chce, moje dziecko, a przymuszać siebie nie widzę potrzeby, odpowiedziała matka.

— Brak apetytu nie bywa bez przyczyny i dowodzi niedyspozyeyi, niech mama poradzi się doktora, nalegała Karolcia, wpatrując się bacznie w twarz matki.

— Dajże mi pokój, zdrową jestem i nie potrzebuję

radzić się lekarza, odparła zniecierpliwiona nieco matka i po chwili dodała: Doktor dyetą zagłodziłby mnie z pewnością, obaczysz Karolciu, że z podwójnym apetytem siadę do kolacyi. Chcąc zaś nadać inny tok rozmowie, poczęła wypytywać który z kawalerów najwięcej się im podobał. Pokazało się, że każda chwaliła innego. Melania zachwycała się młodym doktorem Zadyrnoskim, Zosia porucznikiem Przyckim, a Karolcia Gomułkiewiczem, właścicielem wioski odległej o 3 wiorsty od Olinowa, i z tego względu częstego gościa w miasteczku.

Temat ten podtrzymywany gorąco przez panny, doprowadził do wniosku, że rodzice powinni dać wieczór tańczący.

— Papusiu, Mamusiu, Ojezulku—napierały się na przemian panienki—trzeba zaprosić gości, aby nas nie nazwano skapcami—mówiła jedna.

— Tak dawno nie tańczyłyśmy, że dalej zapomniemy nogami ruszać—wołała druga.

— Trzeba się dać poznać i ująć ludzi gościnnością—prawiła trzecia, bo jak nas wezmą na złe języki i zaczną szkalować, to potem choćbyśmy dla nich złotą górę usypali na dziedzińcu, nie przejednamy niechętnych, a służyć będziemy tylko na pośmiewisko, które jest najstraszniejsze dla panien.

— Nie mam pieniędzy na bale, mruknął milczący dotąd pan Kajetan, i za to został spiorunowany rozłoszczonym wzrokiem małżonki, która zwracając się do córek, rzekła zgryźliwie:

— Gdy ojciec niema pieniędzy na zaspokojenie nieodzownych potrzeb córek dorosłych, ja muszę się o nie postarać i wieczorek urządzimy.

Panny usłyszawszy te słowa, przyskoczyły do matki i poczęły ją ścisnąć i całować, manifestując tem dobitniej urazę dla obojętności ojcowskiej. Ostatniego półmiska panny ani się dotknęły, przepełnione radością bladą jeszcze nadziei balu, sam więc tylko pan Kajetan potykał się zażarcie białą bronią z babką drożdżową.

Gdy panny przęda mglistą przedzę tryumfów balowych, my zajrzyjmy do cukierni. Przy jednym stoliku dwóch emerytów w asystencyi dwóch szklanek ponczu, grają w szachy, sprzecząc się kolejno. Na sofie rozparty doktor Zadyrnowski dowodzi Rucie, że dobremu lekarzowi nie warto mieszkać w małym miasteczku, że w skromnych ramach parafii ani pieniędzy ani sławy nigdy dobić się nie można, gdyż prowincyoniści są mało wykształceni i nie umieją się poznać na ludziach nauki. Prawił jak profesor na katedrze i dowiódł czarno na białem, że ludność prowincyi z samych baranów się składa, i że doktor uczony poświęcający się dobru cierpiącej ludzkości, może zginąć z głodu.

— Wobec dowodzeń pana konsyliarza powinienem wierzyć, że tu potrzebniejszy jest weterynarz niż lekarz, rzekł Ruta z dwuznacznym, drwiącym uśmiechem.

— Tak, tak, masz pan słuszość, żałuję że nie jestem weterynarzem widując tu bydło jedynie, ale mnie los nie skazał na dożywotne pleśnienie w małej mieścinie i skrzydeł woli nie złamał.

— Czemuż pan konsyliarz nie przeniesie się do odpowiedniejszej stolicy, szkoda czas marnować, doraźną Ruta poufnie.

— W zasobach pojęć moralnych mam pewne skłon-

ności filantropijne, które mnie popchnęły na tę drogę fatalną. Erare humanum est, i ja palnąłem baka młodości.

Przy tych słowach doktor zarzucił w tył bujne włos, jak gdyby chciał z nich otrząść myśli dziecinne.

— Podobną omyłkę łatwo naprawić w każdej chwili, odparł Ruta złośliwie, dając do zrozumienia, że nikt za nim tęsknić nie będzie.

— Myślę też zamieszkać w Odessie, tam znajdę odpowiednie dla siebie towarzystwo i praktykę lekarską. Tu niema co robić i umysł rdzewieje, każdy szlachcic zdrów jak byk, czerwony jak pomidor, silny jak chłop, powietrze zaś zdrowe nie robi żadnej nadszedej dochodów; jeden tylko zbiedzony doktor wygląda jak śledź holenderski.

Pan Ruta uznał za stosowne zaśmiać się po tym frazesie doktora, choć podobno nie był on powiedziany dla dowcipu, gdyż twarz Zadyrnoskiego zasępioną była.

— Przed parą laty mieliśmy Niemca doktora, mówił Ruta, lecz ten wcale do śledzia nie był podobny, najprzód lubił pieniądze i sporo zebrał grosiwa w ciągu długoletniej praktyki, twarz zaś miał tak rumianą, że nawet rzeźnik by się jój nie powstydział, a brzuch wspaniały jak familijna waliza. Wierz mi konsyliarzu, że ludzie w biedzie tak dostatnio nie wyglądają jak nasz Niemiec.

I śmiał się Ruta, zacierając ręce z radością.

— A czyż nie znasz pan tradycyjnego upodobania Polaków do cudzoziemców? — odburknął Zadyrnoski z goryczą. Niemiec, jak powiada Rusin, małego wymyślił. Niemcowi wiele rzeczy się udaje, czego my

krajowcy nie potrafimy wykonać, nie będąc poparci modą wszechwładną. O! nie, panie Ruto, poświęceniu kres położę, bo dłużej z Olinowskimi baranami nie wytrzymam.

— Mamy przecie trzy nowo przybyłe i posażne podobno panienki, napomknął figlarnie Ruta.

— Wątpliwe posagi, więc za drobna dla mnie zwierzyna, nie warta strzału, odparł Zadyrnoski spoglądając w zwierciadło.

Ruta chciał coś odpowiedzieć, lecz przeszkodziło mu wejście porucznika Przyckiego, który zapytał o pana Anatazego.

— Dzisiaj jeszcze go tu nie było, odpowiedział Ruta; a tymczasem doktor Zadyrnoski witał serdecznie porucznika. Twarz lekarza wypogodziła się zupełnie, i wnet uśmiezek uprzejmy zjawił się na ustach, zły humor znikł bez śladu, wola przenicowała człowieka...

— Bardzo się cieszę, że choć konsyliarza zastaję, mówił Przycki, w tem ohydne miasteczku zanudzić się można na śmierć, żadnej niema rozrywki, ani ludzi, ani zabaw publicznych, jakieś śmieszne, pretensjonalne towarzystwo, ale... lepiej o niem zamilczę.

— Słusznie, bo nic nowego nie mógłbyś pan powiedzieć świadomemu smutnych praw i stosunków tu-tejszych mieszkańców, odparł doktor.

— Zapominasz pan, że mamy przecie jedną nowalijkę, niezdeterminowaną dotąd — mówił śmiejąc się Przycki.

— Co pan nazywasz nowalią? zawołał Zadyrnoski ciekawie.

— Jaki z pana niedomyślny człowiek, jeśli i dyagnostyk taki, to dziękuję za receptę.

— Mieszasz pan zdania niefortunnie, nie oto przecie pytałem—odciął się doktor kwaśno.

— Nowalia nasza składa się z papy dobrodzieja, z mamy dobrodziejki, i trzech dojrzałych cór, z gorącą aspiracją do małżeństwa—recytował porucznik.

— O aspiracye, mniejsza — odparł doktor—bo to rzecz zwyczajna u panien, ale mają podobno wioskę, jeśli dać wiarę... tylko że teraz tak mało prawdy na świecie, że tylko ten co wątpi, oszukać się nieda.

Co do mnie, łaskawy konsyliarzu, wołałbym trzy wioski dla jednéj córki, jak trzy córki przy jednéj wsi.

— Któżby dziś inne miał zdanie w tym względzie—zaśmiał się doktor—gdzie miedziaki kursują, o złotéj monecie nikt nie marzy; w Olinowie rajska golizna, dajmy im pokój.

Rozmowa w podobnym temacie ciągnęła się i dalej, a tymczasem pokoje cukierni zapępniały się gośćmi. Nareszcie pan Atanazy ukazał się, wyprzedzając o kilka minut pana Kajetana. Zrobiło się ciasno, duszno i gwarno zarazem. Ruta z Anulką nie mogły nastarczyć rozkazom gości, biegając ustawicznie do piwnicy lub kuchenki gdzie wrzały dwa samowary. Biedna Anulka była umęczoną fizycznie i moralnie, usługą i tłustemi komplementami rozochoconych biesiadników, od których radaby się uwolnić jaknajprędzej, tylko przez wzgląd na nie, nie opuszczała placu.

Ledwie o godzinie trzeciej rozweselone towarzystwo poczęło się rozchodzić, pan Kajetan należał do tych co chyłkiem wymykali się z cukierni.

Panny już spały dawno, tylko sama jedna oczekująca pani Julia czuwała jeszcze, gdy mąż wszedł.

do pokoju. Burza małżeńska wybuchnęła z niezwykłą gwałtownością, z całym impetem samowolnego charakteru czułej małżonki, bez żadnej prawie opozycji ze strony pana Kajetana, który na trzeźwo nie umiał się bronić, pokornie przyjmując obwinienia najniedorzeczniejsze, któremi jak gradem go zasypywały wymowne usta rozłoszczonéj kobiety.

W przyległym pokoju córki rozbudzone podniesionym głosem swéj życiodawczyni, strwożone, lecz i ciekawe zarazem, zgromadziły się wszystkie na jednym łóżku, stojącem najbliżej drzwi wchodowych, i słuchały, porozumiewając się między sobą niekiedy cichym szeptem i urywanemi słowy. Wysoki ton głosu pani Julii słyhać było dobitnie, pomimo drzwi zamkniętych, repliki zaś ojcowskie trzymane w niższym rejestrze nikły i ginęły dla uszu ciekawych, ostrożnie więc uchylily drzwi i słuchały dalej.

— Na nocne hulanki i umizgi do téj wietrznicy z cukierni, ja pozwolić nie mogę—wrzeszczała rozłoszczona kobieta. — To grzech, szkarada i zgorszenie publiczne, zniewaga siwych włosów.

— Uroiłaś sobie coś, ja do téj panienki nie przemówiłem ani jednego słowa... zresztą to bardzo poczeiwa dziewczyna...

— Śmiesz bronić jeszcze téj gadziny! A zkąd to wiesz że ona poczeiwa, przezacny mężu, ojcie trzech dorosłych córek, ha?..

— Wszysey ją mają za szlachetną; więc i ja nie mam prawa potępiać niewinną...

— Mów lepiej zdrajco że zjednała ciebie mizdrzeniem, ten koczkodan, ta, ta zalotnica przebrzydła...

Niéma co, przyjemnych się rzeczy doczekałam, całe życie dręczona i poniewierana przez męża.

— Gdybyś sobie była wcześnięj uroiła coś podobnego, trula byś i mnie i siebie oddawna.

— Może i to jest urojeniem—wrzasnęła pani Julia—że zebrałaś sobie zgraję opijusów, ludzi bez czci i wiary, z którymi trwonisz ostatni grosz w cukierni, którą oby siarczysty deszcz spalił. Chcesz abym milczała wobec podobnego bezwstydu?... Nie! nie! nie z tego nie będzie, będę mówiła do samęj śmierci, i nie dam sobie kółków ciosać na głowie, wyperswaduj to sobie razem z amatorami, nie z nich nie będzie, bo jutro najmuję podwoły i wyjeżdżam do Pińkówki z powrotem.

— Ależ w domu mieszka dzierżawca, gdzież się pomieścimy — zauważył pan Kajetan.—Mieszkanie tu za cały rok opłacone, pieniędzy nie zwrócą nam...

— Aha! nie chce ci się ztąd wyjeżdżać, i wynajdujesz przeszkody, lecz nic ci nie pomoże będziemy mieszkali w oficynie, a choćby i w chacie chłopskiej, byle nie tutaj—wołała żona zapalczywie.

— Samażes przecie zaprojektowała—bronił się pan Kajetan — mnie na wsi było sto razy wygodnięj jak tutaj...

— Chociaż sama chciałam, ale teraz nie chcę i kwita, niech pieniądze przepadają za komorne, a my wracamy do Pińkówki... Rozumiesz, wracamy jaknajśpiesznięj, bo ja tu się zagryzę na śmierć — mówiła pani Julia ochrypłym już nieco głosem.

— A i owszem, kiedy wracać, to wracajmy, czém prędzjęj tem lepięj, bardzo ci dziękuję Julciu za ten projekt genialny, wielką mi tem sprawiasz satysfakcyę

Zaledwie pan Kajetan te słowa wymówił, gdy drzwi z trzaskiem się rozwarły i trzy panny stanęły przed rodzicami; każda z nadobnych dziewięć okryta była kołdrą tylko, i wyglądały tak zabawnie, że pan Kajetan ucieszony już nowym projektem powrotu na wieś, głośnym wybuchnął śmiechem.

— Ślicznieście się przystroiliły temi kołdrami—zawołał — jak żyję takiej maskarady nie widziałem — i śmiał się serdecznie znowu.

— A toż co? Niewiedziałyście chyba że tu jest ojciec — strofowała córki pani Kajetanowa — panny wobec mężczyzny w takim negliżu!... Ruszajcie do swego pokoju, precz kołdry do łóżka...

— Gdy idzie o naszą przyszłość—odezwała się Melania, nie dając dokończyć matce frazesu—gdy losy trzech istot nieszczęśliwych przez despotyzm rozstrzygać się mają, kostium nie powinien zaprzętać nikogo.

— Słyszałyśmy wszystko—dodała Zosia—i oświadczamy uroczyście, że nie myślimy wracać do Pińkówki.

— Chyba później gdy się stan rzeczy wyklaruje—odezwała się pojednawczo Karolcia.

— Co będzie potem, obaczymy, a teraz chcemy tu zostać, bo musimy obrabiać same nasze interesa gdy rodzice mało się niemi troszczą. Nie jesteśmy dziećmi, i potrafimy pokazać samodzielność.

Byłaby dłużej perorowała Melania, gdyby wskutek gestykulacyi, nie zsunęła się kołdra z ramion, co zmusiło pannę do chwilowej przerwy w dykeyi, którą podchwyciła matka drżącą z oburzenia.

— Chcecie mnie uczyć rozumu, ale ja was potrafię nałamać do posłuszeństwa.—Zwracając się do męża

dodała:—Patrz i ciesz się tem co twoja ślamazarność sprawiła... to nie dzieci, lecz rewolucjonistki!

— Trzeba było inaczej nas wychowywać, na niewolnice rodzicielskich kaprysów—odpowiedziała Zofia zuchwale.

— Ja was nauczę szacunku dla matki! Obaczmy kto kogo przekona—i zwracając się do męża jeszcze piskliwszym głosem mówiła:—To ty jesteś temu wszystkiemu przyczyną, małowany ojeze rozhukanych córek, patrz jakie są owoce twego niedołęztwa, bo zasiałeś same piołuny na niwie mego żywota. Zamilkła na chwilę dla schwywania oddechu.

— Niesłusznie mnie obwiniasz — tłumaczył się flegmatycznie pan Kajetan, chcąc zakończyć spory gorszące—nieraz przecie mówiłaś że wychowanie córek do matki wyłącznie należy, i ustąpiłem dla świętego spokoju. Są przecież samodzielne jak chciałaś.

— Jesteś głową rodziny, powinieneś umieć utrzymać ojcowską powagę, powinieneś zawsze bronić mnie od wszelkiej napaści, bo to twój święty obowiązek, raz jako żonę, drugi raz jako kobietę, której się należy opieka mężczyzny, dalej jako znieważaną matkę hardością dzieci nieposłusznych; milczenie w takich razach jest zbrodnią wołającą o pomstę niebios.

Przy tych słowach pani Julia, podobna do furii, zalała się łzami.

— Pozwól przynajmniej aby panny powiedziały o co im chodzi—odezwał się strapiiony pan Kajetan.

— Niechaj mówią co się im podoba—odpowiedziała pani Kajetanowa—ale pamiętaj że jutro pakujemy się, a po jutrze wyjeżdżamy na wieś, niech już koniec będzie mojej zgryzocie; tak, tak, dłużej ani dnia, ani

godziny nie pozostanę w tem przekłętym miasteczku, spadnie na nie prędzej czy później deszcz ognisty jak ongi na występna Sodomę i Gomorę.

— Ja mam widoki na doktora Zadyrnoskiego, i nie mogę ztąd odjeżdżać zanim się coś stanowczego nie zdeklaruje — oponowała Melania, mam lat dwadzieścia i przeczucia nieomyłne, że Zadyrnoski zakonany we mnie.

— Ja także mam pewność o zamiarach Przyckiego, i wiem, że on nie bez racji staje przy mnie w kościele,—dorzuciła Zosia.

— Co do mnie, to i ja mam realne wskazówki dające wiele do myślenia, ale mój ideał na wsi,—wyjąkała nieśmiało Karolka, i upiekła raka.

— Spodziewam się że po naszym oświadczeniu rodzice zaniechają wyjazdu, jeśli pragną szczęścia swoich dzieci,—obstawiała znowu Melania.

— Zdaje mi się że one mają słuszość,—rzekł pan Kajetan rozbrojony—gotów jestem tu zostać, pomimo że tęsknię do cichój naszej Pińkówki, poświęcę się dla ich losu... Nie przeszkadzajmy im manewrować...

— O! rad jesteś z pozoru, i prawisz o poświęceniu, ale znam się na farbowanych lisach, i nie dam się oszukać. Pachną ci cukierki, poświęcenia mężu—mówiła z ironią żona—ale dość komedyi, jestem straszliwie nią rozdrażniona, jutro zaś musimy wstać rano, bo co postanowiłam tego odmieniać nie mam zamiaru.

Panny poczęły płakać i narzekać, a pokój zawrzał takim hałasem, że nie słysząc nawet było silnego stuknięcia drzwiami, któremi rzucił pan Kajetan odchodząc do swojej sypialni.

*

*

*

Słońce wschodziło zaledwie, a już wozy z pobliskich wiosek dążyły do miasteczka, wioząc rozmaite artykuły żywności, albo drwa i słomę na targ niedzielny. Któż z nas nie widział tych obrazów choć sto razy w życiu, i nie przypatrywał się im ciekawie za każdym razem. Żywa ta krajobrazowa dekoracya, zaludniona a ruchliwa, nader sympatycznego jest wdzięku, i porywa serca pełnią poetycznych uroków. Trzeba tylko zauważyć twarze wieśniacze, rozradowane szczerze samą myślą o jarmarku. Największy z pesymistów, najzłośliwszy nieprzyjaciel ludu (bo i lud ma swoich wrogów i życzliwych), przypatrując się wieśniaczęj drużynie, dążącej do miasteczka, przebaczyłby im wiele wad i zboczeń charakteru za przyjemność sprawioną. Gdyby przyszło określić co mianowicie sprawia one zadowolenie patrzącego na wjazd lub zaludnianie się miasteczkowego rynku, zaiste trudnem byłoby zadaniem; jest to coś podobnego do ochoty tańczenia gdy się słyszy ochoczego mazura — nieznana jakaś siła przynagla do skoków, i taż sama potęga rozwesela umysł, patrząc na szereg szybko toczących się wozów po wązkiej drożynie gubiącej się w gęstwinie lasku... zdaje się że każda twarz, każde wejście wieśniaka poganiającego konie, wlewa w pierś widza jakąś iskrę radośną, cząstkę własnego zadowolenia. Przyjazd do miasteczka i powrót z jarmarku, całkiem są z sobą różne, i odmienne też dają wrażenia. Chłop jadący rano na targ, ma twarz rozradowaną nadzieją pomyślnego interesu, bawi go ruch na drodze, rojący się znajomymi i krewniakami, zajmują go spostrzeże-

nia i własne i towarzyszy jadących na jego wozie—myśl o mających się spożyć specyałach, czekających u uprzywilejowanej przekupki, usposabia pojednawczo z twardą dolą wiejskiego bytu. Sam nawet dzień świąteczny, i strój staranniejszy, nastraja myśl uroczyscie, z popędem do zabaw; wszystkie te czynniki wygładzają na czele zmarszczki trosk codziennych, i choć chwilowe dają zapomnienie...

Powrót z jarmarku dźwiga często gorzki owoc handlowego zawodu, fizyczne znużenie i żal minionego dnia wypoczynku i zabawy, powrót do chaty ubogiej, odartej z tajemniczych wrażeń porannej podróży, cichej bezgwarniej, z izbą przypominającą troski powszednie i niedostatek—słowem wszystko znajome, zużyte, tyranizujące, počąwszy od krzykliwych dzieci, aż do walącej się starej strzechy wołającej ratunku... nastraja myśl ponuro...

Gdyby serce nie przyrastało do rodzinnego gniazda tęsknotą, gdyby myśl nie opierała się o próg chaty rodzinnej—potrzebą, gdyby zresztą proste nawyknięcie nie pętało porywów woli człowieczej, ubogie te siedziby stałyby pustką, służąc za schronienie płazom szkaradnym.

Rozbawiony na kiermaszu wieśniak powraca do domu, z nałogu zawracając myślą do uciech miejskich. Ten i ów pijany, często z rozbita twarzą, kobiety swarliwe pod wpływem gorzałki, rozespiane i chwielające się nieustannie na wozach gnanych jazdą szaloną; łajania i klątwy przy wzajemném wymijaniu się rozegrzanych trunkiem woźniców, wszystko to wzięte razem, przykry sprawia widok; i zaciera miłe wspomnienia jarmarkowego poranku. Przeskok efektu jest

tak rażący i sprzeczny, jak życie i śmierć, jak śmiech i łza... jak dzień i noc...

Nie wiem czy panu Kajetanowi przychodziły do głowy podobne spostrzeżenia, gdy chodził po targowicy mało jeszcze zaludnionej, wyszukując ludzi przybyłych z okolic Pińkówki. Wdawszy się z niektórymi w przydłuższą gawędkę, objawił że potrzebuje podwód dla przewiezienia rzeczy; z początku jakoś nie było ochotników, lecz gdy sutą za przewóz naznaczył cenę, tylu na raz zdobył kontrahentów, że bronić już musiał ciasnego podwórka zastawionego szybko wozami.

Gdy na dziedzińcu walczy dzielnie z natrętami uradowany pan Kajetan, w pokojach iście czyscowe lamenta zawodzą panienki, usiłując łzami i narzekaniem rozbroić gniew matki zajętej pakowaniem, przy pomocy służącej nie mogącej wydołać licznym rozkazom swój pani. Wszędzie nieład panuje straszny, szafy i komody pootwierane wypróżniały się szybko ze swych zawartości, a olbrzymie kufry powyciągane z kątów, pochłaniały wszystko.

Czynność pani Julii tak była niezwykłą i gorączkową, iż więcej wyglądała na uciezkę niż na wyjazd legalny spokojnych mieszkańców. Panny nawykłe do samowoli i dogadzania wszelkiego rodzaju zachciankom, pojąć nie mogły obecnego oporu matki nie uwzględniającej, a nawet obojętnej na łzy, prośby i narzekania córek, którym się nie sprzeciwiała zwykle. Udawały się do ojca, ale i ten interwencji odmówił. Zrozpaczone siedziały w kącie nie pomagając wcale matce pracującej bez wytchnienia, z rezygnacją patrzyły jak ich stroje ryczałtem wrzucano do kufra,

bez względu że szpetnie pomiać się mogą, a nawet niektóre zniszczyć zupełnie. Patrzyły—i żadna z nich ani się ruszyła z miejsca, aby choć własnych dopilnować rzeczy, nad którymi matka pastwiła się okrutnie.

Słońce już zaszło, gdy ładowanie wozów zostało ukończone, a że pan Kajetan postanowił zachować jak najściślejsze inkognito; więc pod protekcją opiekuńczych cieniów nocy, tego samego wieczora najętą bryczyną, wraz z podwodami do Pińkówki odjechał—trzeba było na wsi jakiegokolwiek mieszkanie dla rodziny urządzić, a także przysłać powóz dla kobiet, i wóz jaki po resztę rzeczy drobnych, niezabranych jeszcze. Woli pani Julii stało się zadość prędzej niż mogła się spodziewać, gdyż wieczorem już w miasteczku męża nie było.

W ciszy pustego mieszkania ochłonęła nieco z gniewu pani Kajetanowa, i poczęła rozważać czyny spełnione, gdy została tylko z córkami, które jak trzy kolezaste głogi, posępne, otaczały ją smutnie, podobne posagom boleści, siedziały nieme i apatyczne, znużone walką bezsilną... Pani Julia dzieci kochała, uczyła więc żal i skrucę zarazem, radaby cofnąć dzień miniony, chciałaby posłać kogoś aby zawrócił z drogi męża, ale wstyd powstrzymywał, wątpliwość czy zechce jęć być posłusznym tamowała decyzję. Nawet postać ładnej córki cukiernika mniej już dla niej była groźną w następstwach.

Żałowała zacisznego domku, nowych znajomych i tych nadziei wychuchanych w macierzyńskim sercu, a tak despotycznie zdeptanych od razu... W tym punkcie uczyła się niemal występna, nawet złą matką i kobietą samolubną.

Próbowała rozmowy, jak pojednania z córkami, lecz te albo odpowiadały paru słowami, albo milczały uparcie—widać wyczerpały w walce całą chęć mówienia, które ich praw obronić nie mogło, a teraz przygnębione wrzały gniewem, milczące.

Wieczór ten niewypowiedzianie był przykry dla pani Julii, i może nawet nie jednym siwym włosem zapisał się na skroniach stroskanéj kobiety.

Tymczasem pan Kajetan wyjechawszy za miasteczko, jakby odmłodził o lat dwadzieścia, świat znany wydał mu się piękniejszym, a myśl tak lekką jak technienie wilgotnéj rosy otaczającéj go dokoła. Przykre sceny wczorajszego dnia znikły gdzieś bez śladu, jechał, palił ulubioną fajkę nie trudząc myśli niczem czuł tylko taką rozkosz, że największego wroga przycisnęłoby do piersi, najcięższą krzywdę żonie przebaczył, bo w jego sercu teraz miejsca na zemstę nie było, on czuł się tak szczęśliwym i swobodnym, iż niczego więcej nad to co otrzymał tego wieczoru pragnąć nie śmiał, nie chciał i nie umiał.

Widać że dusza rozbudzona swobodą i potęgą natury, rozwinęła skrzydła, uszczęśliwiając człowieka... tego pan Kajetan nie pojmował zupełnie, a odczuwał tylko machinalnie, kontent był, a nie wiedział co go tak cieszy obecnie. Zaiste dziwną i tajemniczą jest siłą nawyknienie w człowieku; najbystrzejsze oko uzbrojone wiedzą nie zbada gruntu tysiącznych zagadek natury, tworząc zaś chwiejne hipotezy, sądzi że wszystko odgadł i zrozumiał, utyka na zapytaniu, przy którem znużony rozum spostrzega, że ledwie drobny rąbek tajemniczéj zastony odchylił.

Dopóki pan Kajetan mieszkał na wsi, w otoczeniu

do którego nawykł od dzieciństwa, nie zastanawiał się nigdy nad zmianą warunków, względnie do potrzeb własnych, lecz skoro bieg w nową przerzucił go sferę, wtedy dopiero uczuł jak wielką poniósł stratę, zateśnił do przeszłości, która w wyobraźni gwiazdą szczęścia świeciła.

Dla tego ujrawszy się wśród pól i lasów, pan Kajetan uczuł się w swoim żywiole, przypominały mu się z lat dziecinnych przyjazd na wakacje ze szkół, czasy gospodarstwa w Pińkówce, prowadzonego, jak sądził, wzorowo, tylko niestety niezawsze szczęśliwie i pomyślnie... Kolejno przesuwali się w myśli: kilku ekonomów, arendarz z hamanowem uchem i nieodzwonną prośbą zmniejszenia raty niesłuchanie wysokości, i kupiec zbożowy Joś, znany z wyjątkowej uczciwości, kilku faktorów i liwerant sprzedający konie ze stratą, wskutek dzielnej interwencji arendarza, dbałego o dobro dziedzica. Takie i tym podobne obrazy przesuwwały się w białych konturach, w jałowej zwykłej wyobraźni pana Kajetana siedzącego na bryczce w poważnej zadumie.

Zdziwiłaby się niepomrotnie pani Julia, gdyby mogła przejrzyć wątki myśli mężowskiej, nie znajdując zaś w nich żadnych wspomnień o córce cukiernika, obwiniałaby siebie nie tyle może za porywczosć temperamentu, ile za śmieszność zazdrość, która stała się powodem gorszącego przykładu w rodzinie. Któżby nie płonął wstydem... mąż przecie wolał myśleć o hamanowem uchu niż o pannie nadobnej... wszak i tak po wyjeździe męża czuła już pewną skrucę, obwiniając siebie że nie umiała zapanować nad naganną porywczoscią, podbudzaną śmiesznością zazdrością, od

któręj sam wiek podeszły małżonków uwalniał. Wreszcie w brzydkiej téj scenie córki były przytomne, a możesz być coś boleśniejszego dla rodziców nad sąd dzieci dorosłych, obwiniający ojca lub matkę.

Trapiona przykremla wyrzutami pani Julia, pragnęła jakimkolwiek sposobem zamaskować nagły wyjazd z Olinowa przed znajomymi, i w tym celu wybrała się do pani Kulskiej z wizytą, sama, gdyż zapłakane córki nie chciały jęj towarzyszyć. Szczęściem zastała ją w domu, ale pokazało się że pani Kulska była tak dobrze powiadomioną o sprawach państwa Kaje-tanostwa, że wszelkie powody i komentarze fałszywe nie mogły jęj zbić z tropu plotek wszechwiedzących.

Pani Kulska była grzeczną lecz chłodną, jak gdy-by chciała jaknajrychlej gościa swego się pozbyć! Zaledwie pani Julia zasiadła na ceremonialnej kanapie, pani Kulska zapytała:

— Mówiono mi że państwo wracają na wieś? Przyznam się pani, że nie chciałam temu wierzyć, lecz gdy zaczęli upewniać i cytować różne szczegóły...

— Tak jest, musimy wracać na wieś, przyszlłam właśnie panią pożegnać, i powiedzieć jak mi bardzo smutno zostawiać tu życzliwych znajomych, a nawet ten cichy domek do którego już przywykłam—odpowiedziała pani i westchnęła.

— Ach jaka niepowetowana szkoda! Tyle sobie obiecywałam przyjemności zamieszkania państwa, i taki zawód mnie spotyka; możeby to się dało zmienić?..

I pani Kulska frazes swój zapieczętowała także westchnieniem.

— Niepodobna droga pani, wszystko się tak jakoś złożyło niespodziewanie, że obecność mego męża

w majątku jest nieodzowną; pomijam że on trochę tęskni do swoich kątów i nawyków, ale jeszcze wynikły zatargi z dzierżawcą téj natury, że wypadnie może go zwolnić z kontraktu, należy folgować człowiekowi w dorobku, a podobno urodzaje będą nieszczególne w tym roku. Nam łatwiej zły urodzaj przetrwać, ale niezamożny człowiek za cóż płacić będzie? Zresztą nie wiem jak interes się zakończy, ale najpewniej ze stratą naszą, mąż mój jest nadzwyczaj dobrego serca, będzie wyrozumiały.—Tu potok słów pani Julii się wyczerpał, i zamilkła.

— Państwo podwójną stratę poniosą—zauważyła pani Kulska—bo ślusarz wziętych pieniędzy za całoroczne wynajęcie domu nie zwróci, a może jeszcze założy pretensyę za niezajete i nieopalone mieszkanie.

— Zapewne, jeśli to człowiek zły i chciwy to będę zmuszoną pretensyę gospodarza opłacić, dłużej tu mieszkać nie możemy, bo po zmarłej ciotce spadła na mnie sukcesya.

— Sukcesya! — zawołała zdziwiona pani Kulska niespodziewaną wiadomością.

— Tak jest pani, mająteczek niewielki na Litwie, zaniedbany dosyć, bo staruszka administrowała sama... może wypadnie go sprzedać jako posiadłość odległą od Pińkówki naszej.

Jeśli pani Kajetanowa chciała wywołać wrażenie, to przyznać trzeba że manewr wybornie się udał, można było dopatrzeć tego natychmiast, w słodszy o wiele tonie przyjęcia, który odrazu jakoś na przyjacielski się zamienił i w tak poufne wpadł tory, że obie panie przyrzekły nawzajem się odwiedzać, pielęgnując świeżo rozkwitły papierowy kwiat przajaźni.

Nagadawszy się do woli, i ucałowawszy do syta, rozstały się dwie nowe przyjaciółki w jaknajlepszej komitywie, sprawiając radość duchowi obludy, jeżeli tylko on mógł być świadkiem téj kłamiwej sceny.

Z Różańską widziała się także, o sukcesyi jednak nie mówiła z nią wcale, zato rozpływała się w pochwałach dla prześlicznej panienki z cukierni, którą opiekowałaby się nawet gdyby ona tego potrzebowała, a sam widok tak ujmującej istoty byłby dla niej dostateczną nagrodą.

Różańska; czy rzeczywiście nie wiedziała o niczem, czy też udawała nieświadomą rozmyślnie, tyle nagała pochwał wynosząc pod niebiosy dobroć serca pani Julii, a przy tem tak załóżnie ubolewała nad wyjazdem ubóstwianej swojej przyjaciółki, że można było przypuszczać iż grała komedye.

Poprzysięgając sobie nawzajem dozogoną tęsknotę i przyjaźń do grobowej deski, pożegnały się obie pannie, przyobiecując jaknajczęstszą wymianę listów, jako jedyną konsolację w rozłące.

Chociaż w domu państwa Kajetanostwa w karty nie grywano, co trochę razilo z początku małomiasteczkowych mieszkańców, przebaczone im jednak ten brak rozrywki nieodzownej na partykularzu, w zamian za dobrą kolację i herbatę z zastawą wędlin i słodczy, których pani Julia nie szczędziła wcale. Wizyty składano liczne, a panny mniemały, że są główną atrakcją i ożywieniem salonu, chociaż kucharz uzurpował sobie zasługę wyłączną, ktoś się mylił zapewne, ale kto mianowicie?.. By nie pomówiono mnie o parcjalność, zostawiam kwestyę tę bez wyjaśnienia.

Tego samego dnia wieczorem zeszli się goście, a między innymi był doktor Zadyrnoski z porucznikiem Przyckim. Panny jakby siłą magiczną wskrzesiły dawny humor, pełen towarzyskiej swobody, a Melania tak szczęśliwie manewrowała, że się jej udało zawiązać rozmowę z doktorem sam na sam. Z początku Zadyrnoski był niby rozmarzony, sentymentalny, z czego panna niezmiernie zadowolniona, postanowiła wyzyskać korzystną sytuację, i po banalnym kołowaniu odezwała się w te słowa:

— Czy pan wie, że wyjeżdżamy na wieś?

— Chociaż nie wiedziałem dotąd, ale już zazdrość, nie lepszego nie mogły panie postanowić.

— Ciekawą jestem co mianowicie wzbudza ową zazdrość raptowną? — zapytała Melania magnetyzując oczami ideał medyczny.

— Czyż to trudne do odgadnienia? Szczęśliwy stokroć jest ten człowiek, który może opuścić śmietnik Olinowa, gdzie krzewią się piołuny obmowy ludzkiej. Szczęśliwy ten, kto nie zatruwał organizmu wyziewami tutejszego towarzystwa, ale najszczęśliwszy jest ten ze śmiertelników, który nigdy Olinowa nie widział.

— Musiały tu pana spotkać ciężkie zawody, gdy podobną niechęć stworzyły — odpowiedziała ze współczuciem panna.

— Spodziewałem się tylko możliwej egzystencji, lecz i na nią się zawiodłem, choć żądałem mało — odrzekł doktor.

— Cóż łatwiejszego jak zmienić miejsce pobytu... nasza okolica weselsza, bo zaludniona więcj.

— Najpewniej trafiłbym z deszczu pod rynnę — odparł Zadyrnoski.

— Mój ojciec ułatwiłby panu poznanie wiele domów w okolicy Pińkówki, my korzystałybyśmy...

— Nieskończenie jestem wdzięczny za łaskawą protekcję, bardzo być może, że niebawem korzystać z niej będę, gdyż wkrótce Olinów opuszcze na zawsze.

— Doskonale! Niechże pan pamięta, że w Pińkowie najżyyczliwsze czeka go przyjęcie. — I przy tych słowach panna Melania tak ognistem go obdarzyła spojrzeniem, że młody lekarz złożył pocałunek na małej i zgrabnej ręczce dziewczęcej i szepnął:

— Byłbym niewdzięcznikiem gdybym o tém zapomniał!

Bardzo podobną i również nieznaczącą rozmowę prowadziły Zosia i Karolcia z porucznikiem Przyckim, wzywającym pomocy niebios dla tranzlokacji pułku z Olinowa, w którym może z nudów zakończyć samobójstwem karierę militarną.

Zosia prosiła, aby gdy przyjdzie owa tragiczna godzina pozwolił jej nabić broń morderczą samemi Olinoskimi plotkami, które go tak ubawia, że zapomni o samobójstwie.

— A pani! Nie spodziewałem się podobnego okrucieństwa, taki pocisk byłby straszniejszy od kuli z ołowiu — odparł udając przerażenie i dodał: Ale panie wyjeżdżają, więc pistolet nie będzie nabity.

— W razie nagłej potrzeby łatwo trafić do Pińkówki, chociażby dla tego, aby się pochwalić, że spleen odesłany do Anglii — odpowiedziała Melania z uśmiechem figlarnym.

— Jeśli pani pozwala, korzystać nie omieszkam.

Wezwanie do kolacyi przerwało wątek téj dypl-

matycznej rozmowy; zakończono także niezręcznem zaproszeniem do Pińkówki drugiego kawalera.

Gdyby kucharz wiedział jak starannie opróżniono półmiski, tem mocniej trwałby w przekonaniu o sile atrakcyjnej swego kunsztu, zwłaszcza że w pół godziny po kolacyi nikogo z gości już w saloniku nie było.

Panny układając się do snu, rwały świeżo rozkwitłe róże ze wspomnień ostatniego wieczoru, a wśród rozbijałej wyobraźni zapomnialy nawet o piołunach podanych ręką matczyną... One odżyły nadzieją!

Nazajutrz przyszły konie przysłane przez pana Kajetana z Pińkówki i pani Julia zabrawszy desperujące córki i resztę ruchomości, opuściła Olinów na zawsze. Podróż odbyła się najpomyślniej, pomimo że się coś psuło kilka razy w starym koczku, na co dowcipny i doświadczony stangret zawsze umiał zaradzić za pomocą sznurów i drąga zachowanego pod kozłem przezornie.

Nowe utrapienie czekało panią Kajetanową w Pińkowie, gdyż musiała zamieszkać w ciasnej oficynie, której na szczęście dzierżawca nie potrzebował zajmując dom, była rezydencją państwa Kajetanostwa, z kądem ustępować nie myślał dla wygody dziedziców. Oburzenie pani Julii nie miało granic w obec podobnej niedelikatności dzierżawcy, płacącego wysoką cenę dzierżawną. Przemyśliwała całą noc gdzieby dostać pieniędzy i w jakie wejść układy z dzierżawcą, aby go się pozbyć z Pińkówki. Dziedziczka wraz z córkami nie mogła przecie mieszkać w oficynie, gdzie nie było nawet odpowiednich pokoi dla przyjmowania gości, nadewszystko przyobiecane przybycie pani Kulskiej było najstraszniejsze i mogło skompromitować

całą rodzinę. Trzeba było zaradzić jaknajśpieszniej i wyszukać kredyt utrudniony, aby dowieść wszem w obec i każdemu z osobna, że się nie leceważy pożyczyci i przyszłości córek.

Od powrotu swego do Pińkówki pan Kajetan stał się mniej uległym woli swój małżonki, a kwestyę pożyczki zbywał milczeniem wymowniejszem nad słowa, co despotyczną panią Julię przyprowadzało do rozpaczey.

Panny szeptały często między sobą o ideałach z miasteczka, pocieszając się nadzieją, że doktor i porucznik przyjadą do Pińkówki. Panna Melania zostawiała okno sypialnego pokoju otwarte na noc, chcąc tym sposobem ułatwić Zadyrnowskiemu wykradzenie siebie, nie przyznając się nawet przed siostrami na jakich danych opiera możność i chęć wykradzenia, którego się spodziewała. Okno otwarte w nocy stało się powodem przykrego zdarzenia, albowiem pewnej nocy wszedł przez nie złodziej i tyle rzeczy zabrał, ile udźwignąć zdołał. Panna Melania widziała nawet tego łotra, ale sądząc że to spodziewany choć urojony oblubieniec, niewydała głosu, oczekując pożądaney romantycznój przygody... Rano wszystko się wyjaśniło, a rzeczy skradzione przepadły. Odtąd i okno zamknięto zawsze.

* * *

W rok po opowiedzianym zdarzeniu, widziałem arendarza z Pińkówki, który mi opowiedział, że państwo Kajetanostwo dotąd zamieszkują oficynę, że dzierżawca ma śliczny urodzaj zboża, że dziedziczka dotąd poszukuje pożyczki i nigdzie kredytu znaleźć nie może.

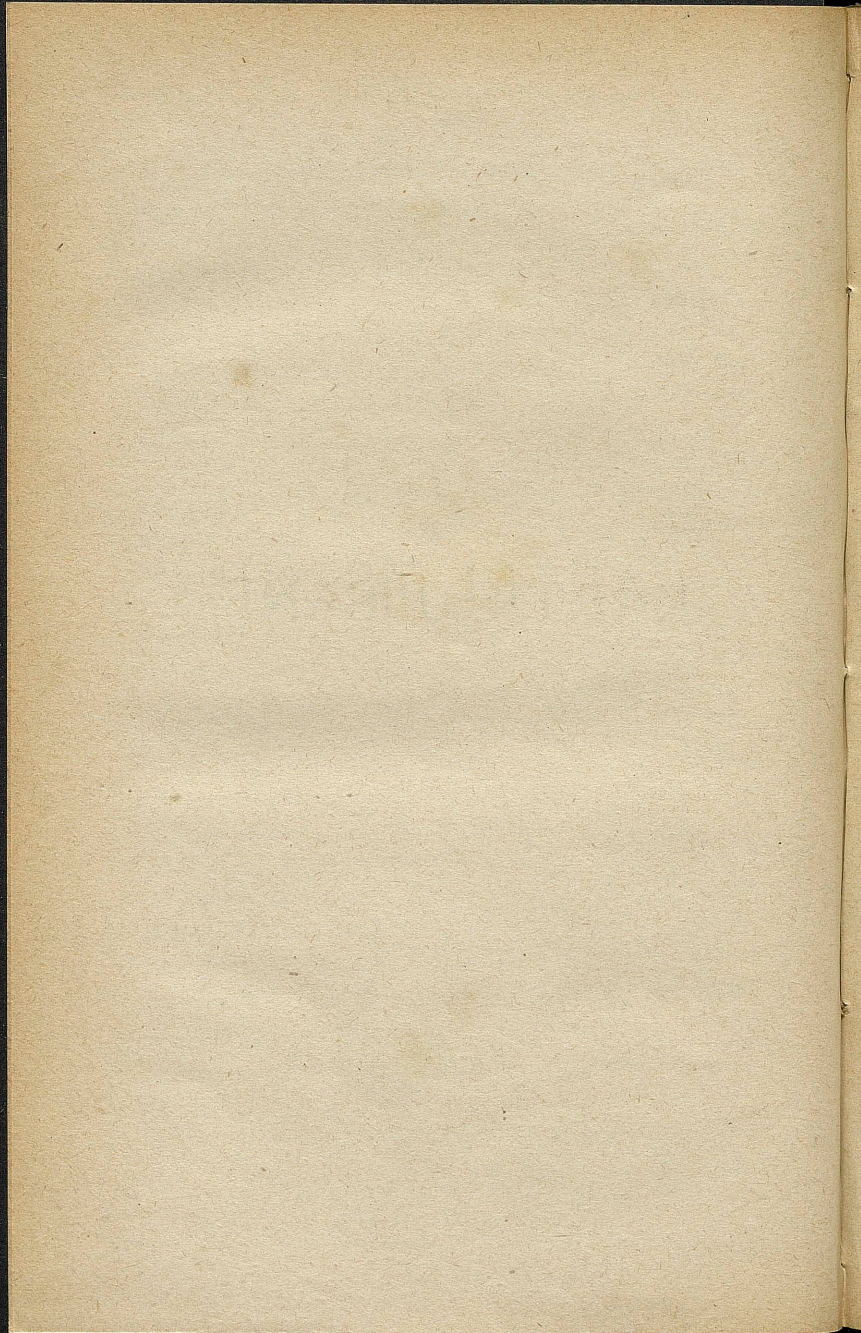
— A czy nie wyszła za mąż która z panien? — zapytałem gadatliwego żyda.

— Nu, teraz takie młode ludzie mądre—odpowiedział arendarz—że z ubogimi pannami się nie żeniają. Bo to fanaberyi u nich aż strach, a pieniędzy, nu niema nic. Na co komu taki interes?

— Ależ to ładne i praktycznie wychowane panny, więc powinnyby znaleźć sobie mężów—zaoponowałem arendarzowi.

— Fain panienki, ale wone chcą wielkiego zarobku; ja w Pińkówce chwała Bogu stary arendarz i wim nietylko co pan, ale nawet co pani i panienki myszło, to jak przyjechał jeden kawaler co chciał się żenić z panną Melcią, fain puryc i znał się na grzecznościów jak się należy... to ja jemu chciał pomagać i poszedł do dworu i pytał panny Melci za tego kawalir, jak wona jemu?... A panna Melcia mówi: Słuchaj Boruch, u tego kawaler oczy jak brylanty, zęby jak perły, a gęby jak atlas białego. A ja jój powiedział Chwała Bogu! Będzie wesiele, kiedy takie drogości w tego młody. A panna Melcia mówi, ni, bo wun biedny; tych pięknoszczów to dla mnie, a dla ludzi co będzie kiedy wun niema pieniędzy? To jak ja temu kawaler powiedział, to won pojechał i teraz żadne gościów do nich nie jadą... widać im tak sądzono—zakończył sentencyonalnie. Skłonił głowę na pożegnanie i odszedł.

KARTKI PISANE.



I.

Musiałem się chyba w czepku urodzić, bo czyżby projekta poszły mi tak pomyślnie na kontraktach kijowskich w roku 1881? Jestem przekonany że nie: interes miałem bardzo trudny do załatwienia w obecnych czasach. Nieobeznanemu ze zwyczajami podolan, zdawałoby się łatwą rzeczą dostać dzierżawę odpowiednią posiadanym kapitałom; ktoby jednak tak myślał, dowiódłby grubiej nieświadomości spraw bieżących. Łatwiej bowiem wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż szlachcicowi wydzierżawić majątek na Podolu. Właściciele ziemscy wybrali ponownie do tych interesów wybrany niegdyś lud Izraela; z bratem szlachcicem teraz mówić nawet nie chcą o dzierżawie. Na czynione zapytania w tym względzie, wszyscy jedną mają odpowiedź:

— Niema nic lepszego nad interes z żydem i bo on płaci tenutę akuratnie, gdy szlachcie zawsze jest trudnym do wypłaty należności; cóż mówić o latach nieurodzaju, gradobicia, pożaru, pomoru bydła; wtedy defalki są na pierwszym planie. Wydałem panie dobrodzieju, kontrakt i chcę się go przytrzymywać święcie co do litery, a on mi prawi ze łzami, że z żoną i dziećmi zginie marnie śmiercią głodową, jeśli mu nie umniejszę raty. Defalkuj bo nie urodziło, defalkuj bo

grad wybił, defalkuj bo dzierżawca dużo ma dzieci i t. d. Postawisz się ostro mając własne potrzeby i swoje dzieci a czasy ciężkie, domagasz się więc wykonania punktów umowy; wtedy pan dzierżawca objazdza całą okolicę i podburzywszy opinię sąsiadów, zbiera kompromis, od którego uchylić się nie można żadnemu pocziwemu obywatelowi. Rad nierad, ufny w słusność sprawy, poddajesz się kompromisarskim wyrokom, które zwykle bywają zarodkiem kwasów sąsiedzkich, a często i tysiącznych nieprzyjemności powodem. Sprawa prosta: Dzierżawca przyrzekł dobrowolnie płacić rocznie sześć tysięcy dzierżawy, których nie zapłacił dotąd—oto jest kontrakt—powiadam panom kompromisarzom. Zaczyna się więc długa oracya sędziów: „Święta prawda—mówi poważnie superarbitr, po przeczytaniu umowy z dzierżawcą—masz rację sumienną kochany panie Konstanty, nawet sąd cygański by ci jój nie odmówił i my skwapliwie przyznajemy słusność tobie, ale jako dziedzic, jesteś człowiekiem bogatym, gdy dzierżawca, człowiek na dorobku, z szczęciorgiem dzieci... powinieneś brata szlacheica ratować, gdy go dotknęła klęska nieurodzaju i połowę tenuty ustąpić.” „Wspaniałomyślność—woła drugi—pięknie opromienia stary herb szlachecki; któżby z nas mógł zasnąć spokojnie, gdyby czuł choćby jakiś cień drobny surowości we własnem sumieniu, a tém bardziej, gdyby wiedział że się przyczynił do niedoli brata szlacheica.”—Znamy cię kochany Konstanty od dawna i wiemy, że na twem dobrem i szlachetnem sercu nikt się nie zawiódł nigdy — prawi trzeci kompromisarz, ściskając a całując rumiane policzki pana Konstantego—więc i tym razem widząc niemożność, pofol-

guj uboższemu bratu; zgoda miłsza nad złoto; cóż to, czyż jesteśmy hołysze lub przybłędy jakieś, abyśmy się ciągli po sądach, poniewierając poczeiwe nazwiska nasze w procesach!?... I tak dalej przemawiają to do serca, to do ambicyi naprzemian, dopóki nie przepełnią wypłaty dzierżawcy, meldując chwilową stratę dziedzica w biurze Opatrzności, która zawsze owe długie jako czyny wspaniałomyślnego serca w trójna-sób wypłaca.

Że się coś podobnego przytrafia nie przeczę, ale żeby miało stać się aż regułą przy wypłatach rat dzierżawnych, uwierzyć trudno. Wszakże tém się tłomaczą obywatele wydzierżawiając żydom swe dobra, chociaż bywają przykłady, że po kilku latach dzierżawy wyrabiać muszą sobie audyencyę u rabina... Oj! bywały takie przykłady u nas na Podolu a kończyły się smutno.

Przyjechawszy tedy w lutym na kontrakty kijowskie a nie posiadając ani prawowiernej brody, ani też postępowej pół-brody, ba, nawet ani ćwierć pejsów budzących obywatelskie zaufanie... zdziwiłem się bardzo przyjemnie po trzech dniach pobytu w grodzie włodzimierzowym, gdy kontrakt na sześćioletnią dzierżawę wsi Mydliniec sporządzony, wsuwałem do bo-cznej kieszeni mego tużurka. Gdy innym ludziom podobne interesa nie udają się po dwóch latach poszukiwań starannych, ja po trzech dniach fatygi dopiąłem celu; mam więc prawo utrzymywać, że w czepku na świat przyszedłem...

Obecnie mieszkam już w Mydlincach od kilku tygodni i urządzam jak umiem moje gospodarstwo. Najprzód trzeba było obejrzyć budynki i jak najspieszniej

zając się restaurowaniem onych, gdyż dziedzic zupełnie je zaniedbał, przepędzając większą część roku zagranicą a lokując w hotelach wszystkie swoje intraty... Wyglądały też smutnie bardzo...

Gdzież mu było myśleć o walących się szopach lub mydlinieckiej stodole, przechadzając się wśród pysznych fresków, które świetny pędzel pana Baudry rozrzucił po ścianach i plafonach wielkiej opery paryzkiej... Doprawdy, że byłoby śmiesznością, gdyby ktoś z turystów zwiedzając pałac dożów weneckich lub marmurowe komnaty rzymskich patrycyuszów, rozmyślał nad podpieraniem walącego się na wsi kurnika...

Mogę zapewnić, że mój jurysdator nie podlegał podobnej parafiańszczyźnie; świadczyły fakta: zachwycił się rozmarzony pięknem czarującej Genui, zwiedzał florenckie galerye obrazów, muzea rzymskie i teatra paryzkie, a skromne stajenki i szopy w Mydlińcach chyliły się tymczasem do upadku. Patrząc na wspaniałe ruiny stariej maurytańskiej Alhambry, miał dotykálny, że i zwałiska mogą być imponujące... Nie myślał więc o nich wcale, bo doszedłby może do wniosku, że rozwalona stodoła nie będzie podobną do wspaniałej ruiny arabskiej architektury, pozostałej z dawniej rezydencji dumnych królów Grenady.

Ja więc, jako dzierżawca majątku, musiałem pomyśleć seryo o reperacyi mocno zruinowanych budynków gospodarskich, dla zabezpieczenia od slot i zimna inwentarza a ruchomości od łapczywych rąk złych ludzi. Szwędałem się tedy i opatrywałem wszystkie kąty, by zdecydować gdzie jest pilniejsza restauracya; byłem wszędzie: w szpichlerzach, lodowni, kuchni, stajniach, izbach czeladnych, na strychu starego domu

domagającego się natarczywie także reperacyi. Z kolei zajrzałem i na folwark, spodziewając się przybycia nowego mojego oficjalisty z rodziną, któremu trzeba było jaknajśpieszniej porządkować mieszkanie.

Mały dworek o trzech pokoikach z kuchenką i spiżarnią wcale nie źle wyglądał; znać było staranną rękę poprzedniego mieszkańca, starego ekonoma, który go niedawno opuścił i, jak mówiono, zamieszkał w poblizkiem miasteczku na dewocyi.

Przerażony znacznemi kosztami, jakie miała pociągnąć reperacya wszystkich zabudowań, ucieszyłem się bardzo, że folwark nie potrzebuje poprawek: parę szyb wybitych w oknie ręką swawolnego chłopca i tynk nieco odrapany na ścianie przyczółkowej niewiele przysparzał kosztu.

Zadowolony z jedynéj przyjemnéj niespodzianki, wszedłem do wnętrza ekonomicznej siedziby. Wszystko zastałem w porządku: drzwi i podłogi całe, piece nierozwalone, nawet drzwiczki i garnitury od nich, które z pustki najpierw znikają, były na swoim miejscu... istne dziwo!...

Rozpatrując się z prawdziwem zadowoleniem po wszystkich kątach tego skromnego mieszkanka, spostrzegłem na piecu starą jakąś zapyłoną księgę; sądziłem, że były to rejestra zapomniane przez byłego ekonoma i machinalnie sięgnąłem ręką... lecz jakież było moje zdziwienie, gdy zamiast spodziewanych rejestrów omlotów zbożowych, znalazłem *pamiętniki starego ekonoma*. Niektóre karty stały się nieczytelne z powodu bladego atramentu, inne zżółkły lub zciemniały, przez czas czy wilgoć; nigdzie dat żadnych nie postaviono.

Choć pisane porywczo pod dyktą naturalnego rozsądku, zaciekały mnie jednak. Przeczytałem kart parę a znalazłszy w nich wiele myśli zacnych i pocziwych, postanowiłem książkę przeczytać o ile to będzie możliwem; zanim prawego właściciela odszukam, zaspokoję ciekawość.

O losach mojej dzierżawy, kiedyś może opowiem, a teraz przepiszę czytelniejsze ustępy z „pamiętników starego ekonoma” w nadziei, że może kogoś zainteresują poglądy na świat pełne prostoty, człowieka starej daty a chrześcijańskiego serca...

* * *

Mam lat siedmdziesiąt sześć, napatrzyłem się dzięki Bogu wielu rzeczom, widziałem złe i dobre, smutek i radość, nędzę i dostatek. Człowiek żyjąc dłużej, nauczy się na świecie więcej z praktyki, niż w szkołach. Bo cóż ja umiałem ukończywszy powiatową szkółkę: czytać, pisać, rachować, trochę geografii, katechizm i ministranturę. Zdawało mi się wtedy, że posiadałem wszystkie mądrości świata... zwyczajnie jak młody gawron, co mało rozumie a wiele o sobie trzyma. Et, piwo niedowarzone i kwita. Ale czyż to ubogiemu szlachcicowi wielkiej nauki potrzeba? Jak umie tyle ile umiałem, to dosyć.

Innego zdania był pan sędzia, który oddał syna do konwiktu OO. Bazylianów w Lubarze; chłopak nie chciał podobno uczyć się a urwisować lubił. Pewnej niedzieli przyjechał sędzia do kościoła, a po nabożeństwie poszedł złożyć swą atencję księdzu prefektowi i zarazem chciał syna obaczyć. Zaledwie przestąpił próg celi i księdza prefekta przywitał, a pater mu

impetycznie powiada: „Oj! złe kochany sędzio, syn pański wielki osieł, uczyć się nie nie chce.” „To zrobimy z niego księdza”—odparł urażony ojciec. — Śmieli się obecni a prefektowi aż uszy poczerwieniały ze wstydu, ale słusznie za niegrzeczność został ukaranym.

Wracając do pierwszego opowiadania, nie mam zamiaru utrzymywać, aby ubogi szlachcic miał być koniecznie ograniczonym, wszakże gdy z książki chleba jeść nie będzie, to i książkowego rozumu zbyt wiele mu nie potrzeba. Dość jeżeli będzie wiedział i rozumiał jakie są przykazania Bożkie i mógł rozróżnić enotę od hultajskiego szalbierstwa, prawdę od faryzeuszostwa. Jeżeli chrześcjanin zna bojaźń Bożą a słucha sumienia, to Anioł-Stróż doprowadzi jego duszę do portu zbawienia; na co rozum profesorski temu, kto profesorem nie będzie; prostaczkowi wystarczy prosty rozsądek, a wiara i uczciwość to grunt...

Stary jestem, pracowałem już dosyć, dopóki tylko sił starczyło i dzięki mojemu panu dobroczyńcy, który trzydziestoletnią służbę moją hojnie wynagradza dożywotnią gratyfikacją, chleba dziadowi nie zabraknie. Dla rozrywki więc a także dla nauki dzieci i wnuków, gryzmołę pamiętniki moje; może które z dzieci przeczyta kiedyś i dowie się z tych kart, że żyłem i pracowałem uczciwie dopóki siły służyły, na starość dopiero stałem się darmozjadem; bo dziad każdy gotów tylko do rady a zresztą do niczego—zawalidroga.

W każdej rozmowie z młodymi ludźmi nasłucham się do przesyty, jaki to teraz świat mądry. Trudno zaprzeczyć postępu, ale nam starym pochwały owe nie smakują wcale, gdyż zawsze z tych przesadnych pochwałek, jak szydło z worka wyłazi nagana dla nas

że byliśmy nie zaradni. Uchowaj Boże, abym w zaślepieniu grzesznej zawziętości chciał zaprzeczać chwale należnej ludziom zasłużonym; kwestye podobne nie są do roztrząsania dla szaraczkowej szlachty, a wrzecie i oczy widzą mądrość terażniejszą... o jedno tylko spierałbym się do upadłego, gdyby mi powiedziano żeśmy grzeszyli pyszałkowstwem i niewdzięcznością nieuczciwą.—Nie przeczę, że mogły być wyjątki złych temperamentów i dawniej, ale biorąc sumarycznie, rządzone się sumieniem bardziej za czasów mojej młodości jak teraz.

Mówią o ludziach, z którymi żyłem, o oficyalistach, że umieli dziesiątki lat służyć wiernie swoim panom, a pomimo ubóstwa, rąk chciwością nie plugawili. Dziś rozumniejsi może, ale dawniej bardziej wierzone w pomoc Bożą a łaskę Pańską, która nigdy nie zawodziła sług wiernych. Teraz każdy zaufany niby to we własne siły harmideruje nie przymierzając jak opętany, choć prawdy w tem ani za fenig; słuchając przechwałek nędznych, zdaje się, że świat nie mógłby egzystować bez tak dzielnej pomocy tego lwa pracy... a tymczasem jak przyjdzie mu orzech zgryźć... pszytyk... i jegomość co tak bureczał wspaniale o swych zdolnościach a pracy nadmierniej, w praktyce nie wart, z przeproszeniem, funta klaków, na niczem się nie zna i leniuch, w dodatku chciałby aby mu darmo płacono. Słuchając hałaśliwych przechwałek niejednego aspiranta do roli, myślałem w duchu: otóż to dzielny oficyalista; bywałem nawet nieraz upokorzony uznając się mizernym symplaczkiem w porównaniu z butnym agronomem, co lepiej znał się na uprawie roli, jak nasz organista na starym organie. Miałem zreczność

przekonać się nieraz o kłamstwie i dziś już na plewę fałszu nie dam się złowić.

Pewnego razu nasz pan hrabia przepędzał lato w Mydlińcach, a że zwykle przebywał za granicą, nie było więc w domu ani powozów eleganckich, ani koni cugowych. Kazał mi wybrać cztery konie z bronowłóków i temi jeździł. Choć był w wozowni powóz, ale tak ciężki, że małemi konietami trudno go udźwignąć. Jeździł więc hrabia nasz bryczką; choć pan z antenatów nie wstydził się skromnego zaprzęgu wcale.

Popasając konie w Babińskich karczmach, nudził się pan straszliwie zanim będzie mógł w dalszą dopiero puścić się drogę; aż w tem elegancka nejtyczanka zatrzymała się przed karczmą, konie cuganty, uprzęż porządna i szlacheć, właściciel zaprzęgu, rozkoszny.

Hrabia stał na podniesieniu i patrzył na przybyłego, który tonem rozkazującym wydawał rozporządzenia arendarzowi. Jestem pewny, że ów butny jegomość nie zupełnie był na trzeźwo, gdyż zwrócił się do hrabiego z dość poufałą rozmową, jakby do równego sobie. Hrabia, pan anielskiej dobroci, cierpliwy i wyrozumiały, jako człowiek niezwyklej grzeczności, odpowiadał na zapytania natręta puszącego się jak indyk. Ośmielony tem przybysz począł narzekać dosadnie na skąpstwo panów obywateli, że się na ludziach nie umieją poznać, a pracy niezmierniej oficyalistów oceniać; w całej tej paplaninie sensu było mało a prawdy ani za grosz. Słowem nagałał nie stworzonych rzeczy.

Hrabia milczał i ani myślał bronić niesłusznie napastowanych współobywateli, przez jakiegoś włóczęgę. Nowo przybyły nachwaliwszy się bez miary

i oczerniwszy niepoczeiwie chlebodawców swoich, za-
pytał nagle:

— Czy pan także za służbą jeździ i jak ja na po-
szukiwaniach zamęcza koniki?

— Nie panie—odparł hrabia z uśmiechem—służby
nie szukam, ale radbym sobie znaleźć dobrego czło-
wieka, praktycznego gospodarza a sumiennego oficya-
listę, o co w dzisiejszych czasach trudno.

— Pozwoli się pan dobrodziej zapytać, dokąd po-
trzebny jest rządca.—Wykrztusił zakłopotany już nie-
co, buńczuczny przed chwilą jegomość.

— Potrzebuję rządcy generalnego do dóbr moich
na Litwie, bo w kluczu Mydlinieckim sztab zarządu
skompletowany.

— A więc mam honor mówić z panem hrabią...—
i splasł w momencie jak pęcherz przekłuty scyzo-
rykiem.

— Tak panie—brzmiała krótka odpowiedź hrabiego.

Dalejże więc w prośby pokorne, aby go przyjęto,
i póty prawił o swojej nieposzlakowanej uczciwości,
pracowitości niezmordowanej, znajomości agronomii,
dopóki dobry nasz hrabia nie wydał rozkazu, aby do
Mydliniec przyjechał.

Jakoż nazajutrz nie omieszkał się stawić ów oso-
bliwy agronom i po rozpatrzeniu świadectw służbo-
wych, w których nasi panowie zwykle są hojni w po-
chwałach, by nie pozbawiać chleba biednej szlachty,
został przyjęty do etatu i odesłany do dóbr litewskich
na ekonoma.

W rok potem użalał się hrabia gorzko przedemną
na swego ekonoma, bo straszne tam porobił naduży-

cia; mówiąc po prostu, kradł niemiłosiernie naszego pryncypała.

Ej, nie na świadectwa należało patrzeć, ale na owe cuganty i butę, która skromnemu oficjaliście nie przystoi. Nie chwając się, służyłem u hrabiego lat trzydzieści kilka i ubogi jestem; gdyby nie dożywotnia gratyfikacya z łaski pańskiej przeznaczona, nie miałbym z czego wyżyć, chociaż o cugantach nie myślałem nigdy, rad że miałem podjezdki. Choć żyłem zawsze skromnie, trudno było coś złożyć na starość mając czworo dzieci, którym się dało odpowiednie naszej klasie wychowanie. Przy błogosławieństwie nieba, dzieci moje na własnym już chlebie, a pożyteczni ludziom, żyją w bojaźni Bożej i pracują uczciwie.

Wychwalają kolój żelazną, mnie zaś ona nie zupełnie zadawalnia.

Na własne oczy widziałem, na stacyi Żmerynka, worki z pszenicą tak zielone, jak flanela z zasianą dla zabawki rzerzuchą.

Aż żał było patrzeć, że dary Boże złożone na śniegu, przepadały nie mogąc się doczekać zaboru; gdyby choć dach je zabezpieczał od deszczu i śniegu, byłoby pół biedy, ale tak poniewierać ludzką pracę pozostawiając na polu, to się nie godzi! Cóż powiedzą kupcy odescy, gdy zobaczą zielone worki, oni, co tak bywali dawniej wymyślni w czyszczeniu i suchości ziarna? Bywało kłopotów dosyć, gdy pan hrabia kazał wysyłać pszenicę do Odesy; dobieraliśmy różnych sposobów, aby tym kapryśnikom komisantom dogodzić: zboże prześliczne, pszenica jak złoto a kupcy odescy jeszcze nosami kręca obliczając suchość psze-

niey na wagę *szkandatu*. Ciekawym jaką cenę dadzą za skuleczony towar. Człowiek nakłopotał się nie mało z dostawą wozami czumackimi i kosztowało to drogo, ale przynajmniej nie marnował się produkt, choć go czterysta wiorst wieźli. Dniestrem i galarami, bodaj czy nie było lepiej jak dzisiaj wagonem, którego doprosić się nie można, lub w pół zrosłe zboże dostawi.

Przyznaję, że koleją można prędzej, łatwiej i tańiej dostawić; cóż z tego, kiedy nim nabiorą, baba piechotą do Odesy zajdzie... Gdyby więc zarząd dróg żelaznych bardziej dbał o zachowanie zboża w należytym stanie suchości, oddałby wielką usługę; taka zaś jak obecna manipulacya przy dostawie, za ryzykowna jest dla gospodarza, gdyż może przepaść wszystko. Najlepszy wynalazek złe wykaże skutki, skoro lekceważenie cudzej własności i niedbalstwo nim kieruje.

.
Najmłodszego syna mojego Frania hrabia trzymał do chrztu. Chyba bym psi miał język, gdybym nie powiedział, że łaska pańska była wielką, dla wszystkich oficyalistów dóbr Mydlinieckich; mnie zaś jako starego sługę, wyróżniała bardziej. Gdy Franio miał się żenić, pan hrabia kazał się wstrzymać ze ślubem do swego powrotu z zagranicy. Jakoż gdy przyjechał, obdarował hojnie pochrześnika i własnym kosztem huczne wyprawił wesele. Niech mu Bóg wynagrodzi stokrotnie wszystko co hrabia dla nas uczynił, jak oto w codziennych modlitwach gorące prośby zanoszę...

Franio jak może wywdzięcza się swemu panu i dobroczyńcy, bo od czterech lat służy wiernie i zarządza folwarkiem. Dzięki Bogu nie jest on w niczem

podobny do tych młodych nowoczesnego kroju oficyalistów, z przebakierzonemi głowami, zawsze niezadowolonych, wiecznie stękających na swe losy a chciwych bez miary. Od dzieciństwa wpajałem w serca moich dzieci zasady moralne, szacunek i wdzięczność dla chlebobawców naszych w ogólności. Przy łasce Bożej dopiąłem celu, nie znają oni zazdrości grzesznej, ani zawiści względem bogatych panów i nie zlorzeczą swemu stanowisku w świecie. Powtarzałem im ciągle: pamiętajcie dzieci że czyste sumienie jest prawdziwym skarbem człowieka, starajcież się być z niem w zgodzie zawsze.

.
Nie ulega wątpliwości że w jednym dniu można sobie więcej wrogów przysporzyć, niż przez całe życie zjednać przyjaciół. Tęj prawdy doświadczyłem na sobie za jeden frazes złośliwy. Opowiem jak było:

We wsi do Mydliniec przyległej a należącój do dóbr hrabiego służył ekonom, człowiek jeszcze dość młody i rzutki, ale wielkie ładaco; miał on córkę szesnastoletnią, panienkę bardzo przystojną. O zdrotnych manipulacyach tego ekonoma w spichrzu i stodołę, dziwy opowiadali ludzie; złapany nawet na gorącym uczynku, umiał się zawsze zręcznie wyłgać przed panem rządcą, a że był sprytny, choć leniwy, służył trzeci rok w naszym skarbie, pomimo swego luźnego sumienia.

W dodatku dobrał sobie na prowentowego pisarza, młodego szalawilę zdemoralizowanego do cna, by we dwóch mogli łatwiej okradać hrabiego.

Trwało to czas jakiś, aż panna ekonomówna rozgorzała płomienistym afektem miłości do czarnych

wąsików pisarza i rzeczy tak jakoś pomyślnie się złożyły dla młodej pary, że rodzice zezwolili na małżeństwo. Czuli widać grosiwo w kaletach wzajemnie.

Po pierwszych zapowiedziach, gdy kilku moich znajomych wyszło z kościoła, rachmistrz, figlarz nielada, powiada do mnie:

— Ot, będziemy mieli weselisko, szykujże pan stare nogi do tańca.

Licho mi nadało na ten żart odpowiedzieć:

— Niema jeszcze dyspensy, to może i wesela nie będzie.

— Na cóż dyspensa, gdy nie istnieje żadne pokrewieństwo między młodymi?—odparł rachmistrz, nie domyślając się aluzji.

— Przepraszam—zawolałem głośno—ruble w kieszeni ekonoma teścia i ruble pisarza, przyszłego zięcia, są rodzonymi braćmi, bo z jednej i téj samej kasy ukradzione zostały.

Wszystcy w śmiech, ale później jak poczęli nawzajem dowcip mój opowiadać, doszło do wiadomości osób interesowanych; dziewięciu wrogów za jeden frazes pozyskałem, którzy poprzysięgli mścić się do końca życia. Doznałem też od nich niemało przykrości i gdyby nie łaska pana hrabiego, który potwarzam nie wierzył, byłoby źle ze mną.

Dobrze radzi stare przysłowie: „trzymaj język za zębami, będziesz jadał barszcz z grzybami.“ Słowo z ust ptaszkiem wyleci a szczęściu wołami napowrót go nie wciągniesz.

.

Gdy byłem młody i od świtu do nocy zajęty pilnowaniem dobra pańskiego, aby wszystko było w porę

zrobione i obsiane, wyhasawszy się na koniu po polach, lub namarzłszy się przez dzień cały w stodole przy młockach, wracałem do domu strudzony a posiliwszy się czem Bóg dał, zasypiałem snem kamiennym. Gdyby mi kto wtedy był przepowiedział, że kiedyś zamiast raportów tygodniowego omłotu, będę spisywał moje pamiętniki, roześmiałbym się mu w nos bez ceremonii. Gdzież prostemu człowiekowi brać się do pióra zabawnego, gdy się całe życie kwity tylko i rachunki dyspartementowe pisało. Ale zestarzewszy, przy braku sił do pracy, trzeba wymyślić sobie jakąś rozrywkę stateczną.

Latem łatwiej ją wyszukać; sadzę więc i sieję kwiatki, wypielam chwasty z rabatek, pilnuję pasieki w ogrodzie, lub usiadłszy pod lipą, równieńczyką mają, chwale Pana Boga, ze złotego ołtarzyka.

Dzień tedy za dniem przechodzi; ale gdy nastanie zima, dziad zaprzyjaźnia się z ciepłym piecem, a na mróz nos wychyli chyba w uroczyste święta, i to zakutany jak kopka siana, wyruszy do kościoła. Przykrzy się więc w izbie człowiekowi nawykłemu do ruchu i pracy; wziąłem się tedy do pisania tego raportarza. Nieciekawy on jest wprawdzie, jak owe historye po książkach, które kiedyś czytywałem, ale mnie bawi, papier nie drogi więc piszę jak mogę.

.

Nie mnie tak nie gniewa, jak złośliwe szkalowanie panów, przez terazniejszych oficyalistów. Ten taki, ten owaki, a płacą mało, a jakie ciężkie wymagania, jaka poniewierka godności człowieka, nikomu nie wierzą i t. d. Na wołowej skórze nie spisałbym tych niecných skarg i niewdzięczności, oszczerstwa miota-

nego na chlebobawców. Uszy wiedzna słuchając tych bredni kłamliwych. Nieraz jak zabraknie mi cierpliwości, wtedy powiem ostre słowa prawdy; za to nazwali mnie dzieciniałym dziadem, zaskorupałym w starem służalstwie. Niech nazywają jak chcą ci niby to rozumniejsi odemnie furfanci, a często i darmozjady szkodliwi. Prawda przedewszystkiem.

Gotów jestem nawet przyznać, że panowie obywatele dzisiejsi nie tacy są jak byli za czasów mojej młodości. Ależ, któż temu winien?.. Jużciż oficjaliści, co bez względu na obowiązek pilnowania dobra i mienia swych pryncypałów, myślą tylko o napchaniu własnej kieszeni i dogodzeniu egoizmowi. Są i teraz szlachetne i zacne wyjątki, ale rzadko. Większość oficjalistów zdemoralizowana, wątplych zasad religijnych a pragnąca używać; żyje też nad stan i z tego cała bieda wynika. Ci powiadają: nie weźmiesz na duszę, nie będzie na ciele. Zgroza!...

Możeż być co zgubniejszego od zasady: „gdzie konia kuja, żaba nogę nadstawia.” My oficjaliści starej daty, tego udawania panów nie znaleźmy i lepiej nam z tem było; bo każdy człowiek powinien żyć według możliwości i stanu, w jakim się urodził. Kto chce być szczęśliwym, musi umieć zadawałniać się tem co posiada. Młodzi zapomnieli o tem zupełnie, więc źle się dzieje. Widziałem nieraz na folwarku w mieszkaniu ekonoma fortepian, na którym pani ekonomowa lub panny ekonomówny rozbiły palce, dowodząc jakoby wyższej edukacyi, zamiast pilnować w kuchni obiadu, do którego trzymały kucharkę. Widywałem jakieś śmieszne, pretensjonalne figury zwane guwernantkami, co to niby po francuzku uczyły

dzieci ekonomiczne; choć pewnie i same nie umiały mówić nie tylko po francuzku, ale nawet w rodzinnym języku same niedorzeczności paplały. Do czegoż to wszystko się zdało?

U teraźniejszego ekonoma i mebelki za kosztowne i koczobryk być musi, chociażby podobny do gołębnika, byle budka imponowała.

Czemże są modne suknie ekonomowej, pałacej pa-pierosy. Blichrem i małpiarstwem pańskości, jak również żądanie aby ekonomowę, rządczynią tytułowano. Słowem, taka żona dla ubogiego szlachcica, jest ową żabą której podkucie drogo kosztuje, bo często nadwyreża sumienie.

Na cóż fomy pańskie gdy intraty dziadowskie? Przy wielkich wymaganiach różnorodnych wygod, gdy każdy pragnie używać wszystkich przyjemności świata, naturalnie że pensya oficjalisty nie wystarczy na te zachcianki pańskie; ztąd narzekania na los; na małą płacę, zawieść i niechęć ku bogatym, lekceważenie obowiązków przyjętych, a nawet często nadużycia i zdrada zaufania, gdy pieniędzy nie starczy.

Panowie zaś pozbawieni wiernych, życzliwych i dobrych sług — bo te co są zmieniają co roku miejsce służby w pogoni za wymarzoną posadą — nie mają obowiązku opiekowania się nieprzychylnymi ludźmi a ze swego punktu widzenia rzeczy oraz wartości, nie czują usposobienia do marnowania łask lub protekcyi. Płacą pięknym za nadobne, za chciwość objętnością i podług mego prostego zdania, jakim prawy katolik, postępują sprawiedliwie.

Oficjalista starzej daty zdobywał łaskę pańską uległością, wiernie przywiązanym sercem wkupywał

się do tego zaczęty, pracując przez długie lata służby ucziwój, czasami przez dwa pokolenia nawet jeśli Bóg życia i zdrowia używał; to też chlebowawcy wzajemnieli się wiernemu słudze, za serca sercem, i nigdy panowie nie pozostawali dłużnikami szarackowej szlachty; często syn pielęgnował stare rodziców sługi... Teraz ekonom mianujący się agronomem, nigdzie długo miejsca nie zagrzeje; choć na miejscu tylko kamień porasta... Przyleciał lokomotywą a po roku pobytu, jużby balonem rad wylecieć szukać gruszek na wierzbie. Ciągłe zmiany w gospodarstwie dla obu stron nie korzystne. Jak robią tak też mają, któżby się chciał troszczyć wiatrogonem i szalawilą hardym, jakby wszystkie rozumy świata posiadał. Oni to nazywają godnością osobistą; kłaniam uniżenie za taką niegodną godność próżniaka. Młodzi oficyaliści nie mają pojęcia o należnem panom respekcie, a poszukując służby, omal że nie domagają się aby ich przyjmowano na panów. Pragną rozkazywać a sami słuchać nie chcą. Et, rozgderalem się dzisiaj bo mam rację i ganię tych których kocham... nigdy w oku brata i bliźniego nie szukałem słomki fatalnej, tylko że prawda zawsze musi być gorzką...

.

Wczoraj hrabiostwo przyjechali i zamierzają w Mydlincach wyprawić wielkie polowanie jesienne, przybędą z galicyi goście zaproszeni.

Porządkują więc w starym dworze, cała służba w ruchu, posłańce konni wyprawiają się w rozmaite strony... rwetes okrutny. Ja tylko stary siedzę w swoim dworku, nie mając sił być użytecznym.

Żle być niedołężnym. Pani hrabina przywiozła mi

z Krakowa prześliczną książkę do nabożeństwa. Szkoda że książka tak bardzo ładna, modliłbym się co dnia na niej za zdrowie pani i pomyślność rodziny, bo modlitwy takie jakieś rzewne, jakich nigdy nie czytałem. Zachowam tę drogą pamiątkę na wielkie uroczystości, by nie uszkodzić oprawy moją grubą ręką: modlić się zaś będę jak zwykle na starym Złotym Ołtarzyku, który prawie umiem na pamięć.

Pani hrabina wezwała mnie do siebie i kazawszy usiąść wypytywała troskliwie o moje zdrowie i potrzeby: czy czego mi nie brakuje? chciała wiedzieć jak się powodzi moim dzieciom i wnukom, które pamięta łaskawie, poczem ofiarowała ową książkę. Nie umiałem słów znaleźć na podziękowanie za tyle względów i aż się rozplakałem z rozrzewnienia. Nasza hrabina to prawdziwy anioł dobroci i miłosierdzia, pani cnót wielkich a serca chrześcijańskiego. Słów na wiatr nie rzucam, gdyż znam ją od lat przeszło dwudziestu i niezliczoną ilość dobrych uczynków... cześć taką panią należy a podziwiać skromność godną naśladowania. Gdyby tak tylko niepodróżowali ciągle — bo to kosztuje wiele pieniędzy i gospodarstwo zaniedbuje się strasznie... niema nas komu pilnować a na pędzać do obowiązków, nie miałbym nic do zarzucenia... Hrabia godny obywatel i ojciec troskliwy może za hojny nieco w wydatkach... ha trudno być doskonałością, każdy człowiek musi mieć swe wady i ułomności — magnata nie wypada mierzyć kapotowym łokciem, pańska natura musi mieć odrębne zwyczaje.

.

Całe lato nie pisałem mojego raptularza, widocznie że już rozleniwiałem na emerytalnym chlebie, w do-

datku oczy odmawiają posługi. Ale mam rzecz arcy-ciekawą do zanotowania, więc znowu orzę gęsią kopystką.

Słusznie powiedziałem, że ludzie teraz porozumnieli okrutnie; jak oni dochodzą takich sekretów. Istne dziwa! Z Wiednia hrabia przysłał dowcipną maszynę do której zaprzęga się para koni, a ona różnie jak najęta robotnica i dla tego nazywa się żniwiarka. Patrząc na tę manipulację wierzyć własnym oczom nie chciałem, nałożyłem okulary, różnie jak ręką ludzką; patrzę gołem okiem, różnie aż miło; osłupiałem z podziwienia a maszyna tnie zboże tak szybko że aż strach zbiera. Tęga głowa wymyśliła narzędzie, gdyby tylko konie nie potniały, byłaby rzecz co się zowie, kapitalna; ale konie! konie okryły się pianą isticie w mydlinach całe. Zrobiłem o tem uwagę a pan rządca powiada: Czyż baba jak różnie nie potnieje także? Zawstydzilem się mojego zarzutu i umilkłem. Aż naraz słyszę na przedzie straszny krzyk, pospieszam na miejsce wypadku i cóż zastaję? Oto parobek, nieostrożny a rozwydrzony widać, jak zaczął chodzić a zaglądać a poprawiać niby przy żniwiarce nie uważnie, w tem konie ruszyły i odcięły chłopakowi nogę tak straszliwie że tylko na żyłach się trzymała. *) Ciężko mi się żal zrobiło młodego nieszczęśliwego parobka jęczącego okropnie z bólu straszego. Rwetes zrobił się wielki na polu, rządca posłał do miasteczka po doktora, a ja nie mogąc wytrzymać rozżalony nie-

*) Wypadek autentyczny we wsi sąsiedniej Rybczyńcach, gdzie żniwiarka odcięła nogę ekenomowi, obecnie chodzi on na szczudle.
(przyp. autora).

szczęściem powiadam: Panie rządco baba jakźnie pszenicę to nóg sobie nie odcina przy robocie. Wiedziałem że rządca nie kontent był z mego frazesu, ale mi także nic nie odpowiedział.

Tak to Bóg Wszechmogący świat cały mądrze urządził; człowiek ledwie nastarczyć może z podziwieniem patrząc na cuda wszelakie, gdy się nad niemi zastanowi cokolwiek. Wszędy rozsypane cuda i łaski nieprzebrane! Świat idzie naprzód, jednc się udoskonała rozumem ludzkim, drugie zużyte znika z widoku; Tę uwagę stosuję do starości.

Może być coś sprawiedliwszego nad nieugięte przeznaczenie, że gdy człowiek zniedołężnieje pod brzemieniem lat, musi ustąpić miejsca młodszemu. Wszystko się wkoło niego zmieniło i ludzie i pojęcia i potrzeby i przyzwyczajenia, tęskni on za tem co minęło bezpowrotnie; niezadowolony ze wszystkiego co go otacza. Życie staje się nieznośnem. Młodzi wyśmiewają starca, świadka odmiennych czasów, on dla nich obcy; stary młodych unika i nie przyswaja sobie nowego porządku rzeczy, nie rozumieją się wzajemnie i jak wrogowie krzywem okiem politowania spojierają na siebie. Zgoda nie możebna, gdyż wiele zmian i lat szereg długi rozdziela dwa pokolenie jedno; chce górować doświadczeniem, drugie postępem wiedzy.

Dziś czuję się zupełnie obcym wśród nowych ludzi, bez dawnych przyjaciół, sierota... smutno mi bardzo na świecie.

Dziś się wola Boża! Rad jestem że kres mój pielgrzymki niedaleki; dzieci już nie potrzebują ojcowskiej opieki, byłbym im może ciężarem.

Tyle tylko mogłem odczytać z pamiętników starego ekonoma, reszta pisania drżącą ręką, blademi literami, nie dała się odcyfrować.

II.

Lato dobiega do połowy, a ja dotąd nie zdążyłem jeszcze uregulować mojego gospodarstwa w Mydlińcach. Sąsiedzi pomawiają mnie o opieszałość lub niekompetencję w rolniczym zawodzie, gdy bez wytchnienia mocuję się z przeciwnościami nie odłącznemi od każdego początku.

Młody jestem, może więc rzeczywiście za mało posiadam doświadczenia w zawodzie agronomicznym, wszakże na usprawiedliwienie siebie mógłbym przytoczyć przysłowie, że Kraków nie od razu zbudowany; po cóż więc ciskać gromy potępienia?... Wprawdzie Mydlińce mniejsze od małego Krakowa, lecz „siły i środki” należy brać także w rachubę.

Pomimo więc wszelkie za i przeciw, spotkała mnie najprzód surowa krytyka szanownych sąsiadów. Gdybyż choć u nich był ład wzorowy... ale gdzie tam, też same wady i braki ogólnego zarządu, podobne myłki i przepuszczania jak u mnie w administracji rolniej, widzi się wszędzie. Tylko, że pan Jan cieszy się od dawna mianem dobrego gospodarza, a p. Paweł posiada łatwą wymowę i głos decydujący, więc nikt nie śmie prawdom uznanym zaprzeczać. Oba odłужeni płacą żydom wysokie procenta, ale opinia parafialna zamianowawszy ich luminarzami okolicy, szczycić się musi obu obywatelami.

W sprawach ziemiańskich, krytyka tak samo jak w świecie literackim najsurowszą bywa zawsze dla nowych przybyszów. Każdemu bowiem z dawna osia-

dłych mieszkańców wydaje się, że przybysz czyha na ich dobrą sławę i jako wróg bywa traktowany...

Na wstępie więc przeszedłem wiele nieprzyjemności z tego względu, osiadłszy w Mydlinicach i dotąd sączę te krople goryczy najniewinniej.

Urodzeni w swoich majątkach dziedzice dowiedziawszy się o nowo zamieszkałym dzierżawcy w sąsiedztwie, poczęli względem nieznajomego najgorsze manifestować tendencje. Od żydów arendarzy, od przekupniów z miasteczka dowiedzieli się rzeczy niebywałych i na tych fałszywych podstawach ferowali wyroki nieżyeczliwe. Przez parę miesięcy krążyły o mnie najsprzeczniesze wieści. Jedne wieści głosiły, że służyłem za ekonoma u pewnego księcia i tam zebrawszy tajemniczymi sposobami znaczny kapitał, poszedłem na własną dzierżawę Mydliniec. Inne znowu relacje zamianowały mnie wywłoką z klasztoru bernardynów po otrzymaniu spadku, który miał mi zapisać testamentem jakiś krewny bezdzietny. Krążyły nawet w końcu i takie wieści, że podczas wojny tureckiej konwojując prowiantowe podwody, złupiłem nieżywego baszę, który miał przy sobie kilka tysięcy lir złotych i cenne kosztowności. Ten ostatni domysł wynikł zapewne z tego względu, iż widziano u mnie jedną monetę złotą turecką, którą kupiłem u żołnierza powracającego z Bulgarii.

Łatwo sobie można wyobrazić jak nieufnem okiem patrzono na mnie, a zwłaszcza wiedząc, że wzrok ten był z góry źle uprzedzony.

Podejrzenia krzywdzące ściagały mnie bezustannie; w kościele odsuwano się demonstracyjnie w ławkach, gdy siadłem na swobodnem miejscu; w biurze poczt-

wem listy pieniężne leżące na stole, powracały do rąk troskliwych o całość zawartości. Na jarmarku koń, którego sprzedałem, gdyż był za ostry do dyszla, uznany został za dychawicznego a nowonabywca oświecony w tym względzie przez swoich najserdeczniejszych, zażądał zwrotu pieniędzy zapłaconych po konferencji z przyjaciółmi i t. d. Słowem wszędzie spotkała mnie jakaś złowroga nieufność i niepowodzenie, którą w niewiadomości rzeczy składałem na karb fatalizmu, lub też wyjątkowego zbiegu złych okoliczności. O systematycznym prześladowaniu, o złośliwym podkopywaniu mojej egzystencji, o pozyskaniu wrogów prześladowców, którym nie a nie nie zawiniłem, a którzy pomimo to ryli jak krety miny podziemne, nie miałem wyobrażenia.

Trzymając się nawet ząb za ząb, oko za oko i nie znając miłosierdzia, ani też przebaczenia chrześcijańskiego, dziwić się należy jakim sposobem człowiek obcy, nieznany, który ani źle, ani dobrze nikomu nie uczynił, jak mówią, człowiek taki podlegać może niewinnie zemście w imię tylko zwyczaju solidarnego prześladowania przybyszów.

W życiu prowincjonalnem ohydne to prawo egzystuje, równie okrutne chociaż mniej usprawiedliwione jak przywilej doraźny amerykańskiego *lynchu*. Zdałoby się, że idea braterstwa w Chrystusie, lub poczucie ludzkości i tolerancji jedнопlemiennej, powinnyby bronić od niesłusznych napaści przybysza, otaczając go współczuciem i zachętą okolicznych sąsiadów, a tymczasem spotyka chłód, dumę i często oszczerstwo nawet. Kto rozwiewa krzywdzące baśnie? Kto! śmie uwłaczać honorowi? Nie znajdziesz winowajcy.

W powietrzu tkwi owa wieść kłamliwa zatruwająca myśl jak sirocco.

Wiatrom, żywiołom niepodobna stawić czoła, stajesz się bezbronną ofiarą prześladowców.

Nie ręczę czy tak jest wszędzie, lecz ja cierpkie doświadczenia owoce zebrałem w okolicy mojej dzierżawy fatalnej. Wobec podobnie wrogich niechęci najkorzystniejszy interes obrzydnie i nie wynagrodzi moralnych cierpień upokorzeniem obrażonej ambicji. Lecz kontrakt dzierżawny mnie wiązał i przykuwał do miejsca, musiałem cierpieć niewinnie.

Żeby raz na zawsze przeciąć wątek domysłów, podaję moją biografię.

Jestem potomkiem staro-szlacheckiej polskiej rodziny, osiadłej od dawna w Bessarabii, gdzie mój ojciec posiadał dwie duże wsie, na których gospodarował. W skutek podziału fortuny na pięć głów rodzeństwa rozdrobniła się ojcowizna, obciążona nieco długami zaciągniętymi na nasze wykształcenie umysłowe. Pobieraliśmy nauki w Odessie, a to nie mało pochłonęło pieniędzy, po podziale zaś majątkowym rozpierzchnęliśmy się po świecie, szukając dachu i chleba. Reszta już wiadoma, pojechałem na Kijowskie kontrakty i zawarłszy tam dzierżawną umowę z hrabią, zamieszkałem w Mydlińcach od wiosny.

Z tego łatwo można było wnioskować, iż nie miałem jeszcze czasu ani na dobre, ani też na złe uczynki. Niechęć zaś sąsiadów, o której już mówiłem, wynikała z pomimowolnych zadrasnień miłości własnej, wygórowanej u niektórych indywiduów, którym się uroiło iż nie dość skwapliwie składałem im sąsiedzką atencją.

Bóg świadkiem, że w pierwszych tygodniach mego zamieszkania w Mydlińcach tyle miałem roboty, iż o natychmiastowych czolobitnych wizytach pomyśleć nie mogłem. Zdawałoby się, że każdemu powinno być wiadomem, ile wszelka przeprowadzka nadwyreża materyalną sytuację, ile początkujące zagospodarowywanie się kosztów i pracy przysparza, pomimo to jednak, niejedne usta buchnęły gniewem piorunującym... Groźne niechęci dochodziły mnie zewsząd.

Nie było innéj rady, postanowiłem dać się poznać i wybrałem się do najbliższego sąsiada pana Gałkiewicza z pierwszą i najpierwszą wizytą.

Przyjęto mnie nader uprzejmie, serdecznie, nawet jak zwykle z gościnnością staropolską; byłem zdumiony życzliwym przyjęciem zadającym kłam rozwijanym złośliwie oszczerstwom.

Gdy rozkoszowałem się myślą, że nie tak jest źle jak mniemałem, Gałkiewicz składając rewizytę pod wielkim sekretem opowiedział mi, że pan sędzia z Zieleniec czuje się mocno dotkniętym, iż nie jemu pierwszemu złożyłem atencję, a co mu się z prawa wieku, urzędu piastowanego niegdyś i ogólnej konsyderacyi powietników niezaprzeczenie należy.

Nieukontentowanie sędziego widoczną sprawiało radość mojemu gościowi; zadowolenie wewnętrznej dumy tryskało z oczów, gdy opowiadał o gniewie sędziego. Przed wyjazdem Gałkiewicz ściskając mnie po raz setny udzielił rady, abym nie zważał na dasy pana z Zieleniec, a nawet życzył nie zabierać znajomości z nieznośnym pyszałkiem mianującym się pierwszą figurą w okolicy i nie szczędził czarnych kolorów dla byłego dygnitarza, upewniwszy po raz tysięczny

o swęj niezmiernęj sympatyi dla mnie, odjechał zadowolony.

Nie będąc wcielonym w zatargi parafialne, nie myślałem korzystać z rad protektora; co więcęj zachęcony pierwszem przyjęciem pragnąłem naprawić złe, które już stało i wybrałem się nazajutrz w odwiedziny do szanownęj rodziny sędziego, z myślą że zdołam zażegnać burzę wiszącą nad moją głową. Ubrany we frak, jak tego wymaga zwyczaj pierwszęj wizyty na wsi, wyruszyłem po południu do Zieleniec.

Dwudziesto wiorstowy kawał drogi miałem do przybycia. Dzień był piękny, okolica malownicza, wegetacya bujna i obiecująca obfite plony; wszystko to harmonijnie połączone, usposabiało mi humor do wesolosci. Nie posądzajcie mnie tylko łaskawi czytelnicy o jakieś ekliwe poetyczne gusta... Broń Boże!... Jestem ostatnią edycyą realistycznęj szkoły, a zatem daleki jak biegun północny od wszelkich romantyczno-poetycznych skłonności i ekstazy lirycznęj.

Klnę się na szacunkową wartość metalicznego rubla, że nigdy żadnych nieokreślonych wrażeń nie uznawałem i nie doznawałem, także fałszywego apetytu wobec malowanych na płótnie owoców, chociażby farbą olejną.

Patrzyłem na świat i na sprawy jego okiem trzeźwym, czując się dumnym wobec entuzyastów wzbu-
dzających politowanie. Tak zwanym wielkim panom wolno jest bawić się poezyą, jak udawaniem angielskich lordów podczas wyścigów, wolno w chłopakach pasających cieleńa dopatrywać przymiotów arkadyjskich pasterzy, ale niezamożnemu dzierżawcy to nie

uchodzi wcale. Od kiedy żyję, Arkadyi nie widziałem i nie wiem jakie tam są cnoty; ale co nasi cielętnicy to wiem, że są tacy wisusi iż często trzeba im kręcić uszy, by jaki taki rygor utrzymać.

Przy tych danych gdzież mi tam brać się do poezyi!... Horyzonty poetyczne widać tylko z za kryształowych okien pałacowych, po objedzie wykwintnym, przez obłoki wonnego dymu cygar hawańskich... słowem z wysokości kapitału, próżniactwa i konfortu... Inaczej ani rusz uwierzyć w brednie panów poetów, chociażby się taki panem Wirgiljuszem raczył nazywać. Takie mam przekonanie i przyznaję się otwarcie; wiercie mi państwo iż bardzo jest przyjemnie mieszkając w pięknym Kastelu, chociażby i nie nad Renem on był położony, rozkoszować się imaginacyjnem przebywaniem w chatce kmiotkowej, stąpając rozumie się po perskich kobiercach, tonąc w fantastycznych rojeniach rozleniwiałej wyobraźni, przetwarzając nędzną chatkę w przybytek sielankowych rozkoszy. Że z piętér pałacowych świat daleko piękniej wygląda, sam, jeden raz w życiu miałem zřeczność przekonać się, ale wtedy gościnnie podejmowany przez bogatego kolegę z uniwersytetu, paliłem na balkonie pół rublowe cygaro... Żeby mieć możność odczuwania poetycznych zachwyćów, potrzeba posiadać bardzo wiele pieniędzy, a co za tem idzie, żadnych nie znać trosk życiowych, inaczej na Olimp ani rusz z pustą kieszenią... Mnie zaś los skąpy wydzielił skromną rolę dzierżawcy, którą chociaż nieskończenie lepszą jest od stanowiska pastucha, ale nie nadaje wszakże bynajmniej prawa do sentymentalnych poetycznych zachcianek. Twarda rzeczywistość, nieustanne mocowanie się z prze-

ciwnościami różnorodnemi i walka o byt jest moim udziałem. Pod pieczęcią sekretu mógłbym się przyznać przyjacielowi, że mocno żałuję iż fortuna nie umieściła mnie na stanowisku z któregobym mógł ogartywać poetyczne horyzonty.

Dziś trudna rada, muszę być realistą i w pocie czoła trudów dzierżawcy, ze skiby Mydlinieckiej dobywam chleb powszedni... Tak rozmyślałem patrząc na świat Boży chłodną żrenicą a jechałem do Zieleniec sędziego. Konie biegły kłusikiem drobnym po drodze suchej a równej, nie zważając na piskliwy szczebiot skowronków, który ani mnie ani koni moich nie rozrzewniał. Słowikom dużego ogrodu w Zielenicach nie udało się również zwrócić naszej uwagi, mineliśmy ogrodowe osztachetowane kłaby i stanęliśmy przed gankiem domu pana sędziego. Wyskoczyłem z powozu — gdyż każdy obywatel wiejski powozem jeździć powinien — i wszedłem do przedpokoju w którym nie zastałem nikogo. Począłem tedy sam sobie otrzepywać kurz z ubrania i gęstą czuprynę przyprowadzać do porządku.

W chwili gdy byłem pilnie zajęty grzebieniową manipulacją rozwarły się drzwi i wyjrzała zaciekawiona twarzyczka, a ujrzawszy widać nieznaną jakąś figurę, znikła natychmiast.

Jestem mocno przekonany, że mało który z łaskawych czytelników widział kiedy równie piękną kobietę, jak było wabne i uroczne te chwilowe zjawisko. Nie mówię o ludziach żonatych, gdyż ci znaleźli już ideały w swych czcigodnych małżonkach; zwracam się głównie do kolegów kawalerów, z których każdy zapragnąłby natychmiast poślubić wiekuiście właścicielkę

owój zachwycającej twarzyczki, którą w drzwiach rozwartych widziałem. Tak wnioskuje po biciu własnego kawalerskiego serca i zapaleczywem postanowieniu, iż gdyby panienka owa podała mi dłoń przyzwolenia, to nie wchodząc nawet do pokoju ruszyłbym z nią natychmiast do najbliższego kościoła i tam zaprzysiągłbym może dozogonną miłość, rozumie się gdybym w drodze nie odkrył jakich wad szpetnych. Że zaś dotąd byłem w gustach wybrednym, świadczy fakt, iż jeszcze nie pojąłem małżonki; suponuję więc, że i wszyscy bracia w kawalerstwie błogiem pozostający, nie mniej wymyślni w upodobaniach odemnie, postąpiliby tak samo. Nie spodziewajcie się tylko szanowni państwo, abym zabrał się do opisywania wdzięków pięknej nieznajomój, gdyż o tem ani myślę. Później nieco, po głębokiej rozwadze, na gorące żądanie człowieka nie żonatego, zdecydowałbym się może udzielić adresu wsi Zieleniec, ale dziś, gdy sam jeszcze nie wiem co postanowię we względzie méj własnej figury i to jest niepodobieństwem, *prima charitas ab ego*.

Winienem dodać, że tak mi jakoś ślamazarnie zrobiło się w sercu, jak nigdy jeszcze nie bywało; przytém dziwna opanowała mnie chętką, by który z poetów pożyczył mi swój umiejętności rymowania, gdyż zapragnąłem mówić do niej wierszami, niemi chciałem uczyć jęj piękność anielską; zwykła mowa dla zwykłych ludzi właściwa; do niej zaś jako do zjawiska fenomenalnego tylko rymować, lub śpiewać jak w operze można, słów powszednich używać nie wolno.

W braku łatwości rymowania myśli własnych, usiłowałem przypomnieć jakąś piosnkę na intencję piękności zktórą niebawem miałem rozmawiać; po długich

wyrażeniach pamięci przypominałem sobie nareszcie te słowa z piosnki słyszanej: „Kochaj, kochaj mnie, Modrych żenie dwie.” Mam... ale co mianowicie, jako żywo nie wiedziałem jak nawiązać zerwany wątek, by dokończyć kupletu. Więc strof ani rusz było przypomnieć, słowa ugrzęzły w styksowej zapomnienia fali, tylko początkowa prośba: kochaj, kochaj mnie, brzęczała natrętnie. O czymże będę z nią mówił pomyślałem z przestachem i przekląłem wszystkie poetyczne utwory i poetów, co wymyślali takie frazesa i piosnki, które nie trzymały się mojej szlacheckiej głowy i... wszedłem do pokoju.

Znalazłem się oko w oko z niemłodym mężczyzną o dumnym wyrazie twarzy i wyraźnie zadowolonym z siebie. Pan ów wzrokiem badawczym zmierzył mnie od góry do dołu i Jowiszowy mars sfałdował wyniosłe czoło szlachcica. Miałem pewną minę zakłopotaną a może i trywialną nieco, bo uczulem instynktowne niezadowolenie z siebie i niezgrabnego zaprezentowania się sędziemu. Wypadało naprawić niefortunne wrażenie, ale jak?... Na szczęśliwy zbieg okoliczności i umiejętne skorzystanie z owych, polegać trudno człowiekowi który zaledwie dwa wiersze piosnki zapamiętać zdołał. Znalazłem się od razu w rozpaczliwej pozycji.

— Czy mam przyjemność mówić z panem sędzią — zapytałem jakająco jak uczeń nie umiejący lekcji.

— Tak panie, jestem gospodarzem domu — odparł zapytany nie rozechmurzając zasępionej twarzy.

— Jestem N., zamieszkałem od trzech miesięcy w Mydlińcach i przybyłem jako sąsiad złożyć powinne uszanowanie panu sędziemu dobrodziejowi?

— Bardzo mi jest przyjemnie pana poznać — wyrzekły sędziowskie usta a oczy błysnęły gniewem i ruchem ręki wskazał rozkazująco na krzesło, które potulnie natychmiast zająłem.

Początek znajomości był fatalny, rozmowa którą podtrzymywałem z wysileniem rwała się ciągle i kulala straszliwie. Temat o pogodzie wyczerpał się rychło, służąc nie szczególnie, a ja co moment spojrzałem na drzwi ażali nie ukaże się w nich śliczna twarzyczka nieznajomój boginki; lecz drzwi jak zakłète ani drgnęły, a nie mogłem przyjsć do równowagi umysłowej wobec ciągle namarszczonego czoła gospodarza.

Próbowałem rozmaitych tematów, ale żaden z nich nie rozjaśnił oblicza sędziowskiego, humor jego był kwaśny jak ocet siedmiu złodziei.

Z irytacyi nerwowej zasychało mi w ustach, wizyta stawała się nieznośną. Gdyby nie ukazanie się cudnej twarzyczki, byłbym odjechał po kwadransie tych wizytowych męczarni, ale szło mi teraz o zawiązanie bliższych stosunków z sędzią, złożyłem więc na ofiarę miłość własną, przeklinając w duchu niewinnego Gałkiewicza, którego obwinilem najniesprawiedliwiej za wszystkie niepowodzenia moje.

Wpadliśmy nareszcie na tok spraw gospodarskich, pan sędzia począł rozwijać system agronomii postępowej i stał się mówniejszym nieco.

Wychwalałem wszystko w Zieleńcach, prawdę powiedziawszy pochwlebiałem na potęgę, ale co mi tam zważać, gotów byłem na wszystkie dyplomatyczne wybiegi, byleby postawić na swoim, to jest poznać piękną rusalkę. W dymie chwalczych kadzideł, poczęło tajać serce sędziowskie, z czego niewymownie czułem

się uszczęśliwionym. Wszedłszy na rozdroża fałszu i pochlebstw, rozgorączkowany nędznem powodzeniem momentu, straciłem poczucie ambicji i zdecydowałem się na kłamstwo pozornie niewinne, ale w gruncie rzeczy nie przynoszące mi wcale zaszczytu: powiedziałem bowiem półsłówkami, że mi doradzono oględność w wyborze nowych znajomości w sąsiedztwie, gdyż niektóre osoby z okolicy są niemożliwe dla stosunków nawet etykietalnych.

Nie spodziewałem się, aby ten zawikłany frazes był tak przezroczystym dla postępowego gospodarza, który gwałtownie zawołał:

— Poznaję mego wroga! Cóż więcéj panu jeszcze powiedziano?

— Nie, tylko ów ogólnik bezbarwny, który dla mnie żadnego niema znaczenia—odparłem pomieszany spuszczać oczy lękliwie.

— Ja go jednak rozumiem doskonale — mówił sędzia sapiąc—do mnie to strzelano z za płotu i wiem, że nikt inny nie śmiałby tego powiedzieć kłamstwa, tylko ten beczelny Gałkiewicz.

Wybąknąłem coś niezrozumiałego w obronie napastowanego Gałkiewicza, ale sędzia wybuchnął takim oburzeniem, że musiałem zamilknąć nie chcąc się narażać.

— Pan tu zamieszkałeś niedawno — prawil rozda-sany sędzia ochłonawszy nieco z impetycznego uniesienia—muszę więc pana objaśnić w niektórych sprawach miejscowych i zatargu wynikłym pomiędzy mną a Gałkiewiczem. Żyliśmy z sobą, zdawało się w najlepszej harmonii i zgódzie, ufałem temu faryzeuszowi nie domyślając się jakie to jest złe ziółko, dopóty, dopóki

mniemana poczeiwość Gałkiewicza nie była wystawioną na próbę. Powód do niechęci był nie uzasadniony i błachy, opowiem więc panu rzecz całą jako prześtrogę.

„Przed dwoma laty prosiłem księdza proboszcza, aby mi pozwolił postawić w kościele ławkę, za to obowiązałem się dawać każdorocznie po rubli dwadzieścia pięć do kasy kościelnej. Ksiądz przyjął ofiarę i ławkę kazał postawić w presbiterium. Jak tylko Gałkiewicz o tem się dowiedział, natychmiast zapragnął umieścić i swoją ławeczkę, na co proboszcz tłumacząc się brakiem odpowiedniego miejsca, zezwolić nie mógł. Obrażony tem Gałkiewicz, dopatrywał w odmowie księdza moją intrygę i zaprzysiął zemstę. Odtąd ustawicznie prześladowuje mnie wszelkimi sposobami i szkodzi gdzie może. Szczęściem że nie posiada zaufania, ani wpływu na okolicznych mieszkańców, którzy nim gardzą, szkodziłby mi więcéj, a tak rad nie rad ograniczać się musi na niskiem oszczerstwie i pociskach szpilkowych chybiających celu. Czyny moje i zasługi znane są w całym powiecie, czego dowiódł nawet pożegnalny obiad, jaki wydali z dobrowolnych składek współobywatele, gdy składałem urząd sędziego. Na ową ucztę powiatową wkręcił się i Gałkiewicz, widocznie z zamiarem zamącenia owacyjnej fety. Siedząc przy biesiadniczym stole przemyślał nad złośliwym zamiarem, ale źle obliczył i został ukarany. Mów i toastów było bez liku, jeden z mówców czy to rozegrzany winem, czy téż nie dość wprawny dla swady, uniósł się trochę w pochwałach i zawołał:

— Taki urzędnik jak czcigodny nasz sędzia, jest

chlubą całego powiatu, kraj cały winien mu wdzięczność a nawet Europa.

„Na te słowa powstał z miejsca Gałkiewicz i krzyknął: Ja składam podziękowania w imieniu Portugalii panu sędziemu!..

„Drwiący ten frazes pokryły głosy ogólne: Precz z Gałkiewiczem! Wyrzucić go za drzwi z naszego koła! Musiał się wynieść rychło, by nie został poturbowanym, gdyż nie wiele do tego brakowało. Naraził się zaś wszystkim.

„O ławce Gałkiewicza nigdy z księdzem nie mówiłem ani słówka, i temu przecie winien nie jestem, jedno tylko było swobodne miejsce.

„Gdybyśmy jednocześnie nawet swe żądania przedstawili proboszczowi, to i wtedy wybór wypadłby na moją korzyść, jako przywilój dany człowiekowi zasłużonemu w powiecie; musiało się stać zadość sprawiedliwości, a tém gorzej przecie byłoby rażącém, gdyby moja ustawiona już ławka dla kaprysu Gałkiewicza wyniesioną została, jak tego bezczelnie śmiał się on domagać. Ksiądz więc postąpił sprawiedliwie i rozumnie, bo odmówił stanowczo. Osądź pan bezstronnie kto winien?..

Rozumie się przyznałem wszelką słuszność sędziemu i widocznie że zostałem zaliczony do stronników, gdyż gospodarz o wiele uprzejmiej począł mnie traktować. Widziałem że na termometrze sędziowskiego serca, akcye moje poszły w górę i to tak znacząco, że gdy okazałem zamiar wyjazdu, sędzia zatrzymał mnie na herbatę. Była to uprzejmość niespodziewana po kwaśnem przywitaniu na wstępie.

Herbatę przyjąłem w nadziei, bo, że może piękna

Hebe przyjdzie ją nalewać, ale niestety, przyniesiono tacę z nalanemi szklankami, co mnie w fatalny wprawiło humor. Pomimo to jednak herbata wydała mi się tak wyborną, jakiej nigdy dotąd nie piłem.

O gdybym wiedział w jakiej kryjówce mózgu czy serca ukrywa się miłość, która mi tyle mąk zadaje, wyrwałbym ją bez litości... Lecz po bliższem zbadaniu tej siły wszechpotężnej, przekonałem się, że miłość ogarnęła całą moją istotę, wszelką władzę woli, że musiałbym chyba odrodzić się na nowo, by zostać uleczonym radykalnie.

Ciężkich, smutnych i wesołych na przemian przeżyłem trzy miesiące zrozpaczony w domu, a szczęśliwy tylko w Zieleńcach, zapatrzony z ekstazą w piękne oczy parny Zofii, z którą nigdy czulszój nie prowadziłem rozmowy. Dziwne to było nieme uwielbienie przepełnione tajemną obawą.

Ojciec obserwował nasze stosunki zdaleka i widać dostrzegł coś, co mu się nie podobało, gdyż nieco chłodniej począł mnie traktować.

W Mydlińcach gospodarstwo szło fatalnie, opóźnienia w robotach rolnych następowały jedno po drugim, oficjaliści nie kontrolowani wyprawiali wesołe wieczorki na cześć bachusa, a ja z abnegacją iście magnata nie zajmowałem się niczem, nie pytałem o nie utonawszy myślą i sercem we wdziękach boginki Zieleńckiej, marzyłem o niebieskich migdałach rozkosznie.

Dziś patrząc chłodnem okiem rozwagi, widzę jasno o ile wykoleiłem się z drogi udeptanej stopami pracowitych dzierżawców; oceniam należycie smutne następstwa próżniactwa i niezaradności własnej, oraz chy-

bionego celu. Nie skutkowały rady Gałkiewicza i jak zwykle cudze doświadczenie poszło na marne.

Taki stan rzeczy cierpieć tylko wydał owoce: zboże miałem nędzne, którego zbierać nie chciano, inwentarz chudy i zbiedzony złem utrzymaniem, zabudowania chyliły się do ruiny.

Liczne te niepowodzenia mało mnie interesowały, kochałem Zosię, nie troszcząc się o nic; gdybym choć przynajmniej miał pewność wzajemności, ale i tem poszczycić się nie mogłem. Kochałem jak piątokłaśnik.

* * *

Minęły bezpowrotnie owe błogie czasy, gdy na Podolu można było bez pracy i obrotowego kapitału prowadzić gospodarstwo rolne, a byle nie rozpraszać marnotrawnie pieniędzy, po kilkunastu latach samęj cierpliwości dochodziło się znacznej fortuny. Główną dźwignią była pańszczyzna przedstawiająca ul pszczolny... Teraz czarnoziem eksploatowany przez długie lata burakami, utracił samorodny złotodajny pierwiastek, a praca rąk niezmiernie zdrożała. Dziś każdy musi przyswajać sobie wynalazki agronomii i mechaniki i stosować one do potrzeb miejscowych, jeżeli nie chce być wykreślonym z listy pracowników otrzymujących dochody z rolnictwa. Trudności najeżyły żelazne swe grzbiety na których rozbijali się nieogłędni ubodzy i słabi...

Na dobitkę, do konkurencji ze szlachtą tradycyjnie przywiązaną do roli, wystąpiło plemię semickie, silne solidarnością, wyznaniową, braterstwem identycznych celów, kapitałem i sprytem wrodzonym. Sta-
nęli mocno jak granitowa ściana twierdzy opancerzo-

na złotem... Walka stała się prawie niemożliwą z chytym i wytrwałym zapaśnikiem, który tonącym ostatnią deskę ratunku wydzierał...

Ceny dzierżawy poszły w górę wobec niebywałego dotąd popytu, właścicielom ziemskim błysnęło złote słońce złowrogie, natychmiastowe korzyści pociągnęły nieogłędnych... uboższym zabrakło chleba...

W dodatku gęsto rozsiane na Podolu cukrownie zdemoralizowały lud rozdawaniem pieniędzy naprzód, a robotnik wyzyskując potrzebujących, kazał sobie płacić coraz drożej, coraz niedbalszą dając za to pracę.

Przy tych danych, gdy zasobniejszych i zapobiegliwszych ludzi interesa chwiać się mocno poczęły, moje sprawy stanęły od razu na fatalnym punkcie ostatecznej ruiny, przyspieszone własnem niedbalstwem.

Pomimo ów stan nie wyszukując środków zaradczych na zło nieuniknione, zajęty byłem jedynie wizytami, jak gdyby z Zieleniec miała przybyć pomoc zbawienia. Dla czego ztamtąd oczekiwałem ratunku, prawdziwie nie wiem, gdyż byłem tak nierozsądny, iż nawet znaczny zapewne posag panny Zofii, w tych dziecinnych nadziejach, żadnej nie odgrywał roli, ba, nawet na myśl jej wiano nie przyszło; prawdopodobnie sądziłem, że dla méj egzystencji nie chleb a tylko miłość Zosi jest potrzebną, możnaż idealniejsze wymyślić pożywienie? Możnaż nieroztropność do dalszych granic posunąć?... Byłem podobny do człowieka, któryby chciał się karmić jedynie zapachem kwiatu... Teraz rumienię się za to, lecz wystąpiłem z szeregów pozytywistów.

Pewnego razu zastałem w Zielenicach zjazd gości liczny, był to dzień urodzin Zosi, o którym nie wie-

działem. Przykro mi było niezmiernie, że ostatni powiadomiony zostałem o tem i nie bez racyi pominięto mnie jednego z zaproszeniem na ucztę familijną. Wesoly jednak nastrój całego towarzystwa rozproszył wkrótce me nieukontentowanie, ożywiłem się zabawą ogólną i radość wypełniła serce.

Rozmawiając z panną Zofią przemyślałem nad ułożeniem zręcznego frazesu miłosnego wyznania, gdy uśmiechnięty wesolo zbliżył się ku nam sędzia.

— Zosieczko moja — zawołał całując córkę w czoło — od dnia dzisiejszego nie wolno tobie rozmawiać na osobności z młodemi ludźmi, Zygmuntowi może to wyrządzić przykrość, a źle będzie gdy on podniesie rokosz — dodał żartobliwie, pieszcząc jedynaczkę mocno zarumienioną. — Pan może nie wiesz — rzekł zwracając się ku mnie — że Zosia moja zamieniła dziś pierścionki z hrabią Zygmuntem.

Rzeczywiście, że o tem nie wiedziałem, więc słowa sędziego jak ryk armatniego śpiżu przeszły mi słuch i serce. Potem w oczach pociemniało, tak że gdybym stał na nogach, runąłbym jak kłoda na ziemię; nie wiedziałem gdzie jestem i co się ze mną stało... gdy oprzytomniałem, sędziego już nie było, tylko panna Zofia anielskimi oczami patrzyła na mnie z współczuciem.

— Daruje pani, że ją natychmiast pożegniam... czuję się nie zdrów... dłużej tu pozostać nie mogę.

— Papie będzie bardzo przykrym odjazd pana...

— Życzę pani szczęścia... daj Boże wszystko dobre — wybąkałem nie wiedząc co mówię i pochwyciwszy czapkę wyszedłem z salonu...

A więc wszystko skończone pomyślałem sobie, zaiskając rozpaczliwie pięście i wróciłem do domu.

Przekląłem prozę życia i wszystkich hrabiów całego świata, bo byłem bardzo nieszczęśliwy.

*

*

*

Galkiewicz dowiedziawszy się jakie było zakończenie moich stosunków, tryumfował i szydził niemilośnie z sędziego, posądzając go niewinnie o zemstę, do której użył podstępного zbliżenia ze mną piękną swą córką. Całą siłą wymowy broniłem od uwłaczającego zarzutu, choć w gruncie sam byłem niepokieszoną ofiarą. Trudno było walczyć z uporem Galkiewicza, którego niechęć dla sędziego z każdym dniem wzmacniała się zdawała. Zatarg sąsiedzki podsycany parafialną plotką, rozżarzał się coraz gwałtowniej, podsycany zajadłością wojny kokoszéj... Parafia rozdzieliła się na dwa obozy wrogie i wymyślała na siebie *nie stworzone rzeczy*. Przywódcą jednej partyi był sędzia, drugą Galkiewicz dowodził; obaj ludzie poczciwi ale przepełnieni zwykłą butą szlachecką, krewkiego temperamentu.

— Nie rozpaczaj pan—mówił Galkiewicz—bogdajby na złość temu pyszałkowi z Zieleniec, taką ci panienkę wyswatam, że klękajcie narody, niech no się tylko poradzę z moją magnifiką, ona majster do wszystkich matrymonialnych afer. Polegaj pan na mnie, jak na czterech tuzach, ha! ha! ha! choć sędzia się ma za panfila, pokażę mu co mogę gdy zechcę.

Galkiewicz rzeczywiście dał mi dowody przyjaźni szczerzej w wielu razach; pożyczył nawet pieniędzy na

podtrzymanie gospodarstwa w Mydlińcach i przyrzekł dopomódz w dniu płacenia tenuty dzierżawnéj, której złe urodzaje nie poręczały.

Znowu więc wstaje rano do roboty i gospodaruję z zapalem, do Zieleniec nie jeżdżę, pilnuję domu, czasem tylko pocziwego Gałkiewicza odwiedzam, który mnie zawsze wita serdecznie a ogaduje sędziego.

Milcząc słucham tych napaści i wzdycham boleśnie, bo dotąd tkwi jeszcze w sercu obraz ukochanéj Zosi, pomimo że jéj widoku unikam starannie.

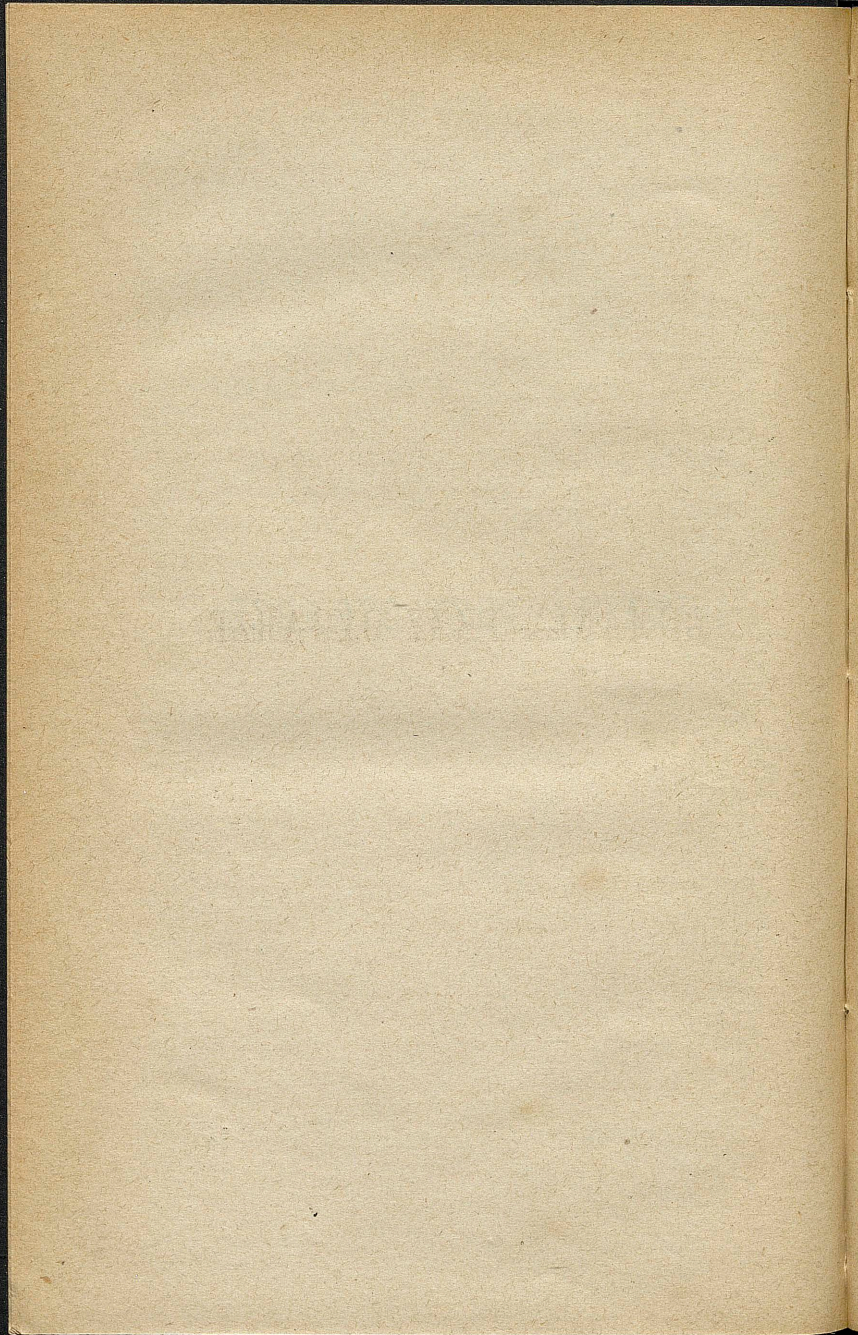
W dnie świąteczne i teraz jeszcze czytuję poezye, bo nieraz łza błysnie mi w oku i ulgę przyniesie... Pojąłem nareszcie, że poezya jest skarbem duszy, pokarmem serca, oraz balsamem gojącem rany życiowe. Téj prawdy doświadczyłem na sobie, doznawszy zba-wiennych skutków, po ciosach nieszczęśliwéj miłości, gdybym był pozostał realistą, byłbym się targnął na swe życie, poezya wionęła mężstwem i tchnęła nadzieją, odsłaniając nieznane mi horyzonty... Dziś wierzę, że tylko głaz zimny trwać może bez upojeń poetycznych, ale człowiek z sercem nigdy... dusza musi się wsłuchiwać w niebiańskie jéj akordy.

Praca i praktyczność jest wypełnianiem obowiązku każdéj jednostki, ofiarność społeczna dźwignią narodowego bytu, a poezya osłodą ludzkiego żywota, wlokącego się po cierniach smutnéj rzeczywistości.

Burza bolesnych wrażeń przesuwających się przez moje znękané serce, odkryła mi wiele tajemnic życiowych i wzbogaciła cennem doświadczeniem na drogę żywota, ale tych wrażeń spisywać nie będę, gdyż dzierżawca na dorobku winien pilnować chlebobajnéj roli, nie zaś pióra, które go nie nakarmi... Składam

więc bez żalu tę strzałę gęsiego skrzydła, któreby teraz tylko smutne dzieje méj nieszczęśliwéj miłości kreśliło. Wchodzę zbrojny wytrwałością na nowe tory mych przeznaczeń. Dzierżawca niezamożny powinien stać przy plugu, jeśli nie chce być ciężarem współbraciom... odtąd na niwie Mydlinieckiej tylko mnie znajdziecie zdobywającego chleb powszedni, z gwiazdą nadziei przyświecającą w duszy...

DUMANIA PRZY CYGARZE.



Dzień był zimowy, po obiedzie zapaliłem cygaro. Na dworze padał śnieg gęsty i wiatr huczał podrzucając białe kłęby śnieżyste, miotał niemi w okna mego gabinetu; zdawało się że mróz szturmując zajadłe chce się wedrzeć do ogrzanego pokoju, aby i w nim panowanie zimy rozpocząć. Mróz chciał być uzurpatorzem, nie pomny że mieszkania w krajach północnych zabezpieczone bywają od napaści zimy podwójnymi oknami okitowanymi hermetycznie, dobrze zawierającymi się drzwiami, a nadewszystko dobroczynnym piecem obecnym w każdej komnacie. Wysiłki więc Grudniowego Boresza, choć z zajadłością uderzały o ściany domu, były bezskuteczne...

Ktoś z wysoko postawionych osób, stały mieszkaniec Petersburga przybył w miesiącu Grudniu do Rzymu. Zdawałoby się że synowi północy pobyt pod włoskim niebem powinienby się podobać... tymczasem pan ów pewnego razu w kole znajomych powiedział te słowa: „W Petersburgu widziałem zimę, tu zaś w Rzymie ją czuję.” Kto przepędzał zimę na południu Europy, ten wie ile prawdy zamyka ten frazes podróżnika. Pod opieką naszego pieca mróz nam nie dokuczy, do najprzykrzejszych zaś doligliwości zaliczyć można chłodne mieszkanie. We Włoszech byłoby może przyjemniej, gdyby mniej liczono na promienie słone-

czne zbytecznie dogrzewające latem a skąpe zimową porą...

Przypomniawszy sobie wrażenia z odbytych podróży, samolubnie rozkoszowałem się łagodną temperaturą mojego pokoju, w którym mi było tak dogodnie i zacisznie... Cygaro hawańskie ciągnęło wybornie, fotel miękki usposabiał do marzeń... puściłem cugle wyobraźni.

Myśli poczęły latać jak muchy trzepocząc barwnymi skrzydełkami fantazyi... obrazy mieniały się szybko i nikły rozwiane podmuchem chwilowego kaprysu.

Jako nie odrodny syn dziewiętnastego stulecia, zapragnąłem w marzeniach moich być bogaczem, nad tym tematem zatrzymałem się dłużej... Chciałem mieć milion, dwa, dziesięć milionów... W miarę jak mi przybывało urojonych skarbów, coraz większe tłumy ludzi składały mi cześć, która wielce radowała moją próżność nababa. Siłę posiadanych pieniędzy brałem za wartość swą osobistą, a to było niezaprzeczenie kolasnym absurdum. Jako bogacz stałem się wyrocznią mody, widziałem że naśladowano mię we wszystkim o ile to było możebnem; niedorzeczności przyjmowano za dowcip i śmiano się z nich uprzejmie, wybryki złego lub dobrego humoru witano jako oryginalną ekscentryczność i kłaniano się, kłaniano bez końca...

Uczułem się od razu potężnym panem na społecznej arenie świata nie znającym zawodu ani przeciwności.

Nie lubilem zawsze francuszczyzny, z kolei wyobraźnia moja podsunęła mi na myśl salon polski napelniony eleganckim towarzystwem mówiącym ciągle po francuzku... ani jedno słówko polskie nie zabrzmiało w potoku banalnej rozmowy... zawrzałem z oburze-

nia i trzęsąc się z gniewu przywołałem mego pałacowego intendenta, który stanawszy przed moim milionem obliczem i ujrawszy brew groźnie zmarszczoną, struchlały i błądy bezustannie kłaniał się pokornie.

— Zreformujesz pan całą służbę pałacową w jak najkrótszym czasie rzekłem do wystraszonego intendenta; pieniędzy oszczędzać nie trzeba byle jak najprędzej rozkaz mój został wykonanym. Odtąd chcę aby cała służba w domu moim była złożoną z samych cudzoziemców wyłącznie.

Lokaje wszyscy powinni być włosi. Stangreci i masztalerze anglicy; kobieca zaś usługa w garderobie z francuzek ma być dobraną, turka do gotowania kawy i parę Niemców do różnych drobnych posług i uczenia sztuk pudła umówisz pan także rocznie. Kucharze tylko polacy pozostaną w kuchni gdyż chcę się odżywiać polską strawą jedynie. Nauczyciel do dzieci będzie żyd, lecz go sam wyszukam aby miał odpowiednie kwalifikacye nieodzowne w życiu praktycznym: możliwy zasób chytrłości najwyższej, handlowego sprytu i przenikliwości, oraz umiejętności przerabiania kopiejki na rubla. Słowem: żyda prawdziwego potrzebuję z całym arsenałem wyjątkowego uzdolnienia właściwego całemu pokoleniu izraelskiemu. Taki potrafi wykształcić odpowiednio dziecię dziewiętnastego wieku, na wielce praktycznego człowieka. Mołamedzi chederowi wykluczają się zupełnie jako ludzie zacofani i konserwatyści niezdolni do niczego. Lichwiarzom należy dać pierwszeństwo...

Od chwili skomplikowania całej służby na nowo, języki cudzoziemskie będą wszędzie słyszane w krendensie, w stajni, w garderobie i t. d. tylko w salonie

moim polska jedynie mowa królować powinna — kto zapragnie mówić cudzoziemskim językiem musi opuścić salon, a wszędzie znajdzie z łatwością ulubiony zamorski żargon, którym rozkoszować się będzie mógł dowoli...

Na te słowa księżna i kilka hrabin wydało okrzyk zgrozy i poczęły mdleć... co mię tak przeraziło że chwyciłem w usta zagasłe cygaro odwrotną stroną... popioł zasypał gębę znikło wszystko i... ocuciłem się z marzeń... Śnieg tylko tak samo miotany wichrem uderzał po oknach, a ja nabab chwilowy zamieniłem się w zwykłego odłużonego śmiertelnika bez milionów... pałacu, gości, intendenta i służby złożonej z samych cudzoziemców... Szkoda że to były same marzenia tylko!...

Sięgnąłem ręką po zapalną i zapaliłem znowu zagasłe cygaro. Zaledwie zacząłem rozkoszować się wonnym dymem hawańskiego wyrobu, aliści nowe myśli zleciały do głowy jak gromada motyli: Medytacye rozpoczęły się od zwykłych kłopotów stanu rolniczego coś w kształcie zapytania: Dla czego życie nie jest poematem? Przyznać się muszę że na to nie znalazłem odpowiedzi zadawalniającej. Dla bankiera nie może być poematem z powodu krachów i fluktuacyi papierów wartościowych, oraz częstej niesumienności kasyerów. Dla pięknej kobiety kaźdoroczna zmiana cery — dla kapitalisty brak solidnej lokaty pieniężnej — dla przemysłowców i fabrykantów trudny kredyt — dla pensyonerek twardość grammatyki i czujność przełożonej podczas spacerów — dla wojskowych musztra i wymówki komenderującego — dla księży, rekolekcyje w klasztorze kapucynów — dla urzędników

sprawy bieżące — dla gospodarza rolnika, tysiączne utrapienia wyłącznie do tego stanu przywiązane. Dla emerytów podagra...

Wszystko to razem wzięte, sprawiło że życie nie jest poematem. Ale dla czego ono nim nie jest, nie mogłem inaczej rozwiązać jak tylko odwołaniem się do woli Stwórcy tego świata, któremu rozkazał być przytułkiem i zarazem padłem płaczu, przy zgrzytaniu zębów...

Kołująca myśl nadspodziewanie musnęła wyżyn metafizyki i znalazłszy nieprzebyte zapory dla umysłu, istne barykady złożone z samych znaków zapytania a na które odpowiedzi żaden rozum człowieka dać nie jest mocen; myśl moja pokorna cofnęła się na plac czynności powszedniego życia i czynów maluczkich... odetchnąłem swobodniej...

Żał mi było pracy wieloletniej wszystkich wielkich filozofów co wypowiedzieli tysiące świetnych zdań i systematów zbijających się wzajemnie i... nie dowiedli niczego. Po nad filozofię transcendentálną góruje prosty lecz genialny frazes Newtona. „To tylko wiem że nic nie wiem.” To nie frazes, to prawo wiedzy ludzkiej bo za nim stoi wiara!..

Dziś, gdy wiara zachwiana, w epoce rozumowania i pychy umysłowej, znaczenie Newtonowego aksjomatu mało ma zwolenników. Filozofowie, mężowie osiwiali i gimnaziści, oba obozy zarówno przekonane są, chociaż nie pojmują nawet przyczyny i celu własnego istnienia, sądzą że zbadali wszelkie tajemnice i wiedzą wszystko... duma ich jest bez granic...

Widywałem młodzieniaszków decydujących i rozstrzygających najzawilsze zagadnienia społeczne i re-

ligijne; słyshałem słowa podziwu gapiów, choć rzecz była warta politowania tylko... Ta pewność siebie dochodząca do arrogancyi w młodem pokoleniu sprawia mi zawsze przykre wrażenie, lekceważenie zaś dojrzałego zozumu sprowadza obrzydzenie... bo jacyż to będą ludzie z tych młodzieniaszków pyszałkowatych co nie umieją i nie chcą szanować doświadczenia starszych?...

Duma i próżność wielostronna jest cechą obecnej epoki, to grzech główny młodej generacyi: ztąd wynika, że każdy człowiek jakiegoby on nie był stanu jest niezadowolonym. Rzemieślnikowi nie starczy na utrzymanie, pomimo że bierze wysokie ceny za swoje wyroby. — Nabywca zaś jęczy na drożyznę chociaż i sam zdziera niemilosiernie ze swoich klientów. Robotnik na wsi podnosi cenę wynagrodzenia za pracę rąk, a właściciel ziemski z kolei coraz to drożej sprzedaje zboże i oba stękają na ciężkie czasy i t. d.

Każdy bez względu na swój byt materyalny pragnie używać wszystkiego nad możność; gorączka życia nad stan opanowała wszystkie umysły a żądza używania bez granic popycha nieraz jednostki słabe do zbrodni. Marzenie dobrego króla: pieczona kura na stole kmiecy nie zadowolnilaby już nikogo. Gdyby ten frazes wiekopomny o kurze pieczonęj przełożyć na język chwili bieżącej, trzebaby chyba zamienić ją na bażanta, a i to jeszcze może byłoby za mało niebawem, gdyby ktoś wymyślił pasztet z kolibrów... Gdy wszyscy są niezadowoleni ze stanowiska zajmowanego w świecie więc jako nieodrodny syn wieku zapragnąłem zarejestrować pragnienia własne, a byłoż tych żądań bez liku!.. Wszystkich zachecianek pogmatwa-

nych bezładnie spisywać nie warto, chociaż przesuwające się w perspektywie wyobraźni obrazy, wyglądały ponętnie, znikając w kłębach dymu cygarowego—niektóre z nich miały tło realne inne zaś wytwarzała fantazyja z mgły marzeń wysnuta, te ostatnie widzia-
dła więcej mnie bawiły...

Jowialna twarz starego mego nauczyciela ustawicznie powracała jako akcesoryum do coraz to nowęj sytuacji. Myśl opuściwszy pole społecznej działalności poczęła tworzyć plan prześlicznego ogrodu — w momencie wyrosły w nim niebotyczne drzewa — zaszumiała kaskada — wytrysnęły fontanny wysoko, a kwiatów takie mnóstwo rozkwitło, że pierwszy raz w życiu wydało mi się ich dosyć. Ogród mojej wyobraźni podobny był nieco do uroczej Zofijówki opiewanej przez Trembeckiego. Tylko że prawdziwa Zofijówka egzystująca dotąd pod Humanem, chociaż pochłonęła siedm milionów złotych nie posiada tak pięknych kwiatów jakie rozkwitły w moim marzeniu...

Po pięknym ogrodzie wyobraźni rozpocząłem przechadzkę... Napawając się wonią kwiatów i przypatrując się ich przepysznym kształtom i barwom, spotkałem na ścieżce, mego starego nauczyciela, który wyglądał tak samo jak go widywałem w dzieciństwie. Poznałem nawet surdut tabaczkowy i halsztuch staroświecki. Uśmiech dobroduszny i jowialny ożywił twarz pomarszczoną, szedł podpierając się laską również dobrze znajomą. Staruszek przywitał mię poufale i protekcyonalnie poklepał po ramieniu.

— Ładny masz ogród mocium panie—rzekł pedagog. Ojciec twój musiał być dobrym gospodarzem i miał poczucie piękna, gdy tak go wspaniale urządził.

— Ten ogród sam założyłem panie profesorze—
odparłem chępliwie.

— Co, ty założyłeś ten ogród mocium panie! Et,
bredzisz kochanku, zawsze lubiłeś kłamać i jak widzę
nie pozbyłeś się téj szkaradnej wady dotąd.

— Mówię najczystsza prawdę...

— Daj pokój mocium panie, jesteś młokos a tu
stoją w klombach niebotyczne drzewa. Wy młodzi
ludzie lubicie teraz chwalić się bez miary, ale to nie
ma sensu mocium panie. Lada moment posłyszę że-
ście wy wybudowali piramidy Egipskie i wodociągi
Rzymu. Że wykręciliście dziurę w górze Ś-go Gotar-
da to wam się zdaje że wszystko umiecie i że wszy-
stko jest dziełem rąk młodych, choć wszystko jest
spuścizną ojców.

— Przecież pan profesor nie zaprzeczy że tunel
ś-go Gotarda jest arcydziełem naszych czasów.

— Nie zaprzeczam zasługi nikomu mocium panie,
ale nie mniej przeto jestem mocno przekonany, że
zrobienie tunelu zawdzięczacie ludziom co spoczęli
w grobie.

— Przecież postęp w sztuce inżynierskiej i nowe
wynałazki dziewiętnastego wieku...

— Aha, rozpoczynasz już ulubioną piosnkę o dzie-
wziętnym wieku ale napróżno, bo mnie tem nie prze-
konasz, wiesz przecie mocium panie że nie nowego
pod słońcem.

— Przecież użytku pary nie znano dawniej ani
takiego tunelu...

— Et, chwal się waszą dziurą... a ja ci powiadam
mocim panie, że nie robieniem dziur szczycić się po-
winniście, bo w waszym przemądrym wieku wszystko

się podziurawiło; ale ja wtedy wam dam oklask za-
służonego uznania, gdy potraficie one pozałatwiać
wszędzie. Każda wasza robota tandetna, wszystko się
chwieje i rozpada, pojęcia macie podziurawione ma-
teryalizmem i pychą nadmierną, serca samolubstwem,
wiarę mrozem zwątpienia, swobodny humor apatyą.
Takie dziury mocium panie byle czem się nie plom-
buje; potrzeba ku temu szczerzej pracy, ducha pokory
i miłości chrześcijańskiej, która jedynie zdoła zrefor-
mować błędne pojęcia człowieka i uzdrowić chory or-
ganizm ludzkości.

— Niesprawiedliwym jesteś panie profesorze, czyż
można dzisiejszemu pokoleniu zarzucić brak miłości
bliźniego, gdy tyle się tworzy nowych instytucyi do-
broczynnych, przecież to najlepsza i najpiękniejsza
strona naszego czasu...

— A zajrzyj no kochanku w pobudki tych czynów
filantropijnych... obaczysz ile tam fermentu próżności,
jaką tam rolę odgrywa trwoga o swoją przyszłość...

— Pokłóćimy się panie profesorze, dySSERTacya
w téj materji stała się niemożliwą z panem, słuchać
nie mogę tak opacznie tłumaczonych czynów. Że-
gnam pana.

— W gorącej wodzie mocium panie jesteś kapany.

— Niesprawiedliwość każda mnie oburza, zgrozą
jestem przejęty, tak może mówić człowiek u którego
uschło serce.

— Ależ poczekaj chwilę mocium panie i powstrzy-
maj sangwiniczny ferwor oburzenia, który bądź co
bądź cenię w tobie. Są jednostki zacne, są jeszcze
szlachetne porywy serca, ale to wyjątki mocium pa-

nie, tkane z przebłysków dawnych pojęć, mówiłem o barwie cechującej ogół...

— Żegnam cię panie profesorze, bo takich słów negacyi i pesymizmu słuchać nie chcę. Nie porozumie-my się nigdy. Żegnam pana.

— Poczekaj chłopcze będziemy mówić o czym innym—i staruszek porwał mię za rękę. Byłeś pilnym uczniem i kochałem cię zawsze serdecznie. Szkoda że nabyłeś uporu i zarozumiałości, którą nasyczone jest teraz powietrze. Nie obwiniam ciebie, boś młody i nie-doświadczony.

— Profesorze, my w słońcu postępu dojrzewamy szybko.

— No, no, nie gniewaj się mocium panie, możemy zmienić przedmiot rozmowy.

— Z tego będę wielce zadowolonym, odparłem rozradowany, że się przykra dyskusya z zacofanym umysłem zakończy.

— Powiedz mi chłopcze, co tam u was na wsi się dzieje; mieszkając teraz w mieście nic nie wiem, a ciekawy jestem trybu wiejskiego życia.

— Trudne dałeś mi zapytanie profesorze, żyjemy jak można, są chwile wesołe wypełnione powodzeniem, lecz miewamy także dnie zgryzot i trudne do przejścia Rubikony.

— Zbywasz mnie ogólnikiem mocium panie, a ja tego nie lubię. Odpowiadaj na zapytania kategorycznie: w jakiej znajduje się fazie gospodarstwo rolne? tylko cię proszę, mów szczerze.

— W ostatnich dziesięciu latach rolnictwo zrobiło u nas postęp znaczny, u zamożnych gospodarzy zmiany są wyraźniejsze i korzyści materyalne większe niż

dawniej bywało. Ludziom zaś nie posiadającym dostatecznego obrotowego kapitału ciężko dziś bardzo. Najtrudniej jest teraz złożyć pierwszy zapasowy tysiąc rubli na kapitał procentujący, lecz kto go już zdobył, staje się panem sytuacji i wszystko mu pójdzie jak po maśle. Nie myśl wszakże profesorze, abym zbyt wielką wagę do tak małej sumki przywiązywał. Dziś u nas tysiąc rubli jako suma nie prawie nie znaczy, można powiedzieć, że wartość produkcyjna jednego tysiąca jest żadna w treści, lecz za to w zasadzie u podstaw pracy rolnika, jako pozostałość od niezbędnych nakładów, staje się kamieniem węgielnym posiadania miliona.

— Fiu, fiu, mocium panie, to dobrze wam się dzieje, gdy o milionie marzyć możecie...

— Ale trzeba dojść do owego tysiąca, który jest symbolem kamienia filozoficznego, odpowiedziałem z naciskiem.

— Bądź co bądź pocieszyłeś mnie znakomicie, mocium panie, bo to człowiek czytając różne pisma periodyczne, takiego naje się strachu, że ciągle ma na myśli stary frazes „nec locus ubi Troia fuit...” Chwała Bogu iż tak źle nie jest jak piszą w gazetach. Kwestyę oświaty ludowej opuszczam, bobyśmy się znów posprzecjali z sobą; w tej materii mam zdanie wyrobione, jako specjalista lepiej poinformowany i świadomszy od ciebie mój drogi. Pod względem zaś wiejskich stosunków towarzyskich, muszę ci się przyznać mocium panie, że jestem jak tabaka w rogu. Powiedz więc z łaski swojej, czy możliwą jest na wsi harmonia sąsiedzka i podtrzymywanie stosunków uprzyjemniających ciębie życie parafialne?

— Wolałbym profesorze na to pytanie nie odpowiadać, jeśli kiedy, to w tak drażliwej materji milczenie jest złotem.

— Przecież nie byłem plotkarzem nigdy, więc możesz mi zaufać... Do moich studyów etyczno-pedagogicznych i psychologij nad którą słęcę lat dwadzieścia, potrzebne są różnorodne wiadomości. Myślałem o wycieczce w głąb kraju, lecz straszno mi przejechać miejską roгатkę—projektu się nie wyrzekam zupełnie, wszakże opowiadania twoje mogą przynieść pewną korzyść. Nie miejże mnie za ciekawego plotkarza lub intryganta...

— Czyż mógłbym podejrzывать o taką nizkość mojego zacnego nauczyciela? odrzekłem pojednawczo.

— Więc mów śmiało.

— Cóż będzie z maksymą? „Choćby cię pieczono i smażono w smole, nie rozpowiadaj co się dzieje w szkole.“

— Et, w każdej regule mocium panie są wyjątki.

— Tylko niechże to co powiem pozostanie między nami.

— A rozumie się, mocium panie, jak u spowiednika.

— Mówiąc o naszych stosunkach wiejskich, pominę wyjątki a określe tylko barwy ogólne. Otóż na wsi solidarnych stosunków towarzyskich niema wcale. Są koteryjki drobne, ambicyjki płytkie, sympatye i antypatye doraźne; każdy chce być jaśnie wielmożnym panem dobrodziejem, choć w liście się podpisuje kłamliwie podnóżkiem i najniższym sługą. Słowem prawdy zranisz każdego, na wędkę pochlebstwa łowią się wszyscy. Odwieczny rys buty szlacheckiej nie osłabił

ani na makowe ziarnko, a pewnoś siebie urosła. Tak jak to jest na całym świecie. Interes zbliża i rozdziela ludzi. Ojciec córek bogatych zażywa wielkiej konsyderacyi w całym powiecie; goście różnych stanów i okolic nie opuszczają progów magnata, któremu wszystko wolno. Nie umiem wytłumaczyć sobie zkad się bierze owa tolerancya ogólna dla bogatych ludzi, zważywszy że nikt przecie nie korzysta materyalnie ze stosunków.

— Tak się dzieje na całym świecie mocium panie, że surowe głupstwa popelnione przez majątnych ludzi uchodzą często za dowcip bystry lub oryginalność. O kawalerach poszukujących posażnych pańien nie mówię, gdyż ci w porządku z pojęciem praktycznem, jak myśliwi w puszczy, ale co zależy osobom niezależnym pod każdym względem na owęj tolerancyi i pochlebstwie, nikt podobno nie zgadnie. Za czasów mojej młodości tak samo się działo i do dziś dnia nie ma poprawy—dodał profesor smutnie i zamilkł.

— Są to jeszcze zabytki dawnego możnowładztwa arystokracji, lecz miejmy nadzieję, że z czasem i pod tym względem zmiana nastąpi, odrzekłem po chwili.

— Arystokracya ustąpiła z placu i ten został zajęty tłumem plutokracji, która nie posiadając zamków obronnych, rozpięła namiot z żydowskiego chałata... Smutne czasy nastały mocium panie! Nie warto żyć na świecie, zaopiniował profesor.

Nastąpiła chwila milczenia, myśli nasze powędrowały w przeszłość różnemi drogami. Przeszliśmy całą aleję nie wymówiwszy ani jednego słowa i gdy sądziłem się wolnym od dalszych indygacyi pedagog zapytał znowu.

— Powiedz mi kochanku, czy szlachta już oswoiła się z drogą żelazną? Na tak naiwne pytanie wybuchnąłem śmiechem słumionym przez grzeczność i odpowiedziałem:

— Tyle lat już jeździmy, że można było się przyzwyczaić.

— Nie dziw się mocium panie memu zapytaniu, gdyż niedawno opowiadano, że pewien obywatel ukraiński zamieszkały o dwadzieścia wiorst od stacyi drogi żelaznej wyruszył w trzydziestomilową podróż do Kijowa swojemi końmi, tak jak to ongi bywało z kuchnią i tłumokami...

— Ostatnie przypuszczenie najmniej prawdopodobne: u nas teraz nikt nie jeździ z pościelą, nawet sąsiad do sąsiada w gościnę.

— Chcesz mnie widzieć wziąć na fis kochaneczku, ale jam stary wróbel i znam się na żartach, rzekł staruszek niechętnie.

— Słowo panu daję, że mówię seryo, że u nas nikt z pościelą nie przyjeżdża.

— Mogęż temu uwierzyć aby człowiek cywilizowany popełniał podobną niedelikatność względem gospodarstwa domu. Pojmuję zanocowanie wypadkowe w obcym domu i sprawiony ambaras, ale jako zwyczaj przyjęty ogólnie wygląda dziko; przecież dom prywatny nie jest hotelem, w którym powinnyby być składy pościeli... pomimo wszystko przyjemniej jest a nawet higieniczniej mieć własną koldrę i poduszkę. Cóż gospodarz obywatel wiejski ma począć, gdy kilkanaście osób się zjedzie i zażąda odrazu rozlicznych akcesoryi noclegowych... W domu prywatnym niepo-

dobna przecie mieć składu tandety. Podobnym bzdurstwom mocium panie trudno wierzyć.

— Radzą sobie jak można a pościeli nie wożą, upewniałem staruszką.

— Pfe, mocium panie, niedelikatnie i niewygodnie zarazem.

— Weszło w zwyczaj i oswoiliśmy się z tem wszysej.

— Zwyczaj mocium panie, niczego nie dowodzi, a bywa nieraz śmieszny. Powiedz mi czem wytłomaczyć zwyczaj płacenia za karty lokajom w domu prywatnym? nonsens mocium panie i nie więcéj, bo jeśli wolno płacić gościom za karty ceny podwójne, to nie widzę racyi dla czegooby objad lub kolacya miała być gratis.

— Może masz słuszość profesorze, lecz trudno występować przeciwko modzie i zwyczajom przyjętym...

— Wy młodzi, radziłyście cały świat przewrócić do góry nogami, a gdy idzie o zmianę konieczną, zasłaniacie się parawanem zwyczaju. Piękna mi rzecz mocium panie, gość przybywający bez pościeli, a biednej gospodyni domu głowa pęka jeśli nie posiada sklepowej ilości poduszek i bielizny, tańczy więc biedaczka zakłopotana jak koło tureckiego konia, oddawszy swoją pościel, a gość ten przemiliły w nagrodę trudów ogada dom, w którym nie dość wygodne lub eleganckie miał posłanie.

— Po kwestyi kółder profesorze mogłaby przyjść potrzeba wożenia materaców i pierzyn...

— Et, bzdurstwa prawisz mocium panie, nie należy nigdy przesadzać, bo dojdiesz do wożenia łóżek

a nawet domów. Delikatność uczuć i pojęć człowieka wykształconego, wynajdzie zawsze odpowiednią miarę i nigdy nie będzie ciężarem nikomu.

Zmleżałem widząc rozdrażnienie profesora, który z roztargnieniem zażywał tabakę. Szliśmy w milczeniu, korzystając z chwilowego zawieszenia broni, chciałem pożegnać nadąsanego pedagoga, który podaną sobie rękę moją zatrzymał i tonem już łagodnym rzekł:

— Poczekajno trochę, wiesz mocium panie, że cię kocham serdecznie i że mnie szczerze interesujesz, nie dla prostej więc ciekawości chcę zbadać grunt pod twojami nogami. Jestem starym i doświadczonym człowiekiem i jak ongi Sokrates chętnie udzieliłbym ci rady życziwej.

Podziękowałem ucałowawszy ramię zacnego staruszka.

— Wspomniałem Sokratesa, tego największego z mędrców starożytnych, nie myśl wszakże abym był tak ograniczonym, iżbym się śmiał porównywać chociażby w czemkolwiek z genialnym mężem; jestem mizernym pyłkiem w obec kolosu wiedzy, któremu ludy cześć składać będą po wieki wieków.

— Unikniemy więc oba czcigodny profesorze owęj szklanki trucizny na którą Sokrates został skazany.

— Obyś uniknął mocium panie i myśli trujących, które tworzą nowoczesne pojęcia...

— Panie, wchodzimy znowu na tory niebezpiecznej dysertacyi.

— Bynajmniej chłopcze, gdyż chcę dać ci zapytanie bardzo proste, bo spodziewam się, że mi odpowiesz szczerze i otwarcie.

— Najchętniej profesorze.

— Spodziewałem się mocium panie, że nie odmówisz zaufania staremu przyjacielowi.

Uściskaliśmy się znowu serdecznie. Pocziwy starszek miał łzy w oczach, uczulem się rozrzewnionym i pomyślałem, nie tacy są ludzie dzisiejszej epoki.

— Od jak dawna gospodarujesz w swoim majątku?

— Cztery lata i gospodarka moja idzie dobrze.

— Jeśli ci idzie pomyślnie, powiedz mi kochanie ile zebrałeś pieniędzy? Wiem że marnować grosza nie lubisz, jesteś posiadaczem dużego folwarku, więc jaki jest rezultat czteroletniej twój pracy, mocium panie, pomyślniej?

— O składaniu kapitałów nikt teraz z gospodarzy rolnych nie marzy... epoka intermistyczna przejściowa... zmiana systemu w agronomii... nakłady na ameljoracye w budynkach... kultura w systemie intensywnym i produkeyi postępowo-racyonalnej zwyczajki dochodów płodozmianowych, poprawna pisicykultura... irygacye i drenowanie łąk...

— Stój, zatrzymaj się mocium panie i odpowiedz mi prosto i wyraźnie: czy masz kapitalik chociażby najmniejszy?

— Nie mam, ale...

— Pozwól, a twoi sąsiedzi czy mają pieniądze?

— Nie tylko że nie posiadają pieniędzy, ale nawet wielu jest zadłużonych po uszy.

— Więc wszyscy jesteście goli mocium panie?...

— Jest kilku magnatów w gubernii...

— O wyjątki nie pytam, o ogół szlachty mi idzie.

— Szanowny profesorze, temi czasy wymagać aby

właściciel ziemski miał pieniądze, to graniczy z naiwnością.

— Więc wszyscy jesteście goli pomimo wysokie ceny na produkta rolne?

— Nie wszyscy, albowiem żydzi na dzierżawach robią majątki.

— Żydzi kochanku, zawsze i wszędzie zdobędą i złożą kapitały, pieniądz lgnie do nich, bo kieszeń żydowska jest pompą wysysającą złoto z każdej gałęzi przemysłu i handlu. Są to tajemnice plemienia semickiego, oni wynaleźli od dawna kamień filozoficzny i nie chlubią się swoim odkryciem. Lecz to rzecz postronna, wracam więc do twojej odpowiedzi. Powiadasz więc, że wszyscy właściciele ziemscy nie mają pieniędzy. Żle mocium panie, bardzo tedy nie dobrze się u was dzieje, pomimo apetytu do posiadania miljonów, który niby to ma być marszałkowską buławą w tornistrze żołnierza. Gdzież są rezultaty agronomicznego postępu? Wielka ilość zuchwałych frazesów mnie nie wystarcza i nie obroni nikogo od gniotącej potrzeby. Wy młodzi lubicie przyganiać nam starym i praktycznym ludziom, cośmy umieli dawać sobie rady w każdej życia dobie. Mój ojciec posiadał malutki folwarczek, po waszemu fermą nazywany, miał sześcioro dzieci, dał nam wykształcenie staranne, a nie dość że nie odłożył mająteczku, lecz zostawił kilka tysięcy kapitału. Dziś zaś posiadacze znacznych obszarów urodzajnej gleby, klepią biedę i jęczą mocium panie, że nie starczy im na życie.

— Zważ panie profesorze na zmienione rdzenne

warunki bytu obywateli i kosztu prowadzenia gospodarstwa.

— Cóż mi tam prawisz o kosztach mocium panie. Ojciec mój sprzedawał korzec żyta po dwa złote a wam płacą go po cztery ruble; jest więc czem nakłady pokompensować. Złe w tem się mieści, że chociaż gospodarujeć może nawet i lepiej od ojców, ale nie umiecie żyć we właściwej sferze. Życie nad stan zabija wszystko. Magnat jeździ za granicę i podruchowuje się pomału — szlachcie wlecze się tam także i bankrutuje z kretesem. Magnat bezcelowo trzyma konie wyścigowe — szlachcie mierniej fortuny także kupuje folbluty. Miljonowej pani przysłano suknię z Paryża — właścicielka kilkudziesięciu tysięcy dopóty się nie uspokoi, dopóki chociażby z pomocą żyda pachciarza, podobnej toalety sobie nie sprowadzi i tak dalej i dalej bez końca mocium panie; nadużycie więc wszelkie w kasie prędzej czy później zawsze wylezie bokiem. Nie czasy mocium panie, ani też żadne okoliczności złowrogie są przyczyną złego, ale próżność, złe pojęta ambicja i zbyt uczynna zarozumiałość w postęp rozumu waszego. Sprobuj pokorniejszej myśli i skromniejszych pragnień a obaczysz jak wszystko złe przemieni się na dobre i jak regularny spokój zapanuje przy tobie. Nie myśl tylko, że słowa moje są to aberracye dziecinialego ze starości umysłu i wroga postępu. Stare i wypróbowane prawdy często są lepsze niż jak chwiejne nowe teorie bez podstawy. W spichrzu waszego rozumu jest ziarno, ale plewy tam moc wielka...

Chciałem coś powiedzieć, lecz zakasłałem się i otworzyłem oczy... Pokój wypełniony był dymem, cygaro

leżało na dywanie tlejącym powolnie.. Chwyciłem karafkę z wodą i zalałem nią ogień... Wyimaginowany w drzemce ogród znikł wraz ze staruszką profesorem, wiatr tylko ciskał kłębam śniegu w okna mego pokoju i to było już rzeczywistością.

SPIS PRZEDMIOTÓW

	<i>str</i>
Szał i Mitra. Powieść obyczajowa	1
Piołuny. Powiastka współczesna	89
Kartki pisane	165
Dumania przy cygarze	209



